

**JOSEPH
CONRAD**

NOSTROMO

Joseph Conrad

Nostromo

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843914

Nostromo:

Аннотация

Akcja tej obszernej powieści Conrada toczy się w drugiej połowie XIX wieku w portowym mieście Sulaco, stolicy Zachodniej Prowincji fikcyjnej Republiki Costaguana w Ameryce Południowej. Nostromo, młody genueński marynarz, pracuje w Sulaco jako nadzorca robotników portowych. Człowiek, na którym zawsze można polegać, dumny, nieustraszony i żądny sławy, cieszy się szacunkiem zarówno biednych, jak i bogatych. Mimo że autor uczynił go tytułowym bohaterem, książka nie jest jedynie, ani nawet głównie historią o nim i jego niebywałym wyczynie. Conrad nakreśla wielobarwny obraz społeczności Sulaco w niestabilnym młodym państwie, przeżartym korupcją, wstrząsanym przewrotami i rewolucjami, prowadzonymi w imię dobra ludu, a kończącymi się zamianą jednego tyrana na innego. Autor wykorzystuje w tym celu specyficzny, filmowy sposób narracji. Odrzuca prostą, liniową metodę opowiadania, skupia uwagę na jednej postaci, jej działaniach, myślach i uczuciach, by po pewnym czasie podążyć za inną, przełącza czasy, wykorzystuje retrospekcje i zapowiedzi przyszłych wydarzeń.

Содержание

Przedmowa autora	5
Część pierwsza. Srebro kopalni	17
Rozdział I	17
Rozdział II	25
Rozdział III	34
Rozdział IV	42
Rozdział V	58
Rozdział VI	71
Rozdział VII	123
Rozdział VIII	135
Część druga. Izabele	181
Rozdział I	181
Конец ознакомительного фрагмента.	183

Joseph Conrad

Nostromo

Tak chmurne niebo nie wyjaśnia się bez burzy¹
Shakespeare

¹ *Tak chmurne niebo nie wyjaśnia się bez burzy* – Szekspir, *Życie i śmierć króla Jana*, akt IV, scena 2. [przypis edytorski]

Przedmowa autora

Żadnej z moich dłuższych powieści, które powstały po ogłoszeniu zbioru nowel pt. *Tajfun*, nie przemyślałem tak troskliwie, jak właśnie *Nostroma*.

Nie zamierzam przez to powiedzieć, jakobym wówczas uświadomił sobie jakąkolwiek zmianę czy to w mojej umysłowości, czy też w mym stosunku do zadań twórczego życia. Jakoż być może, iż nie było innej zmiany prócz tej tajemniczej, niedocieczonej rzeczy, która nie ma nic wspólnego z teoriami sztuki, a polega na subtelnej zmianie w istocie natchnienia; zjawisko, za które żadną miarą niepodobna czynić mnie odpowiedzialnym. Co jednak dało mi poniekąd do myślenia, to wrażenie, jakiego doznałem po ukończeniu ostatniej opowieści ze zbioru *Tajfun*: zdawało się mi mianowicie, iż nie ma już o czym pisać na tym świecie.

To z dziwnego jakiegoś zaprzeczenia poczęte, lecz niepokojące przywidzenie nie trwało zbyt długo. Podobnie jak to miało miejsce z wieloma moimi dłuższymi powieściami, pierwszy pomysł *Nostroma* zaświtał mi wkrótce pod postacią luźnej anegdoty, pozbawionej zupełnie wyrazistszych szczegółów.

Było to w 1875 lub 1876 roku, za czasów mojej

wczesnej młodości, kiedy w Indiach Zachodnich², a raczej w Zatoce Meksykańskiej bywałem nieczęsto, krótko i przelotnie. Słyszałem tam opowiadanie o jakimś człowieku, którego podejrzewano, iż podczas zaburzeń rewolucyjnych miał sam jeden skraść statek pełen srebra, gdzieś na wybrzeżach Tierra Firme³.

Na dnie tej opowieści krył się jakiś niezwykły rys. Ale nie słyszałem szczegółów, a nie żywiąc większego zainteresowania przestępstwem jako takim, nie zdobyłem się, by ją zachować w pamięci. Zapomniałem też o niej i dopiero w jakieś dwadzieścia sześć czy siedem lat później zetknąłem się znów z nią w nędznej książczyni, znalezionej przypadkiem w podrzędnej księgarni. Był to życiorys pewnego marynarza amerykańskiego, napisany przez niego przy pomocy jakiegoś dziennikarza. Marynarz ów podczas swych wędrówek pracował przez kilka miesięcy na pokładzie szkunera, którego panem i właścicielem był właśnie złodziej, mającący we wspomnieniach mej wczesnej młodości. Nie wątpiłem o tym, gdyż niepodobna pomyśleć, żeby dwa takie szczególne zdarzenia mogły zajść w tej samej części świata i żeby na domiar oba pozostawały w związku z rewolucją południowoamerykańską.

² *Indie Zachodnie* – daw. nazwa Karaibów, wysp w basenie M. Karaibskiego, nadana w XV w. przez wyprawiających się na zachód Europejczyków, którzy uważali, że wyspy te leżą blisko wybrzeży Indii. [przypis edytorski]

³ *Tierra Firme* (hiszp.: stały ląd) – hist. nazwa hiszpańskich posiadłości kolonialnych na wybrzeżach M. Karaibskiego (ob. Wenezuela, Kolumbia oraz kraje Ameryki Centralnej), odróżniająca je od pobliskich kolonii na wyspach. [przypis edytorski]

Drab ten zdołał zatem skraść statek ze srebrem, i to, jak się zdaje, tylko dzięki ślepemu zaufaniu swych przełożonych, którzy musieli być nader nieszczególnymi znawcami charakterów ludzkich. W opowiadaniu marynarza przedstawia się on jako nieposkromiony łotr, nikczemny oszust, głupkowaty, dziki, ponury, o niepokąznym wyglądzie, zgoła niewart wielkości, którą sposobność dała mu w ręce. Ciekawe jest to, iż podobno przechwalał się otwarcie.

Powiadał nieraz:

– Ludzie myślą, że dorobiłem się pieniędzy na tym moim szkunerze. Ale tak nie jest. Nie dbam o niego. Od czasu do czasu jadę sobie hen i przywożę sztabę srebra. Trzeba bogacić się powoli, nieprawdaż?

Wspomniany jest jeszcze inny zajmujący rys tego człowieka. Pewnego razu, gdy się posprzeczali, marynarz pogroził mu:

– A kto mi zabroni powtórzyć na łądzie to wszystko, co słyszałem od pana o tym srebrze?

Cyniczny drab bynajmniej tą groźbą się nie zaniepokoił. Zaśmiał się tylko:

– Jesteś głupi! Spróbuj tylko powiedzieć o mnie coś podobnego na łądzie, a żgnę cię nożem w plecy. Tam, w porcie, wszyscy mężczyźni, wszystkie kobiety i dzieci są moimi przyjaciółmi. A kto mi dowiedzie, że statek nie zatonął? Nie pokazałem ci, gdzie jest ukryte to srebro. Nieprawdaż? Nie wiesz nic. A gdybym kłamał, to co?

Ostatecznie marynarz, nabrawszy odrazy do plugawej

nikczemności tego zatwardziałego złodzieja, zbiegł ze szkunera. Cały ten epizod zajmuje jakieś trzy strony w jego autobiografii. Cóż o nich można powiedzieć? A jednak, kiedy je przejrzałem, zastanawiające potwierdzenie kilku przypadkowych słów, zasłyszanych we wczesnej młodości, wywołało wspomnienie tych odległych czasów, kiedy wszystko było takie świeże, takie nieoczekiwane, takie zapamiętałe i takie ciekawe: skrawki obcych lądów w migotaniu gwiazd, cienie padające od wzgórz słonecznych, namiętności ludzkie w pomrokach, na wprost zapomniane, gawędy, zamierzchłe dawno twarze... A może, a może byłoby jeszcze o czym pisać na tym świecie. Jednak zrazu nie dostrzegałem niczego w tej skąpej opowieści. Jakiś łotr przywłaszcza sobie znaczną część cennego dobytku – tak powiadają ludzie. Jest to prawdą lub nieprawdą; to pewne, iż samo w sobie nie posiada żadnej wartości. Nie miałem ochoty wynajdywać okoliczności towarzyszących temu sprzeniewierzeniu, gdyż moje uzdolnienia nie podążały tym torem i gra nie wydawała się mi warta świeczki. Dopiero kiedy zacząłem rozmyślać, iż zaborca tego skarbu niekoniecznie być musiał zakamieniałym przestępcą, że mógł być nawet człowiekiem z charakterem, działaczem, a bodaj nawet ofiarą w zmiennych kolejach rewolucji – dopiero wówczas miałem pierwszą wizję mrocznej krainy, która miała się stać prowincją Sulaco; jej strzelista, widmowa Sierra⁴ i zanurzone w oparach

⁴ *sierra* (hiszp.) – łańcuch górski. [przypis edytorski]

Campo⁵ są niemymi świadkami wypadków wynikających z namiętności ludzi, krótkowzrocznych zarówno w dobrym, jak w złym.

Oto najszczęsza prawda, jak przedstawiały się ciemne zawiązki książki zatytułowanej *Nostramo*. Od tej chwili doznawałem wrażenia, iż mogła już powstać. Jednak wciąż ociągałem się jeszcze, jak gdyby ostrzegany instynktem samozachowawczym przed daleką i uciążliwą podróżą do kraju pełnego wichrzeń i zaburzeń rewolucyjnych. Lecz trzeba było przystąpić do dzieła.

Praca nad nim zajęła mi większość 1903 i 1904 roku. Przerywały ją niejednokrotnie wznawiające się wątpliwości, czy nie zatracę się w coraz to rozleglejszych perspektywach, które otwierały się przede mną w miarę dokładniejszej znajomości tego kraju. Nieraz też, kiedy myśli moje popadały w zastój nad zagmatwanymi sprawami tej republiki, brała mnie chętka, obrazowo mówiąc, spakować manatki, wyjechać z Sulaco dla zmiany klimatu i napisać kilka kartek *Zwierciadła morza*. Ale na ogół, jak już powiedziałem, pobyt mój na lądzie słynnej z gościnności Ameryki Łacińskiej trwał około dwu lat. Po powrocie (posługując się z lekka stylem kapitana Guliwera) zastałem mą rodzinę w zdrowiu i pomyślności; moja żona była bardzo zadowolona, że ten kłopot już się skończył, a nasz malec urósł znacznie podczas mej nieobecności.

Głównym mym źródłem do dziejów Costaguany była

⁵ *campo* (hiszp.) – pole, otwarty, płaski teren; rola; wieś. [przypis edytorski]

bezstronna i wymowna *Historia pięćdziesięciu lat nierządu*, której autorem był mój czcigodny przyjaciel, nieżyjący już don José Avellanos, minister pełnomocny przy dworze angielskim, hiszpańskim itd. Dzieło to nigdy nie pojawiło się w druku – czytelnik dowie się dlaczego – toteż jestem jedyną osobą na świecie, która zna jego treść. Wczytywałem się w nie całymi godzinami z wyteżoną uwagą i mam nadzieję, że moja ścisłość zdobędzie sobie zaufanie. Zarówno ze względu na siebie, jak dla uspokojenia obaw przezornych czytelników, uważam za konieczne zaznaczyć, iż nieliczne wzmianki historyczne nigdy nie mają na celu popisywania się moją jedyną umiejętnością, lecz że każda z nich pozostaje w ścisłym związku z tym, co się dzieje, bądź to rzucając światło na istotę wypadków bieżących, bądź też wpływając bezpośrednio na los osób przeze mnie opisywanych.

Jeżeli zaś chodzi o ich własne dzieje, to dokładałem starań, by je uwydatnić. Arystokrację i lud, mężczyzn i kobiety, Latynosów i Anglosasów, bandytę i polityka kreśliłem ręką tak chłodną, jak tylko to było możliwe w rozterce i wrzeniu mych własnych, sprzecznych uczuć. Poza wszystkim jest to zresztą historia ich zatargów. Trzeba było czytelnikowi wyłuszczyć, o ile zasługiwali oni na uwagę zarówno przez swe czyny, jak przez skryte dążenia swych serc, objawione wśród gorzkich konieczności epoki. Wyznaję, iż dla mnie był to okres niewzruszonych przyjaźni i niezapomnianej gościnności. Z wdzięcznością wspominam tu panią Gould, „najznakomitszą damę w Sulaco”, którą spokojnie można powierzyć tajonej

czułości doktora Monyghama i Charlesa Goulda; ten zaś idealistyczny twórca interesów materialnych niechaj pozostanie w swej kopalni – z której na tym świecie nie ma dlań wyjścia.

O Nostromie, tym drugim przedstawicielu sprzeczności rasowych i społecznych, również opętanym przez srebro z kopalni San Tomé, czuję się zobowiązany powiedzieć nieco więcej.

Nie wahałem się uczynić główną postacią Włocha. Najpierw dlatego, że jest to najzupełniej wiarygodne; Włosi roili się wówczas w Zachodniej Prowincji, jak o tym każdy, kto zechce dalej czytać, może się łatwo przekonać. Po wtóre, nie było nikogo, kto by mógł równie godnie stanąć obok Giorgia Violi, „Garibaldina”, tego idealisty dawniejszych, humanitarnych rewolucji. Potrzebny mi był człowiek z ludu, możliwie wolny od uprzedzeń klasowych i utartych sposobów myślenia. Powody moje były natury artystycznej, a nie moralnej. Gdyby był Anglosasem, byłby dążył do działalności w zakresie polityki miejscowej. Nie czuje potrzeby wyniesienia się nad tłumy. Poprzestaje na poczuciu, że jest potęgą – wśród ludu.

Główny jednak powód, dla którego Nostromo jest tym, czym jest, pochodzi stąd, iż pomysł jego podsunął mi jeszcze za czasów mej młodości pewien marynarz z Morza Śródziemnego. Ci, którzy czytali niektóre moje powieści, odgadną od razu, o co chodzi, gdy powiem, iż Dominik, *padrone*⁶ „Tremolina”, mógłby w pewnych okolicznościach stać się Nostromem. To

⁶ *padrone* (wł.) – tu: właściciel, kapitan. [przypis edytorski]

pewne, iż Dominik byłby rozumiał tego młodzieńca znakomicie – nie szczędząc mu zresztą pogardy. Obaj byliśmy wmieszani w pewną, niedorzeczną zresztą przygodę, lecz o niedorzeczność tu nie chodzi. Nie bez rzetelnego zadowolenia myślę o tym, iż za moich bardzo młodych lat musiało być we mnie coś, co było godne, żeby powodować na poły cierpką wiernością i na poły ironicznym oddaniem tego człowieka. Wiele z przemówień Nostroma słyszałem po raz pierwszy w głosie Dominika. Dzierżąc trzonek wiosła w garści i spod mniszego kaptura, ocieniającego jego twarz, wodząc nieuleknionym okiem po widnokręgu, zwykł był zaczynać wykłady swej okrutnej mądrości od słów: „*Vous autres gentilhommes*”⁷, a brzmiały one tak zjadliwie, iż po dziś dzień szemrzą mi w uszach. Podobnie jak Nostromo! Wy, *hombres finos*⁸! Nader podobnie jak Nostromo. Ale Korsykanin Dominik miał niejaką dumę rodową, od której Nostromo jest wolny, gdyż pochodzenie Nostroma wywodzić należy ze znacznie odleglejszych czasów. To człowiek, który dźwiga brzemień niezliczonych pokoleń minionych i nie ma powinowactw, żeby chełpić się nimi... Podobnie jak lud.

W mocnym chwycie, jakim przyłgnał do odziedziczonej ziemi, w swej nierozwadze i wspaniałomyślności, w rozrzutności, z jaką marnotrawi swe dary, w swej męskiej próżności, w niejasnym poczuciu swej wielkości, wreszcie w swej wiernej tkliwości dla tego, co rozpacza i jest rozpaczliwe w swych

⁷ *Vous autres gentilhommes* (fr.) – wy, szlachetni panowie. [przypis edytorski]

⁸ *hombres finos* (hiszp.) – szlachetni panowie. [przypis edytorski]

popędach – jest on człowiekiem z ludu, jego własną, niezawistną siłą, która gardzi władzą, ale włada od wewnątrz. Po latach, kiedy staje się z wiekiem słynnym kapitanem Fidaną i zagnieżdża się w kraju, kiedy załatwiając swe liczne sprawy, chodzi po zmodernizowanych ulicach Sulaco, ścigany spojrzeniami pełnymi szacunku, kiedy zachodzi do wdowy po *cargadorze*⁹, uczęszcza do Łoży i z niewzruszonym spokojem przysłuchuje się na wiecu przemówieniom anarchistycznym – zagadkowy orędownik nowego ruchu rewolucyjnego, bogaty, godny towarzysz Fidanza, który w duszy kryje poczucie swego upadku moralnego, pozostaje w swej istocie nadal człowiekiem z ludu. W pomieszeniu miłości i wzdardy życia, w obłędnym przeświadczeniu, iż go oszukano, że umiera oszukany, nie wiadomo przez co czy przez kogo, jest on do ostatka przedstawicielem ludu, jego bezsprzecznie wielkim człowiekiem – który ma zresztą poza tym swe osobiste dzieje.

Pragnąłbym nadmienić jeszcze o jednej postaci z tych burzliwych czasów, mianowicie o Antonii Avellanos, „pięknej Antonii”. Nie śmiem twierdzić, że jest typową przedstawicielką dziewcząt Ameryki Łacińskiej. Ale tak mi się przedstawia. Aczkolwiek zawsze nieco w cieniu, zawsze u boku swego ojca (mojego czcigodnego przyjaciela), jest ona mimo to – jak sądzę – dość wyrazista, by uprzystępnąć dalsze moje słowa. Ze wszystkich ludzi, którzy widzieli wraz ze mną narodziny

⁹ *cargador* (hiszp.) – robotnik portowy zajmujący się załadunkiem i rozładunkiem towarów; doker. [przypis edytorski]

Zachodniej Republiki, ona jedyna pozostawiła w mej pamięci obraz ciągłości życia. Arystokratka, Antonia, i człowiek z ludu, Nostromo, są mistrzami nowej ery, istotnymi twórcami nowego państwa; on dzięki swemu legendarnemu i zuchwałemu czynowi, ona, jako kobieta, po prostu dzięki swej swoistej potędze, gdyż tylko ona zdolna była rozniecić szczere uczucie w sercu nicponia.

Jeżeli kiedykolwiek mogłoby mnie jeszcze coś skłonić do ponownego pobytu w Sulaco (należałoby się śpieszyć, by zobaczyć zmiany, jakie tam zaszły), to tylko Antonia. A istotnym tej chęci powodem – bo i czemuż nie miałbym być szczery? – jest to, że wzorowałem ją na pierwszej mojej miłości. Byliśmy czeredą szkolnych wyrostków, nieodłącznymi towarzyszami jej dwu braci, i pamiętam, jak spoglądaliśmy na tę dziewczynę, która sama niedawno opuściła ławę szkolną, a już niosła sztandar wiary, pod którym wszyscy urodziliśmy się, lecz który tylko ona umiała dźwżyć wysoko z niezachwianą nadzieją! Być może, iż miała w swej duszy więcej żaru, a mniej spokoju od Antonii, lecz była nieprzejednanie czystą kapłanką patriotyzmu, bez najlżejszej zmały ziemskości w swych myślach. Nie tylko ja jeden w niej się kochałem, ale ja byłem tym, który najczęściej słyszał od niej gorzkie wyrzuty z powodu swej lekkomyślności – nader podobnie jak biedny Decoud – i w którego najczęściej godziły ciosy jej surowej, nieodpartej zniewagi. Nie całkiem mnie rozumiała – ale mniejsza o to. Tego popołudnia, kiedy przyszedłem do niej jako skruszony, lecz zuchwały grzesznik, żeby pożegnać się raz na zawsze, otrzymałem uścisk dłoni,

od którego drgnęło mi serce, i ujrzałem łzę, co wydarła mi westchnienie z piersi. Zmiękła w końcu, gdyż uświadomiła sobie nagle (ach, byliśmy jeszcze zupełnymi dziećmi!), że odjeżdżam naprawdę na dobre, że jadę bardzo daleko – tak daleko, jak do Sulaco, które, nieznane, skrywa się przed naszymi oczyma w pomroce Zatoki Placido.

Oto dlaczego tęsknię niekiedy, by znów zobaczyć „piękną Antonię” (a może raczej tę inną?), gdy kroczy w mrokach wielkiej katedry, odmawia krótką modlitwę nad grobem pierwszego i ostatniego kardynała-arcybiskupa Sulaco, przystaje zadumana w dziecięcej tkliwości przed pomnikiem don¹⁰ Joségo Avellanosa i tęsknym, słodkim, ufnym spojrzeniem obrzuca pamiątkowy medalion Martina Decouda, po czym wychodzi spokojnie na słoneczną *plaza*¹¹, smukła, z niepokalaną skronią, istna świętość przeszłości, lekceważonej przez ludzi, co oczekują niecierpliwie zórz innych, nowych er, rozpętania dalszych rewolucji.

Lecz jest to najplonniejszy z moich snów. Z chwilą, kiedy uleciało ostatnie tchnienie z piersi dostojnego *capataza*¹², człowieka z ludu, uwolnionego wreszcie od trosk miłości i bogactwa, zrozumiałem w zupełności, iż nie mam już nic do czynienia w Sulaco.

¹⁰ *don* (hiszp.) – pan, zwrot grzecznościowy używany przed imieniem osoby. [przypis edytorski]

¹¹ *plaza* (hiszp.) – plac. [przypis edytorski]

¹² *capataz* (hiszp.) – nadzorca, brygadzysta, majster. [przypis edytorski]

J. C.

Październik 1917

Część pierwsza. Srebro kopalni

Rozdział I

Za czasów panowania hiszpańskiego i przez wiele lat po nim, miasto Sulaco – bujna piękność ogrodów pomarańczowych świadczy o jego starożytności – nie miało większego znaczenia handlowego i było tylko przybrzeżnym portem, którego wcale znaczny handel miejscowy ograniczał się do skór bydłychych i indyga. Głęboko się nurzające, ociążałe galeony zdobywców, które potrzebowały mocnego wiatru, by w ogóle ruszyć z miejsca, i nieruchomiały tam, gdzie okręt nowoczesny, zbudowany smuklejszym kształtem, mknie naprzód od samego trzepotania swych żagli, nie docierały do Sulaco z powodu przemożnych cisz panujących w jego olbrzymiej zatoce. Dostęp do niektórych portów na świecie bywa utrudniony przez zdradliwe skały podwodne i burzliwe wybrzeże. Sulaco, obce pokuszeniom świata handlowego, zawdzięczało swą nietykalność uroczystej ciszy głębokich wód Golfo Placido¹³, mieszcząc się jak gdyby w niezmierzonej, półkolistej i nienakrytej sklepieniem świątyni, co otwarta ku morzu, ma ściany z niebotycznych gór, obwieszonych posepnymi zasłonami obłoków.

¹³ *Golfo Placido* (hiszp.) – Zatoka Łagodna. [przypis edytorski]

Po jednej stronie tej wielkiej krzywizny, tuż na brzegu Republiki Costaguany, ostatni kraniec wybrzeża tworzy niepozorny przylądek zwany Punta Mala. Sam ten punkt lądu od środka zatoki jest zupełnie niewidoczny, natomiast trzon stromego wzgórza w głębi kreśli się nikłym cieniem na przestworzu niebieskim.

Po drugiej stronie coś, co wydaje się niby samotnym strzępem błękitnej mgły, pławi się lekko w przeźroczach widnokregu. To półwysep Azuera, dziki zwał ostrych krzesanic¹⁴ i kamienistych równi, przerżniętych pionowymi wąwozami. Sięga on daleko w morze niby srogi łeb kamienny, który wyciąga się z przyodzianego zielenią wybrzeża na cienkiej, piaszczystej szyi, pokrytej gęstwą ciemnych zarośli. Zupełnie pozbawiony wody, gdyż opady deszczowe ściekają od razu ze wszech stron do morza, nie ma podobno nawet tyle ziemi, żeby wyżywić bodaj jedno źdźbło trawy, jak gdyby go poraziła jakaś klątwa. Biedacy, którym mętny instynkt pociechy każe kojarzyć zło z bogactwem, utrzymują, iż jest jałowy, gdyż kryje w sobie zakłute skarby. Pospółstwo okoliczne, *peonowie*¹⁵ z *estancji*¹⁶, *vaqueros*¹⁷ z równin nadmorskich, obłaskawieni Indianie, którzy idą z daleka, by przynieść na targ wiązkę trzciny cukrowej lub koszyk kukurydzy, niewart trzech groszy,

¹⁴ *krzesanica* – urwisko skalne. [przypis edytorski]

¹⁵ *peon* (hiszp.) – robotnik rolny. [przypis edytorski]

¹⁶ *estancia* (hiszp.) – majątek ziemski. [przypis edytorski]

¹⁷ *vaquero* (hiszp., lm: *vaqueros*) – pasterz bydła. [przypis edytorski]

są przeświadczeni, iż stopy lśniącego złota leżą w mrokach przepaścistych otchłani, bruźdzących kamieniste płaszczyzny Azuery. Podanie utrzymuje, iż w prastarych czasach zginęło tam wielu zuchwalców, którzy się wybierali na poszukiwanie tych skarbów. Krążą również pogłoski, że już za pamięci ludzkiej dwu wędrownych marynarzy – ponoć *Americanos*¹⁸, lecz na pewno *gringos*¹⁹ w swoim rodzaju – namówiło pewnego szulera, złajdaczzonego *mozo*²⁰ i ukradli we trójkę osła, który miał dźwigać dla nich wiązkę suchego chrustu, bukłak z wodą i zapas żywności na parę dni. Tak zaopatrzeni, z rewolwerami u pasa, wyruszyli, by maczetami utorować sobie drogę wśród ciemnych zarośli pokrywających przesmyk półwyspu.

Następnego wieczora pionowy słup dymu (który mógł pochodzić tylko z ich ogniska) po raz pierwszy za pamięci ludzkiej zamajaczył nikłą smugą na tle nieba, ponad ostrą jak brzytwa krzesanicą kamiennej głowy. Załoga przybrzeżnego szkunera, który stał o trzy mile od brzegu, patrzyła ze zdumieniem na to zjawisko aż do nastania ciemności. Pewien rybak murzyński, mieszkający w ustronnej chacie wznoszącej się opodal nad małą zatoczką, widział, jak wybierali się w drogę, i zwracał bacznie uwagę, czy nie dojrzy jakiegoś znaku.

¹⁸ *Americanos* (hiszp.) – Amerykanie. [przypis edytorski]

¹⁹ *gringo* (hiszp., lm: *gringos*) – cudzoziemiec, osoba dla której językiem ojczystym nie jest hiszpański. [przypis edytorski]

²⁰ *mozo* (hiszp.) – chłopak, młodzieniec; służący, posługacz, chłopiec na posyłki. [przypis edytorski]

Przywołał żonę, właśnie gdy słońce już zachodziło. Śledzili oboje osobliwego zwiastuna z zazdrością, niedowierzaniem i grozą. Ale bezbożni awanturnicy nie dali już odtąd żadnego znaku. Nikt potem nie widział ani marynarzy, ani Indianina, ani ukradzionego kłapoucha. Za duszę *mozo*, który pochodził z Sulaco, kazała jego żona odprawić kilka mszy; biednemu czworonogowi, jako że był bez grzechu, pozwolono prawdopodobnie zginąć własną śmiercią; ale co do dwóch *gringos*, którzy są żywymi widmami, utarło się przeświadczenie, iż po dziś dzień przebywają wśród głazów pod złowrogim zaklęciem swego szczęsnego losu. Ich dusze nie mogą opuścić swych ciał, dzierżących straż nad odkrytym skarbem. Są teraz bogaci, ale łakną i pragną – osobliwa teoria o zawziętych duchach *gringos*, pokutujących w zetlątych i wynędzniałych zewłokach upartych niedowiarków, podczas gdy chrześcijanin wyrzekłby się wszystkiego i byłby zbawiony.

Tacy to są ci legendarni mieszkańcy Azuery, strzegący jej zaklętych skarbów. Cień na niebie po jednej stronie wraz z krągłym strzępem błękitnych wyziewów plamiących świetlisty rąbek widnokregu po drugiej – oto dwa najskrajniejsze punkty zakola, które nosi nazwę Golfo Placido, gdyż jeszcze się nie zdarzyło, aby mocny wicher dał nad jego wodami.

Minąwszy wyobrażoną linię przeprowadzoną od Punta Mala do Azuery, okręty płynące z Europy zwracają się ku Sulaco, wolne naraz od ostrych podmuchów oceanicznych. Dostają się w moc płochych powiewów, które igrają z nimi nieraz

przez trzydzieści godzin na tej przestrzeni. Przed nimi ogrom spokojnej zatoki wypełniają przez znaczniejszą część roku wielkie kłęby nieruchomych i mętnych obłoków. Zdarzają się jednak czasem jasne poranki, a wówczas inny cień pada na rozpostarte tonie. Brzask świta za spiętrzoną, szczerbatą ścianą Kordyliarów²¹, tworząc wyrazistą wizję ciemnych turni, których strome zbocza wystrzelują z wyniosłego podścieliska borów, sięgających aż po sam skraj wybrzeża. Wśród nich biały szczyt Higueroty dźwiga się majestatycznie w bezmiar błękitu. Nagie zwały olbrzymich skał nakrapiają nikłymi, czarnymi plamkami śnieżną biel jej kopuły.

Później, gdy południowe słońce rozproszy z zatoki cienie górskie, z niżej położonych dolin zaczynają wypełzać chmury. Oblekają w posępne łąchmany obnażone urwiska krzesanic, wznoszących się nad lesistymi upłazami²², przysłaniają szczyty, kłębią się zwichrzonymi pasmami wśród śniegów Higueroty. Kordyliery pierzchają z oczu, jak gdyby się roztapiały w wielkich ławicach szarych i czarnych wyziewów, które staczają się ku morzu i zanikają doszczętnie w przejrzystym powietrzu pod płomienistym tchnieniem dnia. Niknący kraniec mgławicy wciąż posuwa się naprzód, ale rzadko dosięga środka zatoki. Marynarze powiadają, że pożera ją słońce. Bywa niekiedy, iż posępna

²¹ *Kordyliery* – łańcuch górski w zach. części Ameryki Płn.; w tradycji anglojęzycznej nazwa *the Cordilleras* obejmuje również południowoamerykańskie Andy. [przypis edytorski]

²² *upłaz* – rozległy, poziomy lub łagodnie nachylony stok górski. [przypis edytorski]

żagiew piorunowa błysnie z łona obłoków, przebiegnie po zatoce, ujdzie na pełne morze za Azuerą, rozpali się tam nagle płomieniem i załomocze niby jakiś złowrogi, napowietrzny okręt korsarski, przyległszy na widnokregu i ogarnąwszy morze.

Nocą opary podnoszą się ku niebu, pogrążając cały przestwór spokojnej zatoki w nieprzeniknionych ciemnościach. Tu i ówdzie słyhać, jak szmer rześistego deszczu wszczyną się i nagle ustaje. Te mgliste noce są przysłowiowe dla marynarzy wzdłuż całego zachodniego wybrzeża wielkiego lądu. Niebo, ziemia i morze nikną bez śladu, gdy Placido – jak zwykli powiadać – ułoży się do snu pod swym czarnym poncho²³. Nieliczne gwiazdy, widniejące od strony morza, poniżej chmurnego sklepienia, migocą blado, niby w czeluści czarnej jaskini. Płynący niewidzialnie wśród jej bezmiaru okręt drży pod stopami, a jego żagle szeleszczą w ciemności nad głową. Sam Bóg nie dojrzy – dodają, bluźniąc zgryźliwie – co tam czyni ręka ludzka i można by bezkarnie samego diabła wezwać na pomoc, gdyby nawet jego złość nie traciła swej mocy w tym głuchym mroku.

Brzegi zatoki są wszędzie strome. Trzy niezamieszkałe wysepki, zanurzone w powodzi słonecznej tuż poza obrębem mglistej opony²⁴, a położone naprzeciw ujścia portu w Sulaco, noszą miano Izabel.

Jest Wielka Izabela i całkiem okrągła Mała Izabela oraz

²³ *poncho* (hiszp.) – wierzchnie okrycie z prostokątnego kawałka tkaniny z otworem na głowę pośrodku. [przypis edytorski]

²⁴ *opona* (daw.) – zasłona; ozdobna tkanina okrywająca coś. [przypis edytorski]

najmniejsza z nich, Hermoza.

Ma ona zaledwie stopę wysokości i około siedmiu kroków średnicy. Jest to po prostu płaski wierzchołek szarej skały, który dymi po deszczu jak perzyna²⁵. Przed zachodem słońca nikt nie śmie stanąć na niej bosą nogą. Na Małej Izabeli stara, łachmaniasta palma o grubym, pękatym pniu najeżonym kolcami, istna wiedźma wśród drzew palmowych, szemrze posepnymi kiściami obumarłych liści nad jałowymi piachami. Wielka Izabela ma źródło czystej wody, tryskającej z urwiska spiętrzonego nad rozpadliną. Podobny do szmaragdu, zielony klin ziemi tworzy płaszczyznę nad morzem, a na nim wznoszą się dwa drzewa, rosnące blisko siebie i zaścielające podnóże swych gładkich pni wielkim kręgiem cienia.

Jar przerzyna wyspę podłużnie od jednego krańca do drugiego i jest pełen chaszczy. Wyższy jego brzeg rozszczepia głęboka, kręta szczelina, natomiast niższy przekształca się w płytką kotlinę i zlewa się z wąską smugą piaszczystego wybrzeża.

Z niższego krańca Wielkiej Izabeli wnika oko przez otwór, oddalony o jakieś dwie mile i jakby wyrąbany siekierą w regularnej falistości wybrzeża, wprost do portu w Sulaco. Jest to podłużna tafla wodna podobna do jeziora. Po jednej stronie lesiste garby i doliny Kordylierów staczają się pod kątem prostym aż do samego wybrzeża, po drugiej wielka płaszczyzna Sulaco gubi się w opalowej tajemnicy niezmierzonej oddali, zasnutej suchymi oparami. Samo miasto Sulaco – szczyty murów,

²⁵ perzyna (daw.) – zgliszcza, żarzący się popiół. [przypis edytorski]

wielka kopuła, białe balkony wyblaskujące z gęstwy gajów pomarańczowych – leży między górami a morzem, w niewielkiej odległości od portu i poza linią prostą, po której wzrok biegnie od strony morza.

Rozdział II

Jedyną oznaką działalności handlowej w porcie widoczną z plaży Wielkiej Izabeli jest graniasty, niezdarny kraniec drewnianego pomostu, który Towarzystwo Oceanicznej Żeglugi Parowej (w mowie potocznej T.O.Ż.P.) przerzuciło przez płytszą część zatoki, skoro tylko postanowiło uczynić Sulaco jednym ze swych portów węzłowych dla Republiki Costaguany. Państwo to posiada kilka przystani na swym długim wybrzeżu, lecz z wyjątkiem Cayty, mającej istotnie duże znaczenie, wszystkie inne są albo małymi i niedogodnymi załomami w skalistych brzegach – jak na przykład Esmeralda, położona o sześćdziesiąt mil dalej na południe – albo też zwykłymi postojami, otwartymi dla wiatrów i narażonymi na wrzenie toni morskiej.

Być może, iż warunki klimatyczne, które trzymały z dala floty handlowe wieków minionych, skłoniły T.O.Ż.P. do naruszenia świątynnej ciszy, chroniącej spokojny byt Sulaco. Zmienne powiewy, bujające swobodnie po ogromnym półokręgu wód okolonych głowicą Azuery, nie mogły ubezwładnić potęgi pary, jaką rozporządzała jego znakomita flota. Rok po roku czarne kadłuby jego okrętów krążyły wzdłuż wybrzeża, wpływały do portu i z niego wypływały, mijały Azuerę, Izabele i Punta Mala – nie dbając na nic prócz przemocy czasu. Ich nazwy, imiona zaczerpnięte z mitologii, spowszedniały na wybrzeżach, które nigdy nie pozostawały pod władzą bogów olimpijskich. „Junona”

znana była tylko ze swych wygodnych kabin w kadłubie, „Saturn” z genialności swego kapitana oraz przepysznie malowanego i złoczonego salonu, natomiast „Ganimedes” nadawał się głównie do przewozu bydła, więc unikali go wszyscy podróżni obeznani z wybrzeżem. Najuboższy Indianin z najmarniejszej wioski nadbrzeżnej znał „Cerbera”, niewielkiego, czarnego kopciucha, pozbawionego wdzięku i ludzkich urządzeń, który wałęsał się wzdłuż lesistych nizin pobrzeżnych, tuż obok potężnych, groźnych skał, i przystawał uprzejmie przed każdą kępą chat dla zabrania ziemiopłodów, począwszy od trzyfuntowej bryłki kauczuku zawiniętej w suchą trawę.

A ponieważ statki te rzadko pomijały najdrobniejszą bodaj przesyłkę, nie naraziły nikogo na stratę cielaka i nie utopiły ani jednego ze swych podróżnych, więc firma T.O.Ż.P. słynęła ze swej rzetelności. Powiadano, iż pod jej opieką życie i mienie ludzkie jest bezpieczniejsze na wodzie niżeli pod własnym dachem na lądzie.

Naczelnik sekcji T.O.Ż.P. w Sulaco, obsługującej całą Costaguanę, był bardzo dumny ze stanowiska, jakie zajęło jego przedsiębiorstwo. Duma ta wyrażała się w słowach, które nader często rozbrzmiewały z jego ust: „My nie mylimy się nigdy”. W stosunku do oficerów Towarzystwa przybierały one formę surowego napomnienia: „Nie powinniśmy mylić się nigdy! Nie zniósłbym tu pomyłek i nic mnie nie obchodzi, co tam Smith robi w swoim kącie”.

Smith, którego nigdy nie widział na oczy, był również

naczelnikiem z ramienia przedsiębiorstwa, urzędującym o jakieś tysiąc pięćset mil od Sulaco. „Nie mówcie nic o waszym Smisie”.

Po czym, uspokajając się nagle, zwykł był odprawiać swych podwładnych z wyszukaną niedbałością:

– Smith wie tyle o tym łądzie, co niemowlę u piersi.

„Nasz przezacny señor²⁶ Mitchell”, jak wyrażały się sfery przemysłowe i urzędowe w Sulaco, „czepialski Joe”, jak powiadali komendanci okrętów Towarzystwa – kapitan Józef Mitchell, chełpił się głęboką znajomością spraw i ludzi miejscowych – *cosas de Costaguana*²⁷. Za najbardziej niekorzystne z nich dla prawidłowej działalności swego przedsiębiorstwa uważał częste zmiany rządu, powodowane przez rewolucje o charakterze wojskowym.

Ówczesna atmosfera polityczna republiki była na ogół burzliwa. Patriotyczni zbiegowie z pokonanego stronnictwa zdobyli się na pomysł wywołania nowego przewrotu na wybrzeżu przy pomocy parowca, naładowanego do połowy bronią ręczną i amunicją. Tej obfitości zasobów dziwił się kapitan Mitchell niepomniernie, ile że uchodząc, byli ogołoceni ze wszystkiego. Nadmieniał, iż „wyglądali, jak gdyby nie mieli przy sobie dość drobnych, żeby zapłacić za wyjazd z ojczyzny”. A mógł mówić ze znajomością rzeczy, gdyż przy pewnej pamiętnej sposobności wzywano go, by ocalił życie dyktatora oraz kilku urzędników

²⁶ *señor* (hiszp.) – pan, zwrot grzecznościowy używany z nazwiskiem osoby. [przypis edytorski]

²⁷ *cosas de Costaguana* (hiszp.) – sprawy Costaguany. [przypis edytorski]

z Sulaco, mianowicie przedstawiciela władzy administracyjnej, dyrektora ceł oraz naczelnika policji, którzy należeli do obalonego rządu. Biedny señor Ribiera (tak nazywał się ów dyktator), przegrawszy bitwę pod Socorro, ujechał osiemdziesiąt mil, przedzierając się rozpaczliwie przez przesmyki górskie, gdyż miał nadzieję, że uda mu się wyprzedzić fatalne nowiny – czego oczywiście nie zdołał dokonać na kulawym mule. Na domiar zwierzę padło pod nim martwe na końcu *alamedy*²⁸, gdzie wieczorami grywa niekiedy muzyka wojskowa, gdy nie ma rewolucji. „Panie – mawiał dalej kapitan Mitchell z niezmierną powagą – żałosny koniec tego muła zwrócił uwagę na nieszczęśliwego jeźdźca. Rysy jego rozpoznało kilku zbiegów z armii dyktatora wśród łotrowskiego motłochu, który wybijał już szyby w gmachu Intendencji²⁹”.

Wczesnym rankiem tego dnia władze miejscowe z Sulaco schroniły się w biurach T.O.Ż.P., potężnym budynku, położonym na brzegu u końca pomostu, pozostawiając miasto na pastwę rewolucyjnej tłuszczy. Dyktator, przeklinany przez ludność z powodu surowego prawa poborowego, do którego zmusiły go konieczności wojenne, miał wszelkie widoki, iż rozszarpia go na ćwierci. Na szczęście Nostromo – nieoceniony człowiek! – wraz z garścią włoskich robotników, sprowadzonych do budowy Centralnej Kolei Państwowej, był pod ręką i zdołał go wyrwać z tłumu – przynajmniej na razie. Ostatecznie kapitanowi

²⁸ *alameda* (hiszp.) – promenada. [przypis edytorski]

²⁹ *intendencia* – tu: zarząd miasta, gminy lub prowincji. [przypis edytorski]

Mitchellowi udało się przewieźć ich wszystkich własną łodzią na jeden z parowców Towarzystwa – była to „Minerwa” – który szczęsnym trafem właśnie w tej chwili zawijał do portu. Trzeba było spuszczać tych panów na linie przez otwór w tylnej ścianie domu, gdy tymczasem motłoch, który wyroił się z miasta i rozproszył wzdłuż wybrzeża, wył i pieniał się u frontowego podnóża budynku. Dostojny przedstawiciel T.O.Ż.P. musiał potem biec z nimi przez całą długość pomostu; był to rozpaczliwy bieg, po prostu karkołomny – i znów Nostromo, ten kochany człowiek, tym razem na czele zastępu robotników portowych Towarzystwa bronił pomostu przed naporem tłuszczy i pozwolił zbiegom dotrzeć do łodzi, która czekała już na nich u drugiego krańca z flagą Towarzystwa zatkniętą na rufie. Sypały się strzały, kije i kamienie, rzucono nawet nożami. Kapitan Mitchell pokazywał długą bliznę ponad lewym uchem i na skroni, pochodzącą od ostrza brzytwy przytwierdzonej do kija – broni, wedle niego, bardzo cenionej „przez najgorszą hołotę murzyńską”.

Kapitan Mitchell był tęgi i już w statecznym wieku. Nosił wysokie, spiczaste kołnierzyki, miał krótkie bokobrody, był zwolennikiem białych kamizelek i lubił gawędzić, chociaż pokrywał tę chętkę pozorami wyniosłej powściągliwości.

– Ci panowie – mawiał, spoglądając z uroczystą powagą – zmykali jak króliki. I ja także czmychałem jak królik. Pewne rodzaje śmierci są... hm... obrzydliwe dla... hm... przyzwoitego człowieka. Byliby mnie również uśmiercili.

Oszalały motłoch nie dba o różnice. Dzięki Opatrzności zawdzięczaliśmy nasze ocalenie mojemu *capatazowi de cargadores*, jak go nazywali w mieście. Kiedym go odkrył, był już sternikiem na włoskim okręcie, dużym okręcie genueńskim, jednym z tych nielicznych okrętów europejskich, które zawijały do Sulaco z ładunkiem, zanim powstała Centralna Państwowa. Porzucił go za namową przezacnych przyjaciół, których tu znalazł, swych ziomków, ale mi się zdaje, że chodziło mu także o poprawę swego losu. Trzeba panu wiedzieć, że jestem doskonałym znawcą charakterów. Mianowałem go przodownikiem naszych robotników portowych i nadzorcą naszego nabrzeża. Oto czym był. Ale bez niego señor Ribiera byłby zginął. Ten Nostromo, człowiek bez zarzutu, stał się postrachem wszystkich miejskich złodziei. Byliśmy podówczas nawiedzeni, zalani po prostu, panie, przez *ladrones*³⁰ i *matreros*³¹, złodziei i zbrodniarzy z całej prowincji. Korzystając ze sposobności, napływali do Sulaco przez cały poprzedni tydzień. Wywąchali, że bliski już koniec. Połowa tego rozbójniczego motłochu składa się z zawodowych bandytów, którymi obdarzyło nas Campo, ale nie było żadnego wśród nich, który by nie słyszał o Nostromie. Zaś *leperos*³² miejscy tchórzli już na sam widok jego czarnego zarostu i białych zębów. Truchleli przed nim, panie! Co to może siła charakteru,

³⁰ *ladron* (hiszp.) – złodziej. [przypis edytorski]

³¹ *matrero* (hiszp.) – bandyta. [przypis edytorski]

³² *lépero* (hiszp.) – łobuz, drań. [przypis edytorski]

nieprawdą?

Wyglądało to tak, jakby sam Nostromo ocalał życie tym panom, zaś kapitan Mitchell nie odstępował ich, dopóki nie znaleźli się na pokrytych kosztownym aksamitem kanapach salonu pierwszej klasy na „Minerwie”, wyczerpani, zdyszani, przerażeni i zrozpaczeni, lecz żywi i cali. Na ostatek okazał tyle delikatności, iż zwrócił się do byłego dyktatora ze słowami: „Wasza ekscelencjo”.

– Panie, nie mogłem inaczej! Ten człowiek był złamany – upiorny, siny, cały pokryty ranami.

„Minerwa” nie stanęła na kotwicy w porcie. Naczelnik T.O.Ż.P. wydał rozkaz, by natychmiast odpłynęła. Nie dało się oczywiście wyładować towaru, a podróżni płynący do Sulaco nie chcieli wyjść na brzeg. Słyszeli strzały i widzieli dokładnie walkę, która rozegrała się tuż nad wodą. Odparty motłoch rzucił się z rozmachem na gmach Urzędu Celnego, posępny budynek o wielu oknach, wyglądający jak niewykończony. Znajdował się on o jakieś dwieście jardów³³ od zabudowań T.O.Ż.P. i był obok nich jedynym w pobliżu portu. Kapitan Mitchell, poleciwszy komendantowi „Minerwy”, by wysadził „tych panów” w pierwszym znacniejszym porcie poza obrębem Costaguany, powrócił w swej łodzi, by zobaczyć, co dałoby się uczynić dla ochrony własności Towarzystwa. Podobnie jak mienie kolejowe pozostawała ona pod opieką przedstawicieli państw europejskich, to znaczy samego kapitana Mitchella oraz grona

³³ *jard* – anglosaska miara długości, ok. 0,9 metra. [przypis edytorski]

inżynierów budujących tory, a mieli do pomocy robotników włoskich i baskijskich, którzy dochowali wierności swym angielskim przełożonym. Robotnicy portowi Towarzystwa, choć pochodzący z Costaguany, sprawowali się również dzielnie pod wodzą swego *capataza*. Były to wyrzutki bardzo mieszanej krwi, głównie Murzyni, żyjący w ustawicznych zatargach z innymi klientami podrzędnych szynków miejskich, którzy korzystali z rozkoszą z tej sposobności, by załatwiać swe osobiste porachunki w tak sprzyjających warunkach. Nie było wśród nich ani jednego, któremu nie zdarzyłoby się już patrzeć z trwogą na rewolwer Nostroma skierowany ku swojej twarzy lub nie doświadczył w inny sposób na sobie jego stanowczości. To był „tęgi chłop” ten ich *capataz*, o którym powiadali, że zbyt wiele ma pogardy w swym usposobieniu, by poniewierać wyzwiskami, a jest przy tym niestrudzony w swych działaniach i tym straszniejszy, że nie zapomina języka w gębie. I oto tego dnia stał na czele, zwracając się łaskawie w żartobliwy sposób do tego lub owego.

Takie przewodnictwo dodawało ducha, toteż szkody wyrządzone przez motłoch ograniczyły się do podłożenia ognia pod jeden jedyny stos podkładów kolejowych, które były nasmołowane i paliły się dobrze. Główny atak na składy kolejowe, na biura T.O.Ż.P., zaś przede wszystkim na gmach Urzędu Celnego, pod którego silnymi sklepieniami znajdował się, jak powszechnie było wiadomo, wielki zapas srebra w sztabach, nie powiódł się zupełnie. Nawet hotelik starego

Giorgia, stojący samotnie na połowie drogi między portem a miastem, uniknął rabunku i spustoszenia, a nie było to cudem, lecz stało się dlatego, że tłuszcza, czując się bezpieczna, nie dbała zrazu o niego, a później nie zdołała już się zatrzymać. Nostromo ze swymi *cargadores* zbyt mocno ją naciskał.

Rozdział III

Mógłby był ktoś powiedzieć, iż po prostu śpieszył z pomocą swym najbliższemu. Od samego początku żył się blisko z rodziną hotelarza, który był jego ziomkiem. Stary Giorgio Viola, z pochodzenia genueńczyk, o siwej, rozwianej, lwiej grzywie – zwany często „Garibaldino”³⁴ (podobnie jak mahometanie wzięli miano od swego proroka) – był, wedle słów kapitana Mitchella, tym „przecacnym, statecznym przyjacielem”, za którego namową Nostromo porzucił służbę na okręcie, by szukać szczęścia na wybrzeżach Costaguany.

Starzec, pełen pogardy dla miejscowej ludności, jak to często się zdarza surowym republikanom, zlekceważył pierwsze objawy zaburzeń. Wyszedł, jak zwykle, tego dnia, by powalęsać się w pantoflach dokoła *casy*³⁵, wyrażając przy tym gniewnym pomrukiem swą pogardę dla rozruchów pozbawionych charakteru politycznego i wzruszając ramionami. Ostatecznie zaskoczył go niespodziewanie pochód motłochu. Było już za późno myśleć o usunięciu rodziny, bo i dokądże można było uciekać na tej wielkiej równinie z pulchną

³⁴ *garibaldino* (wł.) – garibaldiczyk, żołnierz-ochotnik walczący o niepodległość i zjednoczenie Włoch pod dowództwem Giuseppe Garibaldiego (1807–1882). [przypis edytorski]

³⁵ *casa* (hiszp., r.ż.) – dom. [przypis edytorski]

signora³⁶ Teresą i dwojgiem dziewczątek? Zabarykadowawszy zatem wszystkie otwory, starzec siedział niewzruszony pośrodku przyciemnionej kawiarni ze starą strzelbą myśliwską na kolanach. Obok niego na drugim krześle zajęła miejsce jego małżonka, szepcząc pobożnie modlitwy do wszystkich świętych z kalendarza.

Stary republikanin nie wierzył ani w świętych, ani w modły, ani w to, co nazywał „religią księżą”. Wolność i Garibaldi byli jego bóstwami; ale pobożnie „zabobonom” kobiecym i zachowywał pod tym względem wyniosłe milczenie.

Obie jego córki, starsza czternastoletnia, a druga o dwa lata młodsza, przykucnęły na posypanej piaskiem podłodze po obu stronach signory Teresy, kryjąc głowy na łonie matki. Obie były podniecone, lecz w odmienny sposób; ciemnowłosa Linda wrzała z oburzenia i gniewu, natomiast młodsza, śliczna Gizela, była raczej przerażona i zrezygnowana. *Padrona*³⁷ podniosła na chwilę ramiona, którymi obejmowała córki, by się przeżegnać, i załamała rozpaczliwie ręce. Stęknęła nieco głośniej:

– Och, Gian' Battista, czemu tu ciebie nie ma? Och, czemuż tu ciebie nie ma?

Nie miała na myśli świętego, lecz Nostroma, którego ten święty był patronem. Stary Giorgio, siedzący nieruchomo obok niej na krześle, obruszył się na te bezładne i żalosne biadania.

– Cicho, kobieto! Czy to ma jakiś sens? To jego obowiązek –

³⁶ *signora* (wł.) – pani. [przypis edytorski]

³⁷ *padrona* (wł.) – gospodyni, właścicielka. [przypis edytorski]

mruknał w pomroce, lecz rzekła mu na to, rzucając się i sapiąc:

– Ech, co mi po cierpliwości? Obowiązek! A cóż ma stać się z kobietą, która była dla niego matką? Klękałam przed nim dziś rano: nie wychodź, Gian' Battista! pozostań w domu, Battistino! Patrz na dwoje tych niewinnych dzieciątek!

Signora Viola była również Włoszką, urodzoną w Spezzii. Miała już młodość za sobą, chociaż była znacznie młodsza od swego męża. Rysy jej twarzy były niebrzydkie, ale cerę miała żółtą, gdyż klimat Sulaco zupełnie jej nie służył. Głos jej rozbrzmiewał mocnym *contralto*. Kiedy założywszy ramiona pod bujnym łonem, zrzędziła na krępe, grubonogie dziewczęta chińskie, które bieleły płótno, skubały drób lub tłukły ziarno w drewnianych moździerzach wśród brudnych przybudówek za domem, zdobywała się na takie namiętne, rozedrgane, grobowe tony, iż uwiązany na łańcuchu pies podwórzowy czmychał do swej budy, warcząc donośnie. Luis, Mulat o cynamonowej barwie skóry, kielkujących zaledwie wąsikach i grubych, ciemnych wargach, przestawał zamiatać kawiarnię pękiem liści palmowych i czuł, że ciarki przebiegają mu z lekka po grzbiecie. Jego tęskne oczy w kształcie migdałów zamykały się przy tym na długo.

Tak przedstawiała się służba w Casa Viola, pierzchła jednak wczesnym rankiem za pierwszym odgłosem rozruchów, woląc ukrywać się wśród pól, niż pozostać w domu. I trudno było ją za to ganić, gdyż – nie wiadomo, słusznie, czy niesłusznie – powszechnie w mieście utrzymywano, iż Garibaldino ma pieniądze zakopane pod podłogą w kuchni. Pies, zły i kudłaty,

ujadał zapamiętałe lub skomlał żałośnie, bądź to przewracając się na grzbiet, bądź też wpadając do budy i wypadając z niej, jak gdyby opętany przez trwogę.

Huragany wrzasków zrywały się i zamierały na podobieństwo podmuchów wicheru, rozpetanych na równinie dokoła zabarykadowanego domu. Gorączkowe grzechotanie wystrzałów górowało nad krzykami. Niekiedy następowały chwile niepojętej ciszy i niepodobna było wyobrazić sobie czegoś radośniejszego i spokojniejszego od wąskich, jasnych smug światła słonecznego, które przedostawały się przez szczeliny okiennic i przez zawałoną stołami i krzesłami kawiarnię padały na przeciwległą ścianę. Tę pustą, wybieloną salę stary Giorgio wybrał na schronienie. Miała tylko jedno okno, zaś jej jedyne drzwi wychodziły na pokryty kurzem gościniec, który wił się między żywopłotami z aloesu i łączył miasto z portem. Zazwyczaj skrzypiały na nim ciężkie wozy, wlokące się w ślad za leniwie stąpającymi wołami, popędzanymi przez chłopaków na koniach.

Gdy znów nastąpiła chwila ciszy, Giorgio odwiódł kurek strzelby. Na ten złowieszczy chrzęst odpowiedziało głucho stęknienie znieruchomiącej obok niego kobiety. Nagły wybuch wrogiego wrzasku, który rozległ się tuż koło domu, przycichł naraz w jakichś niewyraźnych pomrukach. Ktoś biegł wzdłuż domu; gdy mijał drzwi, wionął głośny szmer oddechu z jego zdyszanej piersi. Pod ścianą zabelkotał ktoś chrapliwie i zatupotały czyjeś nogi. Czyjeś ramię otarło się o okiennicę, gasząc jasne smugi słońca, które przenikały przez całą szerokość

sali. Ramiona signory Teresy, obejmujące klęczące postacie córek, zacisnęły się dokoła nich kurczowo.

Motłoch, odparty od gmachu Urzędu Celnego, rozsypał się na kilka gromad, które przez równinę pierzchały ku miastu. Na przemożny grzechot salw, rozlegających się z oddali, odpowiadały skądś przyciszone wycia. Pojedyncze strzały huczały w przerwach głucho, a niski, długi, biały budynek o pozamykanych okiennicach zdawał się być ośrodkiem zamętu, który wrzał wielkim kręgiem dokoła jego martwej ciszy. Lękliwe ruchy i szepty rozbitej szajki, szukającej chwilowego schronienia pod ścianami domu, napełniały ciemność, przecinaną spokojnymi pasmami słonecznego blasku, jakimiś złowrogimi, ukradkowymi szmerami. Rozbrzmiewały one w uszach Violów, którym zdawało się, że jakieś niewidzialne widma czają się za ich krzesłami i naradzają się szeptem, czy nie należałoby podłożyć ognia pod *casą* tych przybłędów.

Rozstrajało to nerwy. Stary Viola podniósł się z wolna ze strzelbą w ręce, ale nie wiedział, co zrobić, by przeszkodzić napastnikom. Głosy dolatywały już od tyłu. Signora Teresa nie posiadała się z przerażenia.

– Ach, zdrajca! – szeptała niemal bezgłośnie. – Teraz tu nas spała, a ja padałam przed nim na kolana! Ale on musi biec przy nodze swoich Anglików!

Zdawało się jej, że dość było obecności Nostroma, żeby dom był zupełnie bezpieczny. I ona także zostawała pod urokiem rozgłosu, jaki zdobył sobie na wybrzeżu i wzdłuż linii kolejowej

capataz de cargadores zarówno wśród Anglików, jak wśród mieszkańców Sulaco. Przy nim, nawet wobec swego męża, udawała zawsze, iż sztydzi sobie z niego, naśmiewając się czasem dobrodusznie, lecz częściej z jakąś dziwną goryczą. Wszelako kobiety są nierozumne w swych sądach, jak zwykły był mawiać spokojnie Giorgio w podobnych okolicznościach. Trzymając więc przed sobą strzelbę gotową do strzału i nie spuszcżając oka z zabarykadowanych drzwi, nachylił się do żony i szepnął jej do ucha, że Nostromo nie zdołałby im dopomóc. Bo i cóż może zdziałać dwu ludzi zamkniętych w domu przeciw dwudziestu, którzy chcą podłóżyć ogień pod dach? Jest pewien, iż Gian' Battista ani przez chwilę nie zapomina o domu.

– Nie zapomina o domu! On? – bełkotała nieprzytomnie signora Viola, uderżając się dłonią w piersi. – Znam ja go! On myśli tylko o sobie.

Huk broni palnej rozległ się w pobliżu. Odchyliła głowę w tył i zamknęła oczy. Stary Giorgio zacisnął zęby pod białymi wąsami, a jego źrenice błysnęły dziko. Kilka kul ugodziło równocześnie w skraj ściany i było słychać, jak tynk od zewnątrz obsypywał się kawałkami. Jakiś głos wrzasnął: „Idą tutaj!” i po chwili straszliwego milczenia zatupotały głucho nogi pod ścianą frontową.

Wyprostowana postać starego Giorgia pochyliła się znowu i uśmiech pogardliwej ulgi przemknął po ustach sędziwego wojownika o lwiej głowie. To nie był lud walczący o sprawiedliwość, lecz złodzieje. Bronić się przeciwko nim było

już poniekąd poniżeniem dla człowieka, który był jednym z owego nieśmiertelnego tysiąca, co pod wodzą Garibaldiego zdobywał Sycylię³⁸. Miał bezgraniczną pogardę dla tych opryszków i *leperos*, którzy nie rozumieli znaczenia słowa „wolność”.

Odłożył swą starą strzelbę, odwrócił głowę i rzucił okiem na kolorową litografię Garibaldiego, widniejącą w czarnych ramach na białej ścianie. Smuga jasnego blasku przekreślała ją prostopadle. Oczy jego, nawykłe już do mroku, doszukiwały się mocnego zabarwienia twarzy, czerwieni koszuli, zarysów barczystych ramion i czarnej plamy bersalierskiego³⁹ kapelusza, nad którym przeginało się kogucie pióro. Nieśmiertelny bohater. Oto jaka była nasza wolność! Dała nam nie tylko życie, lecz także nieśmiertelność!

Nie umniejszał się fanatyzm tego człowieka. W chwili, kiedy doznał ulgi na myśl, że jego rodzina uniknęła największego może niebezpieczeństwa, na jakie była narażona w swym tułaczym życiu, zwrócił się przede wszystkim do wizerunku swego wodza, a następnie położył rękę na ramieniu żony.

Dzieci, klęczące na podłodze, nie poruszyły się. Signora Teresa otworzyła nieco oczy, jak gdyby się budziła z

³⁸ z owego nieśmiertelnego tysiąca, co pod wodzą Garibaldiego zdobywał Sycylię – w maju 1860 Giuseppe Garibaldi na czele tysiąca ochotników wyprawił się przeciwko Królestwu Obojga Sycylii i w ciągu czterech miesięcy obalił rządy Burbonów, co przyczyniło się do zjednoczenia Włoch. [przypis edytorski]

³⁹ *bersalierski* – przym. od *bersalier*: żołnierz lekkiej piechoty włoskiej, formacji utworzonej w 1836. [przypis edytorski]

najgłębszego snu, w którym nic jej się nie śniło. Zanim zdążył we właściwy sobie, rozważny sposób rzec do niej uspokajające słowo, zerwała się na równe nogi, mając dzieci uwieszone po obu bokach, odetchnęła głęboko i wrzasnęła chrapliwie.

Równocześnie ktoś zaczął mocno i niecierpliwie stukać od zewnątrz w okiennicę. Usłyszeli nagle parskanie konia i przeciągły tętent podków na wąskiej, ubitej ścieżce przed domem. Koniec czyjegoś buta stukał znowu w okiennicę. Za każdym stuknięciem podzwaniały ostrogi. Wzburzony głos zawołał: – Hej, a co tam słychać?

Rozdział IV

Przez cały ranek Nostromo nie spuszczał oczu z Casa Viola, nawet w odmęcie najgorętszej utarczki pod gmachem Urzędu Celnego. „Jeśli ujrzę dym nad dachem – myślał sobie – to są zgubieni”. Przełamawszy motłoch, ruszył natychmiast pośpiesznie z garstką włoskich robotników w tym kierunku, była to bowiem najkrótsza droga do miasta. Część ściganej przez niego tłuszczy zamierzała, jak się zdawało, zatrzymać się pod domem; jego towarzysze dali salwę zza aloesowego żywopłotu i przynaglili łotrów do dalszej ucieczki. W zagłębieniu, gdzie układano szyny boczniczy kolejowej wiodącej do portu, ukazał się Nostromo na swej siwej klaczy. Wrzasnął, posłał za uciekającymi wystrzał z rewolweru i popędził do okna kawiarni. Przyszło mu na myśl, iż właśnie tę część domu musiał stary Giorgio wybrać na schronienie.

Głos jego dotarł do nich, zdyszany i nagłący:

– Hej, *Vecchio!*⁴⁰! Hola, *Vecchio!* Czy nie stało się wam nic złego?

– A widzisz... – mruknął stary Viola do żony.

Signora Teresa nie odezwała się. Nostromo zaśmiał się za oknem.

– Zdaje mi się, że *padrona* jeszcze żyje.

– Zrobiłeś wszystko, żeby umarła ze strachu – krzyknęła

⁴⁰ *vecchio* (wł.) – stary. [przypis edytorski]

signora Teresa. Chciała powiedzieć coś więcej, ale zabrakło jej głosu. Linda podniosła na chwilę oczy ku jej twarzy, lecz stary Giorgio rzekł, jakby chcąc usprawiedliwić:

– Jest nieco wzburzona.

Nostromo zaśmiał się powtórnie:

– Mnie nie wzburzy.

Signora Teresa odzyskała głos.

– Jest tak, jak mówię! Nie masz ani serca ani sumienia, Gian'

Battista...

Usłyszeli, że odwraca konia od okna. Oddział, którym dowodził, rozprawił gorączkowo po włosku i hiszpańsku. Zachęcano się nawzajem do pościgu. Stanął znowu na ich czele, wołając:

– *Avanti!*⁴¹

– Niedługo przebywał z nami. Nie ma tu cudzoziemców, żeby go chwalili – zawołała tragicznie signora Teresa. – *Avanti!* Oto wszystko, co go obchodzi. Byle być pierwszym, mniejsza o to gdzie, jak, być pierwszym wśród tych Anglików. Będą go pokazywali wszystkim: „Oto nasz Nostromo!” – Zaśmiała się złowieszczo. – Cóż to za imię? Co to znaczy Nostromo?⁴² Przybrał miano, które nie ma nic wspólnego z ich językiem.

Tymczasem Giorgio spokojnymi ruchami otwierał drzwi.

⁴¹ *Avanti!* (wł.) – naprzód! [przypis edytorski]

⁴² *Co to znaczy Nostromo?* – po włosku *nostromo* oznacza bosmana, a chociaż pochodzi od katalońskiego *nostramo*, *nostrre amo*: nasz pan, to przypomina wł. *nostro uomo*: nasz człowiek. [przypis edytorski]

Fala światła trysnęła na signorę Teresę z dwojgiem przytulonych do niej dziewczątek. Wyglądała malowniczo w tej postawie szczytnego macierzyństwa. Za nią na olśniewająco białej ścianie blakły w słońcu jaskrawe barwy litografii przedstawiającej Garibaldiego.

Stary Viola, stojąc koło drzwi, podniósł ramię w górę, jak gdyby zdawał sprawę ze swych śpiesznych, pierzchliwych myśli wizerunkowi dawnego swego wodza, zawieszonemu na ścianie. Nawet gdy gotował dla inżynierów, *signori Inglesi*⁴³, jak ich nazywał (był słynnym kucharzem, chociaż kuchnię miał ciemną), pozostawał, jak zawsze, pod okiem tego wielkiego człowieka, który wiódł go do chlubnych bojów hen, pod mury Gaety⁴⁴, gdzie tyrania byłaby szczęła raz na zawsze, gdyby nie przekłety, piemoncki pomiot królów i ministrów. Kiedy czasem przypaliło się coś na patelni podczas jakiejś misternej czynności z krajaną cebulą i kiedy starzec wybiegał na korytarz, klnąc i kaszląc w obłoku gryzącego dymu, wówczas rozlegało się niejednokrotnie nazwisko Cavoura⁴⁵ – tego arcykrętacza,

⁴³ *signori Inglesi* (wł.) – panowie Anglicy. [przypis edytorski]

⁴⁴ *Gaeta, gdzie tyrania byłaby szczęła raz na zawsze, gdyby nie przekłety, piemoncki pomiot...* – Gaeta to niewielkie portowe miasto we Włoszech; w XIX w. było silnie umocnioną twierdzą, ostatnią placówką Franciszka II, władcy Królestwa Obojga Sycylii, broniącą się przeciwko wojskom Królestwa Piemontu i Sardynii walczącym o zjednoczenie Włoch. Oblężenie (XI 1860 – II 1861) zakończyło się kapitulacją twierdzy, przy czym Franciszkowi II i jego żonie pozwolono udać się na wygnanie do Rzymu, gdzie zostali gośćmi papieża. [przypis edytorski]

⁴⁵ *Cavour, Camillo Benso di* (1810–1861) – włoski polityk, premier królestwa Piemontu i Sardynii, pierwszy premier królestwa Włoch, przyczynił się do

zaprzedanego królom i tyranom – obok wymyślań na chińskie dziewczęta, na zawód kucharski w ogóle i na ten podły kraj, do którego zagnała go miłość wolności, zadławionej przez zdrajcę.

Tymczasem signora Teresa, cała w czerni, wychodziła innymi drzwiami i stąpała przed siebie, okazała i stroskana, pochylając głowę o subtelnych rysach czarnobrewki, rozkładając ramiona i zawodząc posepnie:

– Giorgio! Co to za narwaniec! *Misericordia divina!*⁴⁶ I to w takim słońcu! Jeszcze się rozchoruje.

Kury pierzchały jej spod nóg we wszystkich kierunkach ogromnymi podskokami. Gdyby akurat byli tam inżynierowie z linii kolejowej przecinającej Sulaco, to na pewno ukazałaby się jakaś młoda angielska twarz z sali bilardowej, która znajdowała się na jednym krańcu domu. Na drugim końcu, w kawiarni, Mulat Luis dokładał starań, żeby go nie dostrzeżono. Dziewczęta indiańskie, których włosy miały wygląd rozwianych, czarnych końskich grzyw, przydzione tylko w koszulki i krótkie spódniczki, wodziły ospałym wzrokiem spod grzywek przyciętych równo nad czołem. Przenikliwe wyziewy tłuszczu ustały; dym wzbijał się w słoneczne przestworza; mocny zapach smażonej cebuli zawisł w sennym skwarze spowijającym domostwo. Oko gubiło się na niezmierzonej, pokrytej trawą płaszczyźnie rozpościerającej się ku zachodowi, jak gdyby

zjednoczenia Włoch. Podczas oblężenia Gaety prowadził rokowania i ustalał warunki kapitulacji. [przypis edytorski]

⁴⁶ *Misericordia divina!* (wł.) – Boże miłosierny! [przypis edytorski]

równina pomiędzy Sierra, wznoszącą się nad Sulaco, a skrajem wybrzeża, widniejącym od strony Esmeraldy, była tak wielka jak pół świata.

Signora Teresa po chwili znaczącego milczenia odezwała się z wymówką:

– Ej, Giorgio, pozostaw ty Cavoura w spokoju i pomyśl, że zaprzepaściliśmy się w tym kraju z dwojgiem dzieci, ponieważ nie możesz pogodzić się z rządami królewskimi.

Patrząc na niego, podnosiła chwilami śpiesznie rękę ku sercu, lekkie drzenie pojawiało się na wdzięcznych ustach i marszczyły się proste, czarne brwi, jak gdyby mgnienie cierpkiej męki czy cierpkiej myśli przebiegało po jej regularnych, pięknych rysach.

Była to męka; zdołała jednak powściągnąć drzenie ust. Pojawiło się ono u niej po raz pierwszy w parę lat po wyjeździe z Włoch, kiedy wyemigrowali do Ameryki i osiedlili się ostatecznie w Sulaco. Tułali się przedtem po różnych miastach, próbowali zakładać sklepiki, a raz chwycili się nawet rybołówstwa – było to w Maldonaldo – bowiem Giorgio, podobnie jak wielki Garibaldi, był niegdyś marynarzem.

Niekiedy niecierpliwiła ją ta męka. Trawiła ją całymi latami, weszła w skład krajobrazu, utworzonego z migotania portu i okalających go lesistych zboczy. Nawet blask słoneczny był ciężki i posepny – ciężki od męki – niepodobny do słońca jej lat dziewczęcych, kiedy Giorgio, który był podówczas w średnim wieku, poprzysiągł jej statecznie i namiętnie miłość na wybrzeżach zatoki w Spezzii.

– Wracaj zaraz do domu, Giorgio! – rzekła rozkazująco. – Mogliby sobie ludzie pomyśleć, że nie masz litości nade mną. Pamiętaj, że mamy w domu czterech *signori Inglesi*.

– *Va bene, va bene*⁴⁷ – zamamrotał Giorgio.

Uśluchał. Niechaj *signori Inglesi* przychodzą upominać się o obiad. On należał kiedyś do tego nieśmiertelnego i niezwyciężonego zastępu wyzwolicieli, przed którym najemnicy tyranii pierzchali niby plewa przed huraganem, *un uragano terribile*⁴⁸. Co prawda, nie był wtedy żonaty i nie miał dzieci, a tyrania nie zdążyła jeszcze podnieść na nowo głowy wśród zdrajców, którzy uwięzili Garibaldiego⁴⁹, jego bohatera.

Dom miał troje drzwi od frontu. Po południu Garibaldino zwykł był stawać na którymś z swych progów; widywano biel jego gęstej czupryny; ramiona miał założone, nogi skrzyżowane, lwią głowę opartą o futrynę, a wzrok utkwiony w lesiste upłazy, staczające się od podnóży śnieżnego tumu⁵⁰ Higueroły. Od domu padał czarny, długi prostokąt cienia, roztaczający się z

⁴⁷ *Va bene, va bene* (wł.) – dobrze, dobrze. [przypis edytorski]

⁴⁸ *un uragano terribile* (wł.) – straszliwy huragan. [przypis edytorski]

⁴⁹ *zdrajców, co uwięzili Garibaldiego* – w 1862 Garibaldi wyruszył z 2000 ochotników na Rzym, żeby zdobyć jedyny, prócz Wenecji, region, którego brakowało do zjednoczenia całości Włoch. Król Włoch, Wiktor Emanuel II, obawiając się politycznych konsekwencji starcia z garnizonem francuskim strzegącym Państwa Papieskiego, zakazał podobnych działań: pod Aspromonte drogę oddziałowi Garibaldiego zastąpiła dywizja wojsk rządowych. Rannego podczas strzelaniny Garibaldiego przetransportowano do twierdzy, gdzie leczył się, pozostając pod strażą jako więzień. [przypis edytorski]

⁵⁰ *tum* – średniowieczna katedra. [przypis edytorski]

wolna na nikłe koleiny, wyżłobione przez zaprzęgnięte w woły wozy. Poprzez otwory, wyrąbane w zaroślach oleandrowych, bocznica kolejowa, położona tymczasowo na poziomie równiny, wiała się ku portowi połyskliwą krzywizną swych równoległych wstęg, przebiegających o jakieś sześćdziesiąt jardów od narożnika domu. Wieczorem pociągi pustych, płaskich wagonów kolejowych okrążały ciemnozielone gaje Sulaco; toczyły się po równinie, kołysząc się z lekka i wyrzucając białe kłęby pary, mijały Casa Viola i podążały dalej do bocznicy kolejowej w pobliżu portu. Maszyniści włoscy pozdrawiali Georgia z platform skinieniem ręki, natomiast palacze murzyńscy siedzieli niedbale na tendrach, patrząc wprost przed siebie, a ronda ich wielkich kapeluszy trzepotała na wietrze. Giorgio odwzajemniał się lekkim kiwnięciem głowy, lecz nie rozplatał skrzyżowanych ramion.

Owego pamiętnego dnia rozruchów ramiona jego nie spoczywały na piersiach. Dzierżył w dłoni lufę strzelby opartej na progu. Nie spojrział nawet na biały tum Higueroty, której chłodna czystość zdawała się unikać zetknięcia z rozpaloną ziemią. Rozglądał się z ciekawością po równinie. Długie pasma oparów słaniały się tu i ówdzie. Na niepokalanym niebie widniało słońce, jasne i olśniewające. Gromadki ludzi biegły pośpiesznie, inne stały w miejscu; łoskot broni palnej docierał rozedrgany do jego uszu przez pałające, ciche powietrze. Niektóre postacie piechurów uciekały rozpaczliwie. Jeźdźcy uderzali na siebie, kłębili się i rozpierzchali w okamgnieniu. Giorgio widział, jak

ktos upadł; jeździec i koń zniknęli, niby pochłonięci przez jakąś czeluść, a mgnienia tej burzliwej sceny były jakby szczegółami zapamiętałego turnieju, który odbywał się na równinie między karłami pieszymi i konnymi, dobywającymi ze swych wątych krtani wrzaskliwych głosów u podnóża góry, wyglądającej niby olbrzymie wcielenie milczenia. Giorgio nigdy dotąd nie widział na tym spłachciu równiny takiego wrącego życia; nie mógł ogarnąć spojrzeniem wszystkich naraz szczegółów; przysłonił oczy ręką, lecz drgnął tejże samej chwili, gdyż nagle tuż koło niego zagrzmiał tętent wielu końskich kopyt.

Stado koni wybiegło z ogrodzeń Towarzystwa Kolejowego. Gnały jak wichur. Chrapiąc, wierzgając i kwicząc, runęły przez tor kolejowy pstrą ławą, zwichrzoną tłuszczą kasztanowatych, karych i siwych grzbietów, pałających ślepi, wyciągniętych szyi, czerwonych nozdrzy i długich rozwianych ogonów. Skoro tylko wpadły na drogę, gęsty kurz wzbił się spod ich kopyt i na sześć jardów od Giorgia przemknął jakby brunatny obłok majaczących niewyraźnie karków i zadów, a od tego obłoku zadrgała ziemia.

Viola zakaszłał, odwracając się twarzą od kurzu i potrząsając z lekka głową.

– Będą musieli pomyśleć o połapaniu tych koni przed wieczorem.

W czworoboku blasków słonecznych, napływających przez drzwi, signora Teresa uklękła przed krzesłem i ukryła w dłoniach głowę, ciężką od hebanowych splotów, przetkanych już srebrem. Czarny szal, którym zwykła była osłaniać twarz, osunął się na

podłogę. Dziewczynki powstały, trzymając się za ręce. Były obie w krótkich spódniczkach i miały rozpuszczone bezładnie włosy. Młodsza przysłaniała ramieniem oczy, jak gdyby lękała się spojrzeć w światło. Linda, trzymając rękę na jej ramieniu, spoglądała śmiało. Viola rzucił okiem na dzieci.

Słońce uwydatniło głębokie bruzdy na jego twarzy. Miała wyraz energiczny i nieruchomość posągu. Niepodobna było odgadnąć jego myśli. Krzaczaste, siwe brwi przysłaniały posępne jego oczy.

– No, a wy się nie modlicie, jak wasza matka?

Linda wydeła swe czerwone usteczka, pałające niemal aż nadmierną czerwienią. Miała przedziwne oczy, ciemne, ze złotymi iskrami w źrenicach, pełne uczucia i myśli i tak promieniste, iż zdawały się rzucać swój blask na jej szczupłą, anemiczną twarzyczkę. Brązowe połyski migotały na czarnej gęstwie jej włosów, a długie, krucze rzęsy pogłębiały jeszcze bladość jej cery.

– Mama zamierza ofiarować świece do kościoła. Robi to zawsze, ilekroć Nostromo walczy. Mam je zanieść do kaplicy Madonny w katedrze.

Powiedziała to prędko, z wielką pewnością siebie, podnieconym i przenikliwym głosem. Po czym, potrząsając z lekka ramieniem siostry, dodała:

– A ona też będzie musiała zanieść świece!

– Dlaczego musiała? – spytał Giorgio poważnie. – Czyżby nie miała ochoty?

– Jest nieśmiała – rzekła Linda, parszkając śmiechem. – Ludzie zwracają uwagę na jej jasne włosy, gdy wychodzi z nami. Wołają za nią: „Idzie *Rubia!*⁵¹ Patrzcie, idzie *Rubiacita!*” Tak za nią wołają po ulicach. Nie ma śmiałości do ludzi.

– A ty? Ty przecież nie jesteś nieśmiała, co? – odezwał się ojciec z wolna.

Odrzuciła w tył gęstwą ciemnych włosów.

– Nikt za mną nie woła.

Stary Giorgio spoglądał na swe dzieci zamyślony. Było między nimi dwa lata różnicy. Przyszły na świat późno, w kilka lat po śmierci syna. Gdyby ten chłopiec żył, byłby już niemal w wieku Gian' Battisty, którego Anglicy nazywali Nostromem. Córkami zajmował się mało, gdyż nie pozwalała mu na to surowość jego usposobienia, podeszły wiek i pogrążenie się we wspomnieniach. Kochał swe dzieci, lecz dziewczęta należą raczej do matki, a przy tym jego uczucia znajdowały ujście we wzniosłej służbie wolności.

Będąc jeszcze młodym chłopcem, zbiegł z kupieckiego okrętu, krążącego po La Plata, by zaciągnąć się do marynarki w Montevideo, pozostającej wówczas pod wodzą Garibaldiego⁵².

⁵¹ *rubia* – blondynka, jasnowłosa. [przypis edytorski]

⁵² *marynarki w Montevideo, pozostającej wówczas pod wodzą Garibaldiego* – od 1841 Garibaldi mieszkał w Montevideo w Urugwaju, gdzie wziął ślub i pracował jako marynarz i nauczyciel; po wybuchu w 1842 wojny domowej w Urugwaju między konserwatystami a liberałami objął dowodzenie nad niewielką flotą urugwajską i powołał do życia Legion Włoski (tzw. Czerwone Koszule), złożony z licznych emigrantów z Włoch. W l. 1842–1848 Garibaldi skutecznie bronił Montevideo

Później, walcząc w republikańskim legionie włoskim przeciw rozpanoszonej tyranii Rosasa⁵³, na niezmiernych równinach i na ostrowach olbrzymich rzek, brał udział w najzuchwalszych może bojach, jakie kiedykolwiek toczyły się na świecie. Żył wśród ludzi, którzy głosili wolność, cierpieli za wolność, umierali za wolność z rozpaczliwą wzniosłością ducha, zwracając oczy ku uciśnionej Italii.

Entuzjazm jego miał swe źródło w obrazach rzezi, w przykładach szczytnego poświęcenia, w huku bitew, w płomienistym patosie proklamacji. Nie odstępował nigdy wodza, którego sobie wybrał – dumnego zwiastuna niepodległości – wytrwał przy nim w Ameryce i we Włoszech, aż do owego fatalnego dnia, po bitwie pod Aspromonte, kiedy zdrada królów, cesarzy i ministrów objawiła się światu, wtrącając do więzienia ранnego bohatera. Katastrofa ta roznieciła w nim głuchą wątpliwość, czy kiedykolwiek zdoła pojąć drogi sprawiedliwości boskiej.

Mimo to jej nie przeczył. Zwykł być mawiać, że wymaga ona cierpliwości. Chociaż nie lubił księży i za nic w świecie nie byłby przestąpił progu kościoła, mimo to wierzył w Boga.

przed wojskami argentyńskiego dyktatora Juana Manuela de Rosasa dowodzonymi przez byłego dyktatora Urugwaju Manuela Oribe. Obrońców wspierały wówczas floty Wielkiej Brytanii i Francji. [przypis edytorski]

⁵³ *Rosas, Juan Manuel de (1793–1877)* – argentyński generał i polityk, gubernator prowincji Buenos Aires, dyktator; korzystając z wojny domowej w Urugwaju usiłował zagarnąć tereny tego państwa; w 1852 obalony przez swojego generała, zbiegł do Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

Czyż proklamacje przeciw tyranom nie zwracały się do ludów w imieniu Boga i wolności? „Bóg dla mężczyzn, religie dla kobiet” – mrucał niekiedy. Na Sycylii pewien Anglik, który powrócił do Palermo po opuszczeniu tego miasta przez armię królewską, dał mu Biblię w przekładzie włoskim, wydaną przez Brytyjskie Towarzystwo Biblijne. Była to księga oprawna w ciemną skórę. W okresach przeciwności politycznych, kiedy rewolucjoniści nie wydawali proklamacji, Giorgio – czy to jako marynarz, czy jako robotnik w dokach genueńskich, czy wreszcie jako najemnik folwarczny wśród wzgórz koło Spezzii – czerpał pokarm z tej pierwszej książki, która mu wpadła w ręce, poświęcając jej skąpe chwile wolne od pracy. Zabierał ją ze sobą na pole bitew. Obecnie stanowiła jedyną jego lekturę. Nie chcąc obywać się bez niej (gdyż druk był drobny), zgodził się przyjąć oprawne w srebro okulary, które ofiarowała mu w darze señora Emilia Gould, żona Anglika zarządzającego kopalniami srebra w górach, o trzy mile od miasta. Była to jedyna Angielka w Sulaco.

Giorgio miał wielki szacunek dla Anglików. To uczucie, zrodzone na pobojuwiskach Urugwaju, liczyło co najmniej czterdzieści lat. Wielu z nich przelało krew za sprawę wolności w Ameryce, zaś pierwszy, którego poznał, miał na imię Samuel. Dowodził on kompanią Murzynów pod Garibaldim podczas słynnego oblężenia Montevideo i zginął wraz ze swymi Murzynami bohaterską śmiercią, przeprawiając się przez Boyanę. Giorgio dosłużył się stopnia chorążego – *alferez* – i gotował dla generała. Później, we Włoszech, mając już stopień

porucznika, jeździł ze sztabem i był dalej kucharzem u generała. Gotował dla niego podczas całej kampanii lombardzkiej; kiedy maszerowali na Rzym, pitrasił dla niego w Kampanii wołowinę na sposób amerykański; odniósł ranę w obronie Republiki Rzymskiej⁵⁴; był jednym z owych czterech zbiegów, którzy wraz z generałem przenieśli z lasu do chłopskiej zagrody dogorywającą żonę wodza; zmarła tam, wyczerpana trudami tego straszliwego odwrotu. Towarzysząc generałowi, doczekał się w Palermo tej żałosnej chwili, kiedy bomby neapolitańskie zaczęły pękać nad miastem⁵⁵. Gotował dla niego na polu bitwy pod Volturno⁵⁶ po całodziennej walce. I wszędzie widywał Anglików w czołowych szeregach armii wolności. Cenił ten naród, gdyż kochali Garibaldię. Utrzymywano, że ich najznakomitsze hrabianki i księżniczki całowały po rękach

⁵⁴ *Republika Rzymska* (1849) – krótko istniejące państwo w Italii, obejmujące terytorium Państwa Kościelnego. Powstało w wyniku wystąpień rewolucyjnych na rzecz zjednoczenia Włoch w 1848, wskutek których papież Pius IX musiał opuścić Rzym i udać się na wygnanie do Gaety; po powszechnych wyborach 9 lutego 1849 ogłoszono konstytucję i proklamowano Republikę Rzymską. Mimo zaangażowania Garibaldię i jego zwolenników w obronę republika została obalona przez interwencję wojsk francuskich, które 29 czerwca wkroczyły do Rzymu. [przypis edytorski]

⁵⁵ *w Palermo (...) kiedy bomby neapolitańskie zaczęły pękać nad miastem* – podczas powstania na Sycylii w maju 1860, kiedy Garibaldi z tysiącem ochotników wkroczył do Palermo, które wkrótce otoczyły wojska królewskie, ostrzeliwujące miasto z dział z lądu i morza. [przypis edytorski]

⁵⁶ *bitwa nad rzeką Volturno* (1 października 1860) – stoczona w płn. Kampanii pomiędzy ochotniczymi oddziałami Garibaldię a neapolitańską armią Królestwa Obojga Sycylii, zakończona zwycięstwem garibaldięczyków. [przypis edytorski]

generała w Londynie. Wydawało się mu to wiarygodne, gdyż naród ten był szlachetny, a człowiek po prostu święty. Dość było spojrzeć mu raz w oblicze, by dostrzec w nim nadludzką potęgę wiary, by pojąć jego bezmierne współczucie dla wszystkiego, co było biedne, cierpiące i uciśnione na tym świecie.

Duch zaparcia się, szczerze poświęcenie się wielkiej idei ludzkości, właściwe myślom i dążeniom tej rewolucyjnej epoki, pozostawiły na Giorgiu swe znamię, a polegało ono na jakiejś cierpkiej pogardzie dla wszelkiej korzyści osobistej. Człowiek, którego pospółstwo z Sulaco podejrzewało, iż posiada skarby zakopane w kuchni, przez całe swe życie gardził pieniędzmi. Mistrzowie jego młodości żyli biedni i umierali biedni. Stało się to nawykiem jego umysłu, iż nie dbał o jutro. Nawyk ten wyniknął po części z życia, pełnego podniet, przygód i dzikiej, żołnierskiej doli. Ale przede wszystkim był kwestią zasad. Nie przypominał beztroski kondotiera⁵⁷, lecz był purytanizmem⁵⁸ życiowym, poczętym z surowego entuzjazmu na podobieństwo purytanizmu religijnego.

To surowe oddanie się sprawie zasepiło starość Giorgia. Zasepiło ją, gdyż sprawa wydawała się zgubiona. Zbyt wielu jeszcze królów i cesarzy pleniło się na świecie, który Bóg przeznaczył dla ludu. Smuciła go własna prostoduszność. Mimo

⁵⁷ *kondotier* – najemny żołnierz. [przypis edytorski]

⁵⁸ *purytanizm* (z łac. *puritas*: czystość) – ruch religijno-społeczny dążący w XVI–XVII w. do zwiększenia czystości doktrynalnej Kościoła anglikańskiego oraz propagujący surowe zasady moralne i obyczaje; przen.: rygorystyczność, surowość zasad moralnych. [przypis edytorski]

że nie szczędził pomocy swym ziomkom i wszędzie, gdzie przebywał (na wygnaniu, jak się wyrażał), był wielce poważany przez wychodźców włoskich, to jednak nie skrywał przed sobą, iż nie troszczyli się oni zgoła o krzywdy uciemnionych narodów. Przysłuchiwali się wprawdzie chętnie jego żołnierskim gawędom, lecz wyglądali, jak gdyby na myśl przychodziło im pytanie, co też on na tym zyskał. A dostrzec niczego nie mogli. „Nie upominaliśmy się o nic! Cierpieliśmy, bośmy kochali ludzkość!” – krzyczał niekiedy namiętnie, a gromowy głos, płomieniste źrenice, rozwiana biała grzywa i czarna, żyłasta ręka wzniesiona w górę, jakby wzywała Boga na świadka, wstrząsały duszami słuchaczy. Kiedy zaś starzec urywał nagle, potrząsając głową i ręką, jak gdyby chciał rzec: „Czy to nie szkoda do was o tym mówić?”, poszturchiwali się wzajemnie. Bo też posiadał stary Giorgio potęgę uczucia, urok głębokiego przeświadczenia, coś, co uważali za *terribilita*⁵⁹ – i dlatego nazywali go zazwyczaj „starym lwem”. Drobnym wypadkiem lub od niechcenia rzucone słowo skłaniały go do zabrania głosu; przemawiał na wybrzeżu morskim w Maldonado do rybaków włoskich i we własnym sklepiku, w Valparaiso, do swych rodaków. Zdarzało się również, iż wieczorem wybuchał nagle w kawiarni, która znajdowała się na jednym krańcu Casa Viola (gdyż drugi był przeznaczony dla inżynierów angielskich), mając przed sobą doborową klientelę, złożoną z maszynistów i majstrów z warsztatów kolejowych.

⁵⁹ *terribilità* (wł.) – włoska nazwa używana na określenie poruszającej siły wyrazu dzieł Michała Anioła; siła dramatyczna. [przypis edytorski]

Ludzie ci o szlachetnych, brązowych, szczupłych obliczach, o czarnych, lśniących kędziorach, gorejących oczach i szerokich barach, brodaci, niekiedy z niewielkimi, złotymi kolczykami w uszach – tworzyli arystokrację wśród robotników kolejowych i słuchali go, odwracając się od kart lub domina. Ten i ów Baskijczyk przyglądał się tymczasem swym rękoma, czekając cierpliwie. Żaden Costaguańczyk nie naprzykrzał się. Była to warownia włoska. Nawet konni policjanci z Sulaco, patrolujący nocami, mijali ją pobłaźliwie, pochylając się tylko w siodłach, by rzucić przez okno okiem na głowy, majaczące w obłokach dymu, a gromki patos opowieści starego Giorgia zdawał się rozpylać za nimi po równinie. Tylko pomocnik naczelnika policji, niewielki, śniady człowieczek o szerokiej twarzy i dużej domieszce krwi indiańskiej w żyłach, uważał za właściwe ukazać się niekiedy. Pozostawiając przed drzwiami konie pod opieką swego towarzysza, podchodził z pewnym siebie, chytrym uśmiechem do długiego stołu. W milczeniu wskazywał na jedną z butelek stojących na półce. Giorgio, włożywszy pośpiesznie fajkę do ust, obsługiwał go osobiście. Ciszę mącił tylko lekki brzęk ostróg. Wychyliwszy szklanekę, rozglądał się nieskorym, badawczym wzrokiem po sali, wychodził na dwór i odjeżdżał bez pośpiechu, podążając z powrotem ku miastu.

Rozdział V

Był to jedyny sposób, w jaki władze miejscowe dawały odczuć swe istnienie licznym gromadom krzepkich cudzoziemców, którzy kopali ziemię, rozsadzali skały i puszczały w ruch maszyny dla „postępowych i patriotycznych celów”. Tymi słowami przed półtora rokiem *excellentissimo señor*⁶⁰, don Vincente Ribiera, dyktator Costaguany, określił Centralną Kolej Państwową, wygłaszając wielką mowę przy rozpoczęciu robót ziemnych.

Przybył umyślnie do Sulaco. Ukończywszy swe czynności urzędowe na wybrzeżu, o godzinie pierwszej wziął udział w uroczystym obiedzie, który dla zaproszonych gości wydało na pokładzie „Junony” Towarzystwo Oceanicznej Żeglugi Parowej. Kapitan Mitchell własnoręcznie sterował lichtugą, suto przystrojoną flagami, która, holowana przez łódź parową „Junony”, przewiozła *excellentissima* z pomostu portowego na okręt.

Zaproszono wszystkie wybitniejsze osobistości z Sulaco – jednego czy dwu kupców cudzoziemskich, wszystkich przedstawicieli starych rodów hiszpańskich przebywających podówczas w mieście, wielkich właścicieli ziemskich z równin,

⁶⁰ *excellentissimo señor* (hiszp.) – dosł.: najświetniejszy pan; Jego Ekscelencja; tytuł używany w jęz. hiszp. wobec głów państwa i innych wysokich rangą osobistości. [przypis edytorski]

poważnych, wytwornych, prostodusznych *caballeros*⁶¹ czystej krwi, którzy mieli małe ręce i nogi, byli konserwatywni, gościnni i uprzejmi. Zachodnia Prowincja stanowiła ich twierdzę. Stronnictwo ich, *blancos*⁶², obecnie triumfowało. Z ich grona wyszedł prezydent-dyktator, *blanco*, jak i oni. Siedział teraz między dwoma przedstawicielami zaprzyjaźnionych mocarstw cudzoziemskich, uśmiechając się grzecznie. Przybyli wraz z nim z Santa Marta, by swą obecnością dodać znaczenia przedsiębiorstwu, w którym brał udział kapitał pochodzący z ich ojczystych krajów.

Jedyną kobietą w tym towarzystwie była pani Gould, żona don Carlosa, zarządcy kopalni srebra w San Tomé. Panie z Sulaco nie były jeszcze dostatecznie przygotowane, by mogły uczestniczyć w życiu publicznym, tak bardzo rozwiniętym. Pojawiły się wprawdzie licznie ubiegłego wieczora na wielkim balu w Intendencji, ale obecnie tylko pani Gould odcinała się jasną plamą na tle czarnych strojów męskich, widniejących za prezydentem-dyktatorem, na pokrytym szkarłatnym suknem podwyższeniu, wzniesionym w cieniu drzewa na brzegu portu, gdzie miała się odbyć uroczystość wykopania pierwszej bryły ziemi. Przybyła lichtugą⁶³, pełną dostojników i szeleszczącą

⁶¹ *caballero* (daw. hiszp.) – kawaler, szlachcic. [przypis edytorski]

⁶² *blancos* (hiszp.) – biali; określenie konserwatystów w Ameryce Płd. [przypis edytorski]

⁶³ *lichtuga* – rodzaj małej barki o płaskim dnie przeznaczonej do przewożenia ładunku i pasażerów ze statku na ląd i odwrotnie. [przypis edytorski]

radośnie flagami, siedząc na honorowym miejscu, obok sterującego kapitana Mitchella, a jej jasna suknia była jedyną oznaką uroczystego nastroju wśród ciemnych postaci, które zapełniły podłużny, okazały salon „Junony”.

Głowa prezesa rady nadzorczej kolei (z Londynu), kształtna i blada, w srebrzystej mgłę białych włosów, z przyciętą w klin brodą, słaniała się opodal jej ramienia, baczna, uśmiechnięta i znużona. Podróż z Londynu do Santa Marta statkami pocztowymi, później zaś wagonami salonowymi na linii obsługującej wybrzeże Santa Marta (to jedyna kolej, która dochodzi tak daleko) była znośna – nawet przyjemna – zupełnie znośna. Natomiast mniej miła była przeprawa przez góry do Sulaco w staroświeckiej *diligencji*⁶⁴, po karkołomnych drogach, wijących się skrajem zawrotnych przepaści.

– Dwa razy w ciągu jednego dnia przewróciliśmy się tuż na krawędzi głębokich wąwozów – opowiadał półgłosem pan Gould. – A gdyśmy wreszcie tu przyjechali, nie wiem, co byłbym począł bez gościnności państwa! Jakież zapadły kął to Sulaco! Jak na miasto portowe wprost zdumiewający!

– My natomiast jesteśmy z niego bardzo dumni. Posiadało zawsze niemałe znaczenie historyczne. W dawnych czasach było siedzibą najwyższego trybunału kościelnego, rozpościerającego swą władzę na dwa wicekrólestwa – wyłuszczała mu z ożywieniem.

– Jestem pod wrażeniem. Nie zamierzałem bynajmniej

⁶⁴ *diligencia* (hiszp.) – dylizans. [przypis edytorski]

ublizać Sulaco. Pani, jak sądzę, jest gorącą patriotką.

– Miejscowość jest miła, chociażby tylko dzięki swojemu położeniu. A pan może nie wie, że przebywam tu już od dawna.

– Od dawna? To mnie dziwi – mówił przyciszonym głosem, spoglądając na nią z lekkim uśmiechem. – Nie możemy tu wskrzesić trybunału kościelnego, lecz za to będziecie mieli więcej parowców, kolej i kabel telegraficzny. To przyszłość w wielkim świecie, nieporównanie więcej warta od wszelkiej chwały kościelnej przeszłości. Zetkniecie się państwo z czymś większym od dwu wicekrólestw. Nie wyobrażałem sobie, żeby miejscowość na wybrzeżu mogła być tak odcięta od świata. Gdyby znajdowała się tysiąc mil w głębi lądu... to osobliwe! Czy wydarzyło się tu cokolwiek w ostatnim stuleciu?

Mówił to przeciągłym, humorystycznym tonem, na który odpowiedziała z lekkim uśmieszkiem. Rozwodząc się ironicznie na jego sposób, zapewniała, że nigdy nic się nie zdarzyło w Sulaco. Nawet rewolucje, których było aż dwie za jej czasów, uszanowały spokój tego miasta. Odbywały się one na gęściej zaludnionych, południowych połaciach republiki oraz w wielkiej dolinie Santa Marta, która była jednym wielkim polem bitwy stronnictw. W zdobyczy dostawała się im stolica i dostęp do drugiego oceanu. Toteż tam znać było postęp. Do Sulaco docierały tylko echa tych wielkich zagadnień i zmieniali się oczywiście za każdym razem przedstawiciele władzy, przedostając się przez zapory górskie tą samą drogą, którą on odbył w staroświeckiej *diligencji*, narażając swe życie i

całość swych członków.

Prezes kolei korzystał z jej gościnności przez kilka dni i był za nią naprawdę wdzięczny. Skoro tylko wyjechał z Santa Marta, wśród egzotycznych krain postradał natychmiast poczucie europejskiego trybu życia. W stolicy był gościem poselstwa i prowadził układy z członkami rządu don Vincenta – świątłymi ludźmi, którym sposoby cywilizowanego załatwiania interesów zgoła nie były obce.

Obecnie obchodziła go najwięcej sprawa nabycia ziemi pod kolej. W dolinie Santa Marta, gdzie już istniała jedna linia kolejowa, ludność była skłonna do układów i chodziło tylko o cenę. Ustanowiono komisję do ustalenia wartości ziem i wszelkie spory poddawano wytrawnemu orzecznictwu komisarzy. Ale w Sulaco – chociaż tę kolej zamierzano budować głównie dla rozwoju Zachodniej Prowincji – wyłoniły się trudności. Prowincja ta, chroniona przez wieki swymi naturalnymi zaporami, odtrącała nowoczesną przedsiębiorczość krzesanicami łańcuchów górskich, płytkością portu, otwierającego się na wiekuiste cisze chmurnej zatoki i ciemnotą właścicieli żyznych ziem. Wszystkie te arystokratyczne, stare rody hiszpańskie, wszyscy ci donowie Ambrosiowie, wszyscy ci donowie Fernandowie zdawali się zapatrywać niechętnie i nieufnie na przeprowadzenie kolei przez ich włości. Zdarzało się, iż komisje, rozesłane po całej prowincji dla zbadania stanu rzeczy, otrzymywały ostrzeżenia, że mogą narazić się na zniewagi czynne. Gdzie indziej znów

wyśrubowywano niesłuchanie ceny. Ale potentat kolejowy chełpił się, iż sprosta wszelkim trudnościom. Spotkawszy się w Sulaco z niechęcią zaślepionego konserwatyzmu, zamierzał uczucie złagodzić uczuciem i dopiero w ostateczności oprzeć się tylko na swym prawie. Rząd był zobowiązany dotrzymać umowy z zarządem nowego towarzystwa kolejowego, nawet gdyby mu wypadło użyć siły. Lecz on bynajmniej nie życzył sobie zbrojnych zatargów w spokojnym przeprowadzaniu swych planów. Były zbyt wielkie, zbyt sięgające w przyszłość i zbyt obiecujące, żeby wszystko miało pozostać po dawnemu; zamierzał więc skłonić prezydenta-dyktatora do całego szeregu uroczystości i przemówień, których uwieńczeniem byłoby symboliczne przerzucenie łopata pierwszej bryły ziemi na brzegu przystani. Bo też don Vincente był po prostu ich tworem. Przedstawiał ucieleśnienie triumfu najlepszych żywiołów w państwie. To były fakty, a ponieważ fakty są wszystkim, więc sir John wywnioskował, iż wpływ takiego człowieka musi być istotny i że jego wpływ osobisty wywoła następstwa pojednawcze, o które mu chodziło. Udało się mu załatwić to wszystko przy pomocy bardzo rzutkiego adwokata, który był znany w Santa Marta jako agent kopalń srebra Goulda, największego przedsiębiorstwa w Sulaco, a nawet w całej republice. Jakoż była to istotnie nadzwyczaj bogata kopalnia. Jej tak zwany agent był widocznie człowiekiem zdolnym i kulturalnym, gdyż nie piastując stanowiska urzędowego, posiadał mimo to nadzwyczajne wpływy wśród najwyższych sfer

rządowych. Mógł zapewnić sir Johna, iż prezydent-dyktator uda się w tę podróż. W toku jednakże tej samej rozmowy wyraził ubolewanie, iż generał Montero pragnie mu w niej towarzyszyć.

Generał Montero, który w pierwszym okresie wojny był skromnym kapitanem, pełniącym służbę na dzikiej, wschodniej granicy państwa, związał swe losy ze stronnictwem Ribieri w chwili, kiedy wyjątkowe okoliczności nadały temu podrzędnemu przystąpieniu znaczenie wyjątkowe. Szczęście wojenne służyło mu zadziwiająco, a zwycięstwo nad Rio Seco (po całodziennej, rozpaczliwej walce) przypieczętowało jego powodzenie. Ostatecznie wypłynął jako generał, minister wojny i wojskowy przywódca stronnictwa białych, choć bynajmniej nie mógł się poszczycić pochodzeniem arystokratycznym. Podobno nim i jego bratem zaopiekował się w sieroctwie szczodroblivy i słynny podróżnik europejski, w którego służbie ich ojciec postradał życie. Inna pogłoska utrzymywała, iż ich ojciec zajmował się wypalaniem węgla w lasach, a matka była ochrzczoną Indianką pochodzącą z głębi kraju.

Tak czy owak, dzienniki costaguańskie, opisując, jak Montero na samym początku wojny przedzierał się ze swej *commandancji*⁶⁵ przez lasy, by połączyć się z wojskami *blancos*, wyrażały się, iż „był to najbardziej heroiczny czyn militarny nowożytnych czasów”. Mniej więcej w tym samym czasie powrócił z Europy jego brat, który wyjechał tam rzekomo

⁶⁵ *commandancia* (hiszp.) – komendantura, siedziba dowódcy wojskowego. [przypis edytorski]

jako sekretarz któregoś konsula. Zebrawszy niewielki oddział opryszków, okazał na czele tej *guerilli*⁶⁶ niejaki zdolności i po przywróceniu pokoju otrzymał w nagrodę stopień wojskowego komendanta stolicy.

Minister wojny towarzyszył zatem dyktatorowi. Zarząd T.O.Ż.P., działając ręką w rękę z władzami kolejowymi dla dobra republiki, skorzystał z tej ważnej okoliczności i polecił kapitanowi Mitchellowi, aby statek pocztowy „Junona” oddano do dyspozycji dostojnym gościom. Don Vincente wyjechał z Santa Marta w kierunku południowym, wsiadł na okręt w Cayta, głównym porcie costaguańskim, i przyплыł do Sulaco morzem. Natomiast prezes towarzystwa kolejowego pojechał śmiało przez góry w rozklekotanej *diligencji*, przede wszystkim dlatego, żeby się zobaczyć z naczelnym inżynierem, któremu powierzono nadzór nad wytyczaniem trasy.

Pomimo obojętności, jaką ludzie interesów zwykli okazywać przyrodzie, której wrogość da się zawsze poskromić przy pomocy pieniędzy, nie mógł oprzeć się wrażeniu otoczenia ujrzanego podczas postoju w obozowisku ekipy pomiarowej, rozbitym na najwyższym wzniesieniu, przez które miała przechodzić kolej. Spędził tam noc, przybył jednakże za późno, by widzieć blaski słoneczne dogasające na śnieżnych stokach Higueroty. Kolumnowe zwały czarnego bazaltu obramiały na podobieństwo otwartego portyku część białego pola, obniżającego się ku zachodowi. W przejrzystym powietrzu

⁶⁶ *guerilla* (hiszp.) – partyzantka. [przypis edytorski]

wyniosłej wyżyny wszystko wydawało się bardzo bliskie i zanurzone w jasnej ciszy, niby w nieważkim płynie. Nad słuchując turkotu zapowiedzianej *diligencji*, naczelny inżynier stał przed chatą z nieociosanego kamienia i przyglądał się zmiennym barwom pałającym na ogromnych zboczach górskich, myśląc, iż w widoku tym, niby w jakimś natchnionym utworze muzycznym, dopatrzeć się można najwyższej subtelności przyciszonego wyrazu i najpotężniejszej wspaniałości efektu.

Sir John przybył za późno, żeby mógł słyszeć wspaniałą a niedosłyszalną melodię, śpiewaną przez słońce wśród wysokich krzesanic Sierry. Wyśpiewała się ona w głuchej chwili głębokiego zmierzchu, zanim zdążył zejść po przednim kole z *diligencji*, rozprostować swe sztywne członki i uścisnąć dłoń inżynierowi.

Podano mu obiad w chacie z kamienia podobnej do szczęśliwej kostki; miała ona wprawdzie dwa otwory, ale bez drzwi i okien. Przed chatą paliło się jasno ognisko z chrustu (przywiezionego na mule z dolin) i rzucało do wnętrza swe drżące poświaty. Dwie świece w cienkich lichtarzach – zapalone, jak mu wytłumaczono, ku jego czci – stały na czymś, co zastępowało stół obozowy. Usiadł przy nim po prawej ręce naczelnego inżyniera. Umiał być miły. Obok niego zajęli miejsca młodzieńcy ze sztabu inżynierskiego, dla których nadzór nad trasą kolejową miał urok pierwszego kroku na drodze życia. Przysłuchiwali się skromnie, a na ich szczupłych twarzach,

ogorzałych na wietrze, znać było niemałe zadowolenie, iż tak wielki człowiek okazuje im tyle uprzejmości.

Następnie późną już nocą wybrał się z naczelnym inżynierem na przechadzkę pod wolnym niebem i długo z nim rozmawiał. Znał go dobrze od dawna. Nie było to pierwsze przedsięwzięcie, w którym zgodnie pracowały ich uzdolnienia, żywiołowo sprzeczne jak ogień i woda. Z zetknięcia tych dwu osobowości, wyposażonych w tak odmienne poglądy na świat, powstawała moc oddana na usługi świata – subtelna siła, która umiała wprawiać w ruch potężne maszyny i mięśnie ludzkie, a zarazem rozbudzała w duszach ludzkich nieokiełznane poświęcenie dla podjętego dzieła. Z tych młodzieńców, którzy siedzieli przy stole i dla których pomiary trasy były jakby wytyczaniem drogi życia, niejednemu wypadło zejść z tego świata przed ukończeniem swej pracy. Ale praca powinna zostać wykonana, a moc winna niemal dorównywać wierze. Nie całkiem co prawda. Wśród ciszy uspiętego obozowiska, na zalanym księżycową poświatą płaskowyżu, który tworzył szczyt przełęczony na podobieństwo posadzki wielkiego amfiteatru otoczonego ścianami bazaltowych grani, zatrzymały się dwie błędne postacie przyodziane w ciepłe płaszcze, a z ust inżyniera rozległy się dobitnie słowa:

– Gór przenieść nie zdołamy.

Sir John podniósł głowę, by spojrzeć we wskazanym kierunku, i w całej pełni zdał sobie sprawę ze znaczenia tych słów. Z mroków ziemi i skał wydzwigała się w jaśnie

księżycową białą Higuerota na kształt zamrożonej bańki mydlanej. Było cicho, gdy wtem w pobliskiej zagrodzie dla zwierząt pociągowych, zbudowanej naprędce z luźnych kamieni, juczny muł uderzył o ziemię kopytem i dwukrotnie ciężko sapnął.

Słowa inżyniera naczelnego były odpowiedzią na przypuszczenie prezesa, że może dałoby się zmienić kierunek linii kolejowej zgodnie z życzeniami ziemian z Sulaco. Jego zdaniem upór ludzki był mniejszą przeszkodą. Zresztą, by go pokonać, mieli do rozporządzenia wielkie wpływy Charlesa Goulda, natomiast przebicie tunelu pod Higuerotą było przedsięwzięciem wprost niesłychanym.

– Ach, tak, Gould. Co to za człowiek?

Sir John słyszał już dużo o Charlesie Gouldzie w Santa Marta, lecz pragnął się dowiedzieć jeszcze więcej. Naczelnny inżynier zapewnił go, iż zarządzający kopalnią San Tomé ma ogromne wpływy wśród wszystkich tych donów hiszpańskich. Jego dom należy do najprzystojniejszych w Sulaco, a gościnność Goulda jest ponad wszelkie pochwały.

– Przyjęli mnie, jakby mnie znali od niepamiętnych czasów – opowiadał. – Pani jest uosobieniem dobroci. Mieszkałem u nich z miesiąc. Dopomógł mi zorganizować zespoły pomiarowe. Dzięki faktycznemu posiadaniu kopalń srebra San Tomé zajmuje wyjątkowe stanowisko. Znajduje posłuch u wszystkich powag prowincjonalnych, a wszystkich *hidalgów*⁶⁷, jak już

⁶⁷ *hidalgo* (hiszp.) – szlachcic. [przypis edytorski]

powiedziałem, może sobie owinać dokoła małego palca. Jeśli usłucha pan jego wskazówek, trudności znikną, gdyż on potrzebuje kolei. Oczywiście, musi się pan liczyć z każdym swym słowem. Jest Anglikiem, jak się zdaje, ogromnie bogatym. Firma Holroyd ma jakieś udziały w jego kopalni, więc może pan sobie wyobrazić...

Przerwał, gdyż od jednego z niewielkich ognisk palących się pod niską ścianą zagrodzenia podniosła się postać człowieka otulonego w poncho po samą szyję. Siodło, które służyło mu za wezgłowie, znaczyło się na ziemi ciemną plamą w czerwonej poświacie żaru.

– Zobaczą się z Holroydem, przejeżdżając z powrotem przez Stany Zjednoczone – rzekł sir John. – Jestem przekonany, że on również potrzebuje kolei.

Człowiek, któremu zamąciły spokój zbliżające się głosy, podniósł się z ziemi, by zapalić papierosa. W płomyku zapalniczki mignęła jego brązowa twarz o czarnym zaroście i nieuleknione źrenice. Poprawiwszy na sobie płaszcz, legł znowu jak długi na ziemi i oparł głowę na siodle.

– To szef naszego obozu, którego będę musiał odesłać do Sulaco, gdyż mamy zamiar przystąpić teraz do pomiarów w dolinie Santa Marta – odezwał się znów inżynier. – Nader pożyteczny człowiek. Pożyczył mi go kapitan Mitchell z T.O.Ż.P. Było to z jego strony wielką uczynnością. Charles Gould powiedział mi, iż najlepiej zrobię, jeśli z niej skorzystam. Daje sobie radę z tymi mulnikami i peonami. Nie mamy

zgoła kłopotów z naszymi ludźmi. Odprowadzi prosto do Sulaco pańską *diligencję*, a będzie miał do pomocy kilku naszych peonów kolejowych. Droga jest kiepska. Oszczędzi panu niejednej niemiłej niespodzianki. Obiecał mi, że przez całą drogę będzie dbał o pana jak o własnego ojca.

Tym szefem obozu był włoski marynarz, którego wszyscy Europejczycy z Sulaco, naśladując błędną wymowę kapitana Mitchella, zwykli nazywać Nostromo. Rzeczywiście wywiązał się znakomicie ze swego zadania, zwłaszcza w tych miejscach, gdzie droga była gorsza, i zasłużył na uznanie, którego później nie skąpił mu sir John, rozmawiając o nim z panią Gould.

Rozdział VI

Nostromo już od dość dawna przebywał w kraju, by wznieść się na najwyższy szczebel w opinii kapitana Mitchella, przeświadczonego o niesłychanej wartości swego odkrycia. Bezsprzecznie był on jednym z tych nieocenionych podwładnych, których posiadanie daje wszelkie prawa do dumy.

Kapitan Mitchell chełpił się ze swej przenikliwości w stosunku do ludzi, ale nie był samolubny – i na tle jego niewinnej pychy zaczęła już rozwijać się mania „wypożyczania mego *capataza de cargadores*”, co z czasem doprowadziło Nostroma do osobistego zetknięcia się ze wszystkimi Europejczykami w Sulaco, jako jakiegoś wszechstronnego *factotum*⁶⁸, istnego dziwu sprawności we właściwym mu zakresie życia.

– Ten człowiek jest mi oddany ciałem i duszą! – zwykł był powtarzać kapitan Mitchell i chociaż nikt nie mógłby zapewne wytłumaczyć, jak to się stało, to jednak przyglądając się ich wzajemnym stosunkom, niepodobna było zaprzeczyć temu twierdzeniu, chyba że ktoś miał tak przykre i dziwaczne usposobienie, jak na przykład doktor Monygham, którego krótki, beznadziejny śmiech brzmiał jakby bezgraniczną niewiarą w człowieczeństwo. Doktor Monygham nie był, co prawda, arcywzorem ani wesołości, ani wielomówności.

⁶⁸ *factotum* (łac.) – osoba zaufana, spełniająca usługi wszelkiego rodzaju. [przypis edytorski]

Milczał zawzięcie w swych najlepszych chwilach, natomiast w najgorszych bywał postrachem dla wszystkich z powodu swego nieskrywanego szyderstwa. Jedynie pani Gould zdolna była utrzymać w korbach jego niewiarę w pobudki ludzkie. Ale i do niej (zresztą nie z powodu Nostroma, i to w tonie, który jak na niego był łagodny), nawet do niej powiedział pewnego razu:

– Jest po prostu niedorzecznością domagać się, aby człowiek lepiej myślał o innych, aniżeli potrafi myśleć o samym sobie.

Pani Gould zmieniła pośpiesznie przedmiot rozmowy. Dziwne pogłoski krążyły o tym angielskim lekarzu. Szeptano sobie na ucho, iż przed laty, jeszcze za czasów Guzmana Bento, był zamieszany w jakiś spisek, który skutkiem zdrady wyszedł na jaw i, jak się wyrażano, „został utopiony we krwi”. Posiwiął, a jego wygolona twarz przybrała barwę cegły. Jego flanelowa koszula w wielkie, pstre kraty i jego stary, brudny kapelusz typu panama były stałym wyzwaniem rzuconym wymaganiom towarzyskim przyjętym w Sulaco. Gdyby nie wyróżniał się niepokalaną czystością odzieży, mógłby być uchodzić za jednego z tych wykolejonych Europejczyków, którzy stanowią skazy na poważaniu kolonii niemal we wszystkich egzotycznych częściach świata. Młode dziewczęta, zdobiące gronami ładnych twarzątek balkony domów wznoszących się wzdłuż ulicy Konstytucji, ilekroć mijał je, kulejąc, z pochyloną głową, w krótkiej, płóciennej kurtce, wdzianej niedbale na kraciastą, flanelową koszulę, powiadały do siebie: „Señor doktor idzie zapewne z wizytą do doñii Emilii, bo włożył kurtkę”. Wniosek ten był

słuszny, ale głębsze jego znaczenie nie było dostępne dla ich dziewczęcych inteligencji. Zresztą nie wysilały ich wcale, myśląc o doktorze. Był stary, brzydki, uczony – i trochę *loco*, wariat, a może nawet czarownik, jak go podejrzewało pospólstwo. Biała kurtka była istotnie ustępstwem, jakie czynił uszlachetniającemu wpływowi pani Gould. Doktor, ze swym nawykiem do gorzkich, sceptycznych spostrzeżeń, nie miał innego sposobu okazania swego głębokiego szacunku dla charakteru kobiety znanej w kraju jako angielska señora. Składał swe hołdy nader poważnie, co nie było drobnostką przy jego usposobieniu. Pani Gould odczuwała to najzupełniej, ale nie przyszło jej nigdy na myśl, by zniewalać go do tych widocznych oznak poważania.

Jej stary hiszpański dom (jeden z najpiękniejszych w Sulaco) rozporządzał wszystkimi drobnymi urokami istnienia. Obdzielała nimi z prostotą i wdziękiem, powodowana przenikliwym wyczuciem wartości. Posiadała niezwykły dar towarzyskości, który polega na subtelnych odcieniach zapominania o sobie oraz na zdolności zrozumienia wszystkiego. Charles Gould (rodzina Gouldów, osiedlona w Costaguanie od trzech pokoleń, zawsze pielgrzymowała do Anglii po wykształcenie i po żony) wyobrażał sobie, iż zakochał się w zdrowym rozsądku dziewczyny, jak zrobiłby każdy inny mężczyzna; nie tłumaczyło to jednak całkowicie powodów, dlaczego, na przykład, całe obozowisko ekipy pomiarowej, począwszy od najmłodszego z młodzieży, a skończywszy na dojrzałym jej szefie, szukało sposobności, by możliwie

najczęściej zachodzić do domu pani Gould, kiedy przebywała wśród wysokich krzesanic Sierry. Gdyby jednak ktoś jej opowiedział, jaką wdzięcznością otoczona jest jej pamięć na pograniczu śniegów powyżej Sulaco, byłaby się zaparła, jakoby cokolwiek dla nich uczyniła, uśmiechając się przy tym z lekka i otwierając szeroko zdumione, szare oczy. W ostateczności posłużyłaby się swą bystrością i znalazłaby wytłumaczenie: „To było dla tych chłopaków wielką niespodzianką, iż spotkali się z jakim takim przyjęciem. Zresztą zdaje mi się, że im tęskno za domem. Moim zdaniem, każdemu musi być nieco tęskno”.

Bolała ją zawsze tęsknota ludzka.

Urodzony, podobnie jak jego ojciec, w tym dalekim kraju, smukły i szczupły, o mocno rudych wusach, kształtnej brodzie, jasnoniebieskich oczach, kasztanowatych włosach i pociągłej, świeżej, różowej twarzy, Charles Gould wyglądał na cudzoziemca, który niedawno przybył z za morza. Dziad jego walczył za sprawę niepodległości pod Bolivarem⁶⁹ w owym słynnym legionie angielskim, któremu na poboju pod Carabobo⁷⁰ wielki wyzwoliciel dał zaszczytne miano

⁶⁹ *Bolívar, Simón* (1783–1830) – polityk i dowódca wojskowy, przywódca walk o wyzwolenie Ameryki Południowej spod władzy Hiszpanów, dążył do stworzenia federacji wszystkich państw byłej hiszpańskiej Ameryki; czczony jako rewolucjonista i wyzwoliciel. [przypis edytorski]

⁷⁰ *bitwa pod Carabobo* (24 czerwca 1821) – starcie zbrojne podczas wojen niepodległościowych w Ameryce Łacińskiej pomiędzy siłami powstańczymi Simona Bolívara a armią hiszpańską gen. Morillo, zakończone zwycięstwem powstańców; wśród sił Bolívara znajdował się batalion ochotników z tzw. legionu angielskiego, jak nazywano walczące po stronie powstańców oddziały weteranów brytyjskich z wojen

zbawcy swej ojczyzny. W okresie Federacji⁷¹ jeden z stryjów Charlesa Goulda został z wyboru prezydentem prowincji Sulaco (która tworzyła podówczas stan), lecz wkrótce potem postawiono go pod ścianą kościoła i rozstrzelano z rozkazu barbarzyńskiego generała unionistów, Guzmána Bento. Był to ten sam Guzman Bento, który zostawszy później dożywotnim prezydentem, zasłynął z swej bezlitosnej i krwawej tyranii, zaś szczytu swej haniebnej chwały dostąpił w ludowym podaniu o siejącym postrach upiorze, którego zewłok porwał diabeł z ceglaneanego mauzoleum zbudowanego w nawie kościoła Wniebowstąpienia Panny Marii w Santa Marta. Przynajmniej w ten sposób tłumaczyli księża jego zniknięcie bosym tłumom, które napływały, by zajrzeć ze zgrozą do otworu w brzydkim ceglany grobowcu przed wielkim ołtarzem.

Prócz stryja Charlesa Goulda potworny Guzman Bento skazał na śmierć jeszcze wiele innych osób. Wszystkie były w pewnej mierze męczennikami idei arystokratycznej, zwolennikami „oligarchów z Sulaco” (wedle frazeologii z epoki Guzmána Bento). Ci rzekomi oligarchowie zwali się obecnie *blancos* i wyrzekli się idei federalistycznej. Nazwa ta obejmowała rody

napoleońskich i wojny brytyjsko-amerykańskiej (1812). [przypis edytorski]

⁷¹ *Federacja Wielkiej Kolumbii* – republika federacyjna w płn.-zach. części Ameryki Płd., utworzona na kongresie w Angosturze w Wenezueli, istniejąca w l. 1819–1831; obejmowała terytoria obecnej Kolumbii (wraz z Panamą), Wenezueli i Ekwadoru, wchodzące wcześniej w skład kolonialnego wicekrólestwa Nowej Granady; jej pierwszym prezydentem był Simón Bolívar, po jego śmierci federacja rozpadła się. [przypis edytorski]

czystej krwi hiszpańskiej. Zaliczały one Charlesa do swego grona. Z takimi tradycjami rodzinnymi niepodobna było być czystszy Costaguanerem od don Carlosa Goulda; jednak wygląd jego był tak charakterystyczny, iż pospólstwo wciąż jeszcze nazywało go *Inglesem*, Anglikiem z Sulaco. Wyglądał na Anglika bardziej niż świeżo przybyli młodzi inżynierowie kolejowi, nawet bardziej niż figury ze scen myśliwskich, ilustrujących „Puncha”⁷², który docierał do salonu jego żony w dwa miesiące po wyjściu z druku. Dziwiło to, iż mówił najzupełniej biegle po hiszpańsku (kastylijsku, jak wyrażają się krajowcy), a nawet miejscowym narzeczem indiańskim. Nie miał nigdy angielskiego akcentu. A jednak w jego przodkach, tych costaguańskich Gouldach – bojownikach o wolność, odkrywcach, plantatorach kawy, kupcach i rewolucjonistach – było coś tak niezatartego, że on, w trzecim pokoleniu jedyny ich spadkobierca, na lądzie, który posiada własny styl jazdy konnej, nawet na siodle był obrazem doskonałego Anglika. Nie jest to bynajmniej powiedziane w znaczeniu ironicznym, jak mówią *llaneros* – ludzie z wielkich równin – którzy mniemają, że prócz nich nie ma nikogo, kto by umiał siedzieć na koniu. Charles Gould, jeśli można się posłużyć odpowiednim, górnołotnym zwrotem, jeździł konno jak centaur. Jazda konna nie była dla niego jakimś ćwiczeniem popisowym; stanowiła wrodzoną zdolność, podobnie jak wszyscy ludzie zdrowi na duszy i na ciele mają zwyczaj chodzić na tylnych kończynach. A jednak

⁷² „Punch” – satyryczne czasopismo angielskie. [przepis edytorski]

kiedy jechał kłusem do kopalni, omijając wyboje poczynione przez wozy zaprzęgnięte w woły, w angielskim ubraniu i na cudzoziemskim siodle, wyglądał, jakby dopiero co przybył do Costaguany swym lekkim i rączym *pasotrote*⁷³ z jakichś zielonych łąk rozpostartych na drugim krańcu świata.

Droga jego prowadziła zazwyczaj obok starodawnego, hiszpańskiego gościńca – Camino Real⁷⁴, jak mówi pospólstwo. Jest to z istnienia i nazwy jedyna pozostałość rządów królewskich, których stary Giorgio Viola nienawidził, chociaż nawet ich cień już od dawna pierzchł z kraju.

Co prawda należałoby jeszcze wspomnieć o wielkim konnym posągu Karola IV, bielejącym na tle drzew u wylotu *alamedy*. Ale chłopom z okolicy i żebrakom miejskim, śpiącym na jego stopniach, był on znany tylko pod nazwą Kamiennego Konia. Kiedy drugi Carlos mijał go z szybkim tętentem kopyt po zrujnowanym bruku – don Carlos Gould – w swym angielskim ubraniu nie dostrajał się do otoczenia, ale był nierównie bardziej u siebie niż królewski jeździec, który siedząc na swym rumaku wśród uśpionych *leperos*, podnosił marmurowe ramię do marmurowego brzegu powiewającego piórami kapelusza.

Uszkodzony przez czas posąg królewski, znieruchomiały w geście pozdrowienia pod dłutem rzeźbiarza, zdawał się potajemnie stawiać czoło politycznym zmianom, które pozbawiły go nawet imienia. Ale też i drugi jeździec, dobrze

⁷³ *pasotrote* (hiszp.) – kłus. [przypis edytorski]

⁷⁴ *Camino Real* (hiszp.) – Trakt Królewski. [przypis edytorski]

znany ludowi ze swej siły i zręczności, gdy siedział na kształtnym, karym koniu, nie zwykł nosić serca na dłoni. Umysł jego nie wychodził z równowagi tak stałej, jak gdyby pozostawał pod zaklęciem beznamietnej niewzruszalności pojęć, które co do poprawności prywatnej i publicznej obowiązują w Europie. Przyjmował z jednakim spokojem rażącą niewłaściwość, z jaką panie z Sulaco pokrywały swe twarze pudrem perłowym tak obficie, iż wyglądały w końcu niby białe odlewy gipsowe o pięknych, ognistych oczach – i osobliwsze plotkarstwo tego miasta, i nieustanne zmiany polityczne, które rzekomo miały „zbawiać kraj”, a dla jego żony były niedorzeczną i krwiożerczą igraszką, pełną zbrodni i kradzieży, uprawianą ze straszliwą powagą przez zepsute dzieci. W pierwszych czasach swego pobytu w Costaguanie młoda cudzoziemka nieraz z rozpaczą załamywała ręce, iż nie jest zdolna spraw publicznych tego kraju brać tak poważnie, jak by może należało, sądząc po srogości metod politycznych stosowanych w różnych okolicznościach. Wydawały się jej komedią naiwnych uroszczeń, w której, poza jej własnym oburzeniem i przerażeniem, nie było ani odrobiny szczerości. Charles słuchał jej z wielkim spokojem, podkręcał bujnego węża, ale nie chciał wdawać się w rozmowy o tych sprawach. Zdarzyło się jednak, iż raz rzekł łagodnie:

– Zapominasz, kochanie, że tu się urodziłem.

Usłyszawszy te proste słowa, umilkła, jakby pod wpływem nagłej rewelacji. Być może, iż to, że przyszedł na świat w tym kraju, stanowiło między nimi różnicę. Miała wielkie zaufanie do

swego męża, prawie bezgraniczne. Od pierwszej chwili działał na jej wyobraźnię tym, że był pozbawiony sentymentalizmu, posiadał natomiast wielki spokój umysłu, co w jej pojmowaniu było oznaką doskonałej biegłości w sztuce życia. Don José Avellanos, ich sąsiad z naprzeciwka, mąż stanu, poeta, człowiek wielkiej kultury, który bywał przedstawicielem swej ojczyzny na różnych dworach europejskich (i doznał niewysłowionej poniewierki jako więzień polityczny za tyrańskich rządów Guzmána Benta), wyraził się raz w salonie doñii Emilii, iż Carlos kojarzy wszystkie angielskie właściwości charakteru ze szczerym patriotycznym uczuciem.

Pani Gould spojrzała na szczupłą, czerwoną, ogorzałą twarz swego męża, ale nie dostrzegła najlżejszego drgnienia w jego rysach, aczkolwiek nie uszło zapewne jego uwagi to przeświadczenie o jego patriotyzmie. Być może, iż dopiero co zsiadł z konia, powróciwszy z kopalni; dość jeszcze był Anglikiem, by nie zwracać uwagi na najgorętszą porę dnia. Basilio, w białej, płóciennej liberii z czerwonymi wypustkami, pochylił się na chwilę do jego stóp, by zdjąć mu w patio⁷⁵ ciężkie, niezdarne ostrogi. Po czym señor administrator wszedł po schodach na galerię. Rzędy roślin doniczkowych, umieszczonych na balustradzie między kolumnami arkad, swymi liśćmi i kwiatami osłaniały *corredor*⁷⁶ od strony położonego poniżej czworoboku, którego wybrukowany przestwór jest właściwym

⁷⁵ *patio* (hiszp.) – wewnętrzny dziedziniec. [przypis edytorski]

⁷⁶ *corredor* (hiszp.) – krużganek, galeria; korytarz. [przypis edytorski]

ogniskiem rodzinnym domów południowoamerykańskich, gdzie spokój życia domowego mierzy się zmiennością światła i cienia na płytach posadzki.

Señor Avellanos miał zwyczaj zachodzić niemal codziennie o piątej po południu. Don José lubił pojawiać się na patio w porze, kiedy podawano herbatę, gdyż zwyczaje angielskie, panujące pod dachem doñii Emilii, przypominały mu pobyt w Londynie, gdy był ministrem pełnomocnym przy dworze królewskim. Herbaty nie lubił; oparłszy swe lśniące buty na podnóżku, kołysał się zazwyczaj w amerykańskim fotelu i mówił nieprzerwanie z pewną lubością krasomówczą, dziwną w jego wieku, nie wypuszczając ani na chwilę filiżanki z ręki. Włosy miał krótko przystrzyżone i zupełnie białe, oczy czarne jak węgiel.

Kiedy Charles Gould wchodził do sali, witał go zrazu skinieniem głowy i kończył zaczęte zdanie. Po czym odzywał się:

– Mój drogi Carlosie, znów przyjechałeś konno z San Tomé w największy upał. Zawsze ta sama, iście angielska energia. Cóż nam powiesz?

Rzekłszy to, wypijał filiżankę do dna jednym haustem. Czynności tej towarzyszył stale lekki wstrząs i głucho, mimowolne „brrr”, którego nigdy nie udawało się mu pokryć pośpiesznym wykrzyknikiem: „Przewyborna!”

Następnie, oddawszy pustą filiżankę do rąk swego młodego przyjaciela, wyciągał się z uśmiechem i rozwodził się dalej nad patriotycznym znaczeniem kopalni San Tomé, napawając

się swą płynną wymową i bujając się w fotelu na biegunach, przywiezionym ze Stanów Zjednoczonych. Sufit największego salonu w Casa Gould rozciągał swe biele wysoko nad jego głową. W jego ogromie karłowato przedstawiała się mieszanina ciężkich, szeroko rozpartych krzeseł hiszpańskich z brunatnego drzewa, z siedzeniami obitymi skórą, oraz mebli europejskich, niewielkich i wyściełanych w całości, wyglądających niby krępe potworki, wypchane stalowymi sprężynami i włosiem końskim. Były tam drobiazgi porozstawiane na stolikach, lustra wpuszczone w ściany nad marmurowymi konsolami, kwadratowe płachty dywanów, rozpostarte pod dwiema grupami foteli, wśród których naczelne miejsca zajmowały wygodne kanapy; na czerwonych płytach posadzki leżały tu i ówdzie kilimy. Trzy okna, sięgające od sklepienia do samego dołu, wychodziły na balkon, ujęte w obramienia prostopadłych fałd ciemnych portier. Staroświecka okazałość kryła się wśród czterech wysokich gładkich ścian, powleczonych subtelnym, różowym obiciem. Pani Gould, o małej główce i lśniących pierścieniach włosów, siedziała tam w obłoku koronek i muślinów przy misternym, mahoniowym stole i podobna była do czarodziejki, która słodyczą miłosnych napojów napęlnia czary ze srebra i porcelany.

Pani Gould знала dzieje kopalni San Tomé. Za dawnych czasów pracowali w niej głównie niewolnicy przynaglani biczem, a wydobywanym z niej skarbom dorównywały wagą kości ludzkie. Wyginęły w niej przy pracy całe

plemiona indiańskie. Następnie ją opuszczono, gdyż skutkiem prymitywnych metod górniczych przestała być zyskownym przedsięwzięciem mimo całych gór trupów, rzucanych w jej czeluście. Poszła w zapomnienie. Odkryto ją na nowo po wojnie o niepodległość. Pewna spółka angielska uzyskała prawo eksploatacji i znalazła złoża tak bogate, iż ani zdzierstwa zmieniających się kolejno rządów, ani przemoc, jakiej się dopuszczali oficerowie, zabierając do wojska najemnych górników, nie zdołały zachwiać jej wytrwałością. W końcu podczas przewlekłego zamętu *pronunciamentos*⁷⁷, który nastąpił po śmierci osławionego Guzmána Bento, miejscowi górnicy, podburzeni przez wysłanników ze stolicy, rzucili się na swych angielskich przełożonych i wycięli ich w pień. Dekret zarządzający konfiskatę, który zaraz potem pojawił się w „Diario Oficial”⁷⁸, wydawanym w Santa Marta, zaczynał się od słów: „Ludność górnicza z San Tomé, słusznie oburzona uciskiem cudzoziemców, powodowanych raczej nikczemnymi pobudkami zysku niż miłością kraju, do którego zagnało ich ubóstwo i chciwość, itd...”, a kończył się oświadczeniem: „Naczelnik państwa postanowił zastosować w całej rozciągłości przysługujące mu prawo łaski. Kopalnia, która wedle wszelkich

⁷⁷ *pronunciamento* (hiszp. dosł.: oświadczenie) – rodzaj wojskowego buntu a. zamachu stanu, który zaczyna się od publicznej deklaracji wypowiedzenia posłuszeństwa rządowi dokonanej przez grupę spiskowców oczekujących następnie na poparcie reszty sił zbrojnych; *pronunciamento* było charakterystyczne dla Hiszpanii, Portugalii i krajów Ameryki Łacińskiej, szczególnie w XIX w. [przypis edytorski]

⁷⁸ *Diario Oficial* (hiszp.) – Dziennik Urzędowy. [przypis edytorski]

praw międzynarodowych, ludzkich i boskich, wraca znów jako własność narodowa w posiadanie rządu, ma pozostać zamknięta aż do chwili, kiedy miecz, dobyty w obronie uświęconych zasad liberalnych, nie dokona swego dzieła i nie zapewni pomyślności naszej drogiej ojczyźnie.”

Kopalnia San Tomé przez długie lata pozostawała w tym stanie. Jakiej korzyści spodziewał się rząd z tego łupu, niepodobna obecnie powiedzieć. Niełatwo przyszło zmusić Costaguanę do wypłacenia żebraczych odszkodowań rodzinom ofiar, po czym sprawa ta spadła z porządku dziennego dyplomacji. Niedługo potem inny rząd zaczął zastanawiać się nad tą ceną spuścizną. Był to zwyczajny rząd costaguański – czwarty z kolei w ciągu sześciu lat – ale patrzył trzeźwiej sprawy. Miał skryte poczucie, że kopalnia San Tomé nie posiada w jego ręku żadnej wartości, lecz równocześnie z niepowszednią zmyślnością zdawał sobie sprawę z rozmaitych sposobów wyzyskania własności złóż srebra z pominięciem konieczności mozolnego wydobywania tego kruszcu z łona ziemi. Ojciec Charlesa Goulda, jeden z najzamożniejszych kupców costaguańskich, postradał już znaczną część swego majątku w przymusowych pożyczkach, zaciąganych przez kolejno następujące po sobie rządy. Był to człowiek spokojny i rozsądny, któremu nigdy nie śniło się dochodzić swych praw. Toteż kiedy mu nagle zaofiarowano bezterminową koncesję na kopalnię San Tomé, zaniepokojenie jego nie miało granic. Znał doskonale metody rządowe. Jakoż zamiary rządu w

tej sprawie, aczkolwiek niewątpliwie przemyślane głęboko w skrytości, rzucały się w oczy w dokumencie, który mu polecono jak najrychlej podpisać. Trzeci i najważniejszy jego punkt ustalał, iż posiadacz koncesji będzie zobowiązany wypłacić od razu rządowi pięcioletni czynsz dzierżawny od szacunkowych dochodów z produkcji kopalni.

Pan Gould-senior nie skąpił próśb i argumentów, wymawiając się od tej fatalnej łaski, ale bez powodzenia. Nie miał pojęcia o górnictwie, nie wiedział, w jaki sposób zużytkować swą koncesję na targu europejskim, kopalnia jako przedsiębiorstwo czynne nie istniała. Budynki spalono, urządzenia górnicze zniszczono, ludność górnicza rozpierzchła się od dawna z okolicy. Nawet droga znikła tak doszczętnie pod naporem tropikalnej roślinności, jakby ją pochłoneło morze, a główny szyb zawalił się na przestrzeni stu jardów od wejścia. Nie była to już opuszczona kopalnia, lecz dzika, niedostępna, skalista gardziel Sierry, gdzie pod gąszczem ciernistych pnączy pokrywających ziemię można było znaleźć resztki zwęglonego budulca, trochę pogruchotanej cegły i zniekształcone ułamki zardzewiałego żelastwa. Pan Gould-senior nie pragnął bynajmniej wejść w wieczyste posiadanie tego pustkowia. Ilekroć wśród ciszy nocnej zamajaczyło mu przed oczyma duszy, popadał w stan gorączkowej i niespokojnej bezsenności.

Zdarzyło się jednak, że ministrem skarbu w owych czasach był człowiek, któremu pan Gould miał nieszczęście odmówić dawnymi laty niewielkiej zapomogi pieniężnej, uzasadniając

swą odmowę tym, że jest on znany jako oszust i szuler, ponadto mocno podejrzewany o rabunkowy napad na pewnego zamożnego *ranchero*⁷⁹ w odległym zakątku wiejskim, gdzie piastował godność sędziego. Teraz, dostąpiwszy ministerialnego dostojęństwa, polityk ów oświadczył, iż ma zamiar odwzajemnić się temu biednemu señorowi Gouldowi dobrym za złe. Zapewnienia te ponawiał w salonach Santy Marty tak słodkim i nieubłaganym głosem i z takim złośliwym błyskiem w oczach, iż najlepsi przyjaciele ostrzegali z naciskiem pana Goulda, by nie próbował z tej pułapki wykpić się przekupstwem. Było to bezskuteczne. Doprawdy nie była to droga zbyt bezpieczna. Podzielała to zdanie w zupełności pewna zamaszysta, krzykliwa dama francuskiego pochodzenia, podobno – jak utrzymywała – córka wyższego oficera, *officier supérieur de l'armée*, której ofiarowano mieszkanie w murach zsekularyzowanego klasztoru, zaraz obok Ministerstwa Finansów. Ta kwitnąca osóbką, gdy poproszono ją o pomoc panu Gouldowi, we właściwy sposób i nie szczędząc hojnego podarku, potrząsnęła głową z zakłopotaniem. Miała dobre serce i jej zakłopotanie było najzupełniej szczere. Wychodziła z założenia, iż nie wypada jej brać pieniędzy za coś, czego nie jest zdolna dokonać. Przyjacieli pana Goulda, który podjął się drażliwego zadania, utrzymywał później, iż była ona jedyną uczciwą osobą pozostającą w bliższym czy dalszym stosunku z rządem.

– Nie idzie! – rzekła właściwym sobie, pretensjonalnym,

⁷⁹ *ranchero* (hiszp.) – farmer. [przypis edytorski]

opryskliwym głosem, posługując się wyrażeniami godniejszymi raczej jakiegoś podrzutka niż sieroty po dostojniku wojskowym. – Nie, to nie da się zrobić! *Pas moyen, mon garçon. C'est dommage, tout de même. Ah, zut! Je ne vole pas mon monde. Je ne suis pas ministre, moi! Vous pouvez emporter votre petit sac.*⁸⁰

Przez chwilę, zagryzając swe karminowe wargi, ubolewała w głębi duszy nad tyranią surowych zasad, którymi powodowała się, frymarzcząc⁸¹ swym wpływem w sferach rządzących. Po czym znacząco i z odcieniem zniecierpliwienia dorzuciła:

– *Allez et dites bien à votre bonhomme – entendez-vous? – qu'il faut avaler la pilule.*⁸²

Po tym ostrzeżeniu nie pozostawało nic innego jak podpisać i zapłacić. Pan Gould połknął pigułkę, lecz zawierała ona widocznie jakąś subtelną truciznę, gdyż zaczęła oddziaływać bezpośrednio na jego mózg. Dostał bzika na punkcie kopalni, a ponieważ był odczytany w lżejszej literaturze, bzik ten przybrał w jego umyśle kształty Starca Morskiego⁸³ siedzącego mu na

⁸⁰ *Pas moyen, mon garçon...* (fr.) – Nie da rady, mój chłopcze. Ale szkoda! Nie będę okradała ludzi. Nie jestem ministrem, do licha! Niech pan zabierze swoją sakiewkę. [przypis edytorski]

⁸¹ *frymarzczyć* (daw.) – kupczyć, handlować. [przypis edytorski]

⁸² *Allez, et dites bien à votre bonhomme...* (fr.) – Idź pan i powiedz swojemu przyjacielowi – rozumie mnie pan? – że trzeba przełknąć tę pigułkę. [przypis edytorski]

⁸³ *Starzec Morski* – postać z piątej podróży Sindbada Żeglarza, jednej z opowieści z *Księgi tysiąca i jednej nocy*: starzec, który poprosił Sindbada o przeniesienie na drugi brzeg rzeki, ale nie chciał później zejść z jego grzbietu i nie sposób go było zrzucić. [przypis edytorski]

karku. Zaczęły mu się także majaczyć wampiry. Pan Gould przesadzał w ocenie ujemnych stron swego nowego położenia, dając się ponosić emocjom. Jego sytuacja w Costaguanie nie była gorsza niż wcześniej. Jednak człowiek jest istotą przeraźliwie konserwatywną, a groteskowa nowość tego zamachu na jego sakiewkę wstrząsnęła jego wrażliwością. Nie było dokoła niego ludzi, których nie obrabowałyby rządy i rewolucje po śmierci Guzmána Bento. Doświadczenie uczyło go, iż żadna szajka, która wejdzie w posiadanie pałacu prezydenckiego, nie będzie do tego stopnia nieudolna, by wskutek braku pretekstów pozwolić wywieść się w pole, chociażby nawet łup miał zawieść w pewnej mierze jej uzasadnione oczekiwania. Pierwszy lepszy przygodny pułkownik bosej armii urwipołciów mógł nawet każdemu zwykłemu cywilowi z całym naciskiem i ścisłością wykazać swe prawa do sumy dziesięciu tysięcy dolarów, w każdym jednak razie liczył nieodmiennie na łapówkę co najmniej tysiąca dolarów. Pan Gould wiedział o tym znakomicie i uzbroiwszy się w cierpliwość, czekał lepszych czasów. Jednak grabież pod płaszczykiem prawności i interesu była dla jego wyobraźni nie do zniesienia. Pan Gould-senior miał jedną wadę w swym godnym i roztroptym charakterze: oto przypisywał zbyt wielkie znaczenie formie. Jest to wspólna cecha ludzi, których poglądy nasiąkły przesadami. W sprawie tej dopatrywał się złośliwego działania znikczemniałej sprawiedliwości i doznał wstrząsu moralnego, który zachwiał jego krzepkim ustrojem fizycznym. „To mnie w końcu zabije” – powtarzał codziennie. Rzeczywiście od tego

czasu zaczął cierpieć na wątrobę i na dławiacą niemoc myślenia o czymkolwiek innym. Minister finansów nie przeczuwał wcale, jak bardzo subtelny był jego odwet. Nawet listy, które pan Gould pisywał do swego czternastoletniego syna Charlesa, kształcącego się wówczas w Anglii, nie mówiły o niczym innym, jak o kopalni. Sarkał na niesprawiedliwość, na prześladowania, na haniebne brzemie tej kopalni; zapełniał całe stronicie wywodami na temat fatalnych następstw, jakie ze wszystkich punktów widzenia muszą wyniknąć z posiadania tej kopalni, snuł złowrogie wnioski, truchlał na myśl o pozornie wiekuistej trwałości tego przekleństwa. Bowiem tej koncesji udzielono jemu i jego potomstwu po wszystkie czasy. Zaklinał syna, by nigdy nie wracał do Costaguany, nigdy nie upominał się o udział w tamtejszym swoim dziedzictwie, gdyż plami je owa nikczemna koncesja; niechaj po nic nie sięga, niechaj nawet się nie zbliża, niechaj zapomni, że istnieje Ameryka i zajmie się kupiectwem w Europie. Zaś każdy list kończył się gorzkimi ubolewaniami, iż za długo przyszło mu przebywać w tej jaskini złodziei, bandytów i krętaczy.

W czternastym roku życia nie przywiązuje się zbyt wielkiego znaczenia do nieustannie ponawianych zapewnień, iż przyszłość nasza jest zwichnięta skutkiem posiadania kopalni srebra; ale forma tych zapewnień może wywołać pewien odruch zdziwienia i zastanowienia. Z biegiem czasu chłopak, nie tyle oszołomiony tymi gorzkimi żałami, co zmartwiony kłopotami swego taty, zaczął zastanawiać się nad tą sprawą w chwilach wolnych od

nauki i zabawy. W ciągu jakiegoś roku zdołał wysnuć z owych listów niewzruszone przeświadczenie, iż naprawdę istnieje kopalnia srebra w prowincji Sulaco, stanowiącej część Republiki Costaguany, gdzie przed wielu laty żołnierze rozstrzelali biednego stryja Henryka. Z ową kopalnią pozostawała w ścisłym związku sprawa zwana „niegodziwą koncesją Goullda”, która widocznie była napisana na papierze, skoro jego ojciec pragnął gorąco „ją podrzeć i rzucić w twarz” prezydentom, członkom trybunału i ministrom państwa.

Pragnienie to nie wygasło, aczkolwiek zauważył, iż nazwiska tych dygnitarzy rzadko pozostawały bez zmiany w ciągu całego roku. Wydawało się ono zupełnie słuszne chłopakowi, gdyż rzecz ta była niegodziwa, nie wiedział jednak, na czym jej niegodziwość polega. Później, w miarę jak mu rozwidniało się w głowie, zdołał oddzielić istotną prawdę od fantastycznych naleciałości o Starcu Morskim, wampirach i widmach, które korespondencji jego ojca nadawały posmak jakiejś okropnej baśni z arabskich nocy. W końcu dorastający młodzieniec posiadał nie mniej dokładną znajomość kopalni San Tomé od starca, który pisywał te bolesciwe i zaciekle listy z drugiej strony oceanu. Donosił on, że nałożono na niego kilkakrotnie ogromne grzywny za zaniedbywanie pracy w kopalni, chociaż już poprzednio zmuszono go do wypłacenia zaliczek na rachunek przyszłego czynszu dzierżawnego, pozorując to bezprawie tym, iż człowiek, który znajduje się w posiadaniu takiej cennej koncesji, nie powinien odmawiać pieniężnego poparcia rządowi

republiki. Resztę jego mienia wymuszono – jak pisał z wściekłością – w zamian za bezwartościowe kwity, piętnując go równocześnie jako człowieka, który miał ciągnąć olbrzymie zyski z trudnej sytuacji kraju. A młodzieniec przebywający w Europie z coraz większym zainteresowaniem śledził sprawę, która zdolna była wywołać taką burzę słów i namiętności.

Myślał o niej codziennie, ale myślał bez goryczy. Nie ulegało wątpliwości, iż sprawa ta była nieszczęściem dla jego biednego taty i że cała historia rzucała posępne światło na stosunki polityczne i społeczne w Costaguanie. Pogląd jego na te sprawy nie różnił się od poglądu ojca, ale był spokojny i refleksyjny. Niepodobna z uporczywym i nieustannym oburzeniem odczuwać fizycznych czy psychicznych udręczeń innej osoby, chociażby chodziło nawet o własnego ojca. W dwudziestym roku życia Charles Gould jako następny uległ zaklęciu kopalni San Tomé. Ale był to inny rodzaj oczarowania, bardziej zgodny z jego młodością, gdyż w skład jego formuły magicznej zamiast zgneźbionego oburzenia i rozpaczki wchodziła nadzieja, krzepkość i ufność we własne siły. Pozostawiony w tym wieku samemu sobie (choć z surowym zastrzeżeniem, by nie wracał do Costaguany), odbywał dalsze studia w Belgii i Francji, chcąc zostać inżynierem górniczym. Jednak strona naukowa tych studiów zarysowywała się w jego umyśle niejasno i ułamkowo. Kopalnie posiadały dla niego dramatyczne napięcie. Badał ich właściwości z osobistego punktu widzenia, podobnie jak ktoś bada odmienne cechy charakterów ludzkich. Zwiedzał kopalnie

w Niemczech, w Hiszpanii i Kornwalii. Zwłaszcza opuszczone oddziaływały na niego mocno. Ich opuszczenie wstrząsało nim na podobieństwo niedoli ludzkiej, której przyczyny są głębokie i rozmaite. Mogą być liche, ale mogą być też niedocenione. Jego przyszła żona była pierwszą, i może jedyną istotą ludzką, która zdołała odkryć pobudki rządzące nader wrażliwym i niemal milczącym zachowaniem się tego człowieka w stosunku do świata spraw materialnych. I od razu jej skłonność do niego, która ociągała się z na wpół rozpostartymi skrzydłami na podobieństwo ptaków, niełatwo wzlatujących z równiny, znalazła szczyt, z którego mogła wzbić się w niebiosa.

Poznali się we Włoszech, gdzie przyszła pani Gould przebywała w towarzystwie starej, bladej ciotki, która przed laty poślubiła zubożałego, włoskiego markiza, człowieka w średnim wieku. Nie zdejmowała żałoby po tym człowieku, który potrafił oddać własne życie za niepodległość i zjednoczenie ojczyzny. Uczynił to z taką entuzjastyczną wielkoduszością, iż dorównał najmłodszym, którzy również zginęli za tę samą sprawę i których szczątkiem był stary Giorgio Viola, unoszonym przez prąd szczątkiem, na podobieństwo zgruchotanego dzioba okrętowego, niknącego niepostrzeżenie wśród fal po morskim zwycięstwie. Ubrana zawsze czarno, z białą przepaską na czole jak zakonnica, prowadziła *marchesa* ustronne, przyciszone życie w zakątku starożytnego, zrujnowanego pałacu, którego wielkie, puste sale mieściły na dole, pod swymi malowanymi sklepieniami, ziemiopłody, drób, a nawet było obok całej

rodziny dzierżawcy.

Młodzi spotkali się w Lukce. Po tym spotkaniu Charles nie zwiedzał już kopalń, chociaż pewnego razu pojechali oboje powozem, by zobaczyć kamieniołomy marmuru, w których praca o tyle jest podobna do górniczej, iż również ma na celu wydobywanie cennego surowca z ziemi. Charles Gould nie wygłaszał przed nią mów, by odsłonić swe serce. Dawał się jej poznać, myśląc i działając. Tak zwykła objawiać się szczerłość. Często mówił: „Zdaje mi się, że mój biedny ojciec ma niesłuszny pogląd na to przedsiębiorstwo San Tomé”. I zastanawiali się oboje nad tym poglądem długo i poważnie, jak gdyby mogli oddziaływać na umysł człowieka poprzez pół kuli ziemskiej. Jednak rzeczywistą przyczyną tych rozważań była miłość, która przenika wszelki przedmiot i rozplomienia życiem najobojętniejsze wyrażenia. Oto powód, dla którego pani Gould lubiła te dyskusje w okresie swego narzeczeństwa. Charles martwił się, że ojciec nadwyręża swoje siły i naraża się na chorobę, chcąc uwolnić się od kopalni.

– Mam wrażenie, że nie jest to właściwy sposób postępowania – dumiał głośno, jak gdyby mówił do siebie. Kiedy zaś ona nie tajiła swego zdziwienia, iż człowiek charakteru może poświęcać swe siły knowaniom i intrygom, Charles oświadczył, że pojmuje jej zdziwienie, lecz dodał:

– Proszę nie zapominać, że on się tam urodził.

Z właściwą sobie bystrością zaczęła się nad tym zastanawiać, po czym postawiła oderwane pytanie, które słusznie uznał za

przenikliwie:

– No, a pan? Pan również tam się urodził.

Miał gotową odpowiedź.

– To co innego. Nie byłem tam od dziesięciu lat. Ojciec nie miał nigdy tak długiego wytchnienia. A trwa już to ze trzydzieści lat.

Emilia była pierwszą osobą, do której przemówił, dowiedziawszy się o śmierci swego ojca.

– To go zabiło – powiedział.

Otrzymałszy tę wiadomość, wyszedł z miasta i podążał wprost przed siebie w południowym słońcu, po białej drodze, aż stanął przed nią w sali zrujnowanego pałacu. Była to komnata wspianała i pusta. Długie strzępy adamaszku, poczerniałe od czasu i wyziewów, zwieszały się tu i ówdzie po ogołoconych boazeriach ścian. Umeblowanie składało się z jednego pozłacanego krzesła z odłamanym oparciem i z piedestału w kształcie ośmiokątnej kolumny, na którym stała ciężka, marmurowa urna, zdobna w rzeźbione maski i girlandy kwietne, pęknięta od góry do dołu. Charles Gould był cały zakurzony od białego pyłu gościńca; pokrywał on jego obuwie, ramiona i czapkę. Pot ściekał po jego twarzy. W odsłoniętej prawej ręce trzymał gruby dębowy kij.

Wydawała się bardzo blada pod różami swego wielkiego, słomianego kapelusza. Włożyła już rękawiczki i wzięła jasną parasolkę, by wyjść naprzeciw i oczekiwać go na szczycie wzgórza, gdzie trzy topole rosły obok muru winnicy.

– To go zabiło – powtórzył. – Miałby jeszcze długie lata przed sobą. W naszej rodzinie żyje się długo.

Nazbyt była strapiona, by przemówić. Utkwił swe przenikliwe, nieruchome spojrzenie w pękniętej marmurowej urnie, jakby pragnął jej kształty utrwalić w swej pamięci na zawsze. Dopiero gdy nagle zwróciwszy się do niej, wybełkotał dwukrotnie: „Przyszedłem do pani... przyszedłem prosto do pani...”, zdołała w całej pełni zdać sobie sprawę z wielkiej i żalostnej niedoli tego dalekiego i udręczonego zgonu w Costaguanie. Ujął ją za rękę i podniósł jej dłoń do swych ust, ona zaś upuściła parasolkę, by pogłaskać go po twarzy, mówiąc szeptem: „Biednyś ty!”. Po czym zaczęła ocierać oczy pod opadającym skrzydłem kapelusza. Jej drobna postać w skromnym, białym kostiumie podobna była do dziecka, które, zabłąkane, szlocha wśród obumarłego przepychu wspaniałej sali. Znieruchomiał znów obok niej, zapatrzony w marmurową urnę.

Poszli następnie na długą przechadzkę, nie zamieniając zrazu ani słowa. W końcu wydarło się mu z ust:

– No, tak! Lecz gdyby był wziął się do rzeczy we właściwy sposób!

Przystanęli. Wszędzie słaśniały się długie cienie po wzgórzach, po drogach, po ogrodzonych sadach oliwnych: cienie topól, rozłożystych kasztanów, budynków folwarcznych i murów z kamienia. Dźwięczny, radosny głos dzwonu rozlegał się w pogodnym powietrzu na podobieństwo tętna żaru słonecznego. Jej usta rozchyliły się, jak gdyby ze zdziwienia, że nie patrzy

na nią z właściwym sobie wyrazem. Zwykły jego wyraz polegał na skupieniu i bezwzględny dla niej uznaniu. W rozmowach z nią bywał najtroskliwszym i najczułobitniejszym władcą, co niezmiernie jej się podobało. Dzięki temu miała poczucie swej władzy bez ujmy dla jego godności. Ta szczupła dziewczyna o drobnych stópkach, drobnych rączkach i drobnej twarzyczce, przeciążonej uroczo szczodrymi splotami włosów, posiadała wyniosłą duszę doświadczonej kobiety. Jej nieco za duże usta tchnęły świeżością szczerości i szlachetności. Ponad wszystko, ponad wszelkie pochlebstwa, troszczyła się o tego, który był chlubą jej wyboru. Otóż w owej chwili nie patrzył na nią wcale. Miał napięte rysy i nieprzytomny wyraz twarzy, jak człowiek, który ponad głowę młodej dziewczyny zapatrzył się w nicość.

– A więc tak. To była krzywda. Skrzywdzili biednego starca. Ach, czemuż nie pozwalał mi wrócić do siebie? Lecz teraz będę wiedział, jak wziąć to w ręce.

Wymówiwszy te słowa z ogromną otuchą, spojrział na nią i od razu stał się pastwą przygnębienia, niepewności i obawy.

Jedyną rzeczą, o którą mu obecnie chodziło, było to, czy ona dostatecznie go kocha – czy ma odwagę pojechać z nim tak daleko? Stawiał jej te pytania głosem drżącym z obawy, gdyż był człowiekiem stanowczym.

Tak, kochała go bardzo. Chciała jechać. I niezwłocznie przyszła orędowniczka wszystkich Europejczyków w Sulaco doznała fizycznego wrażenia, iż ziemia zarywa się pod nią. Pierzchła jej przed oczu, pierzchł nawet dźwięk dzwonu.

Kiedy znów uczuła ziemię pod stopami, dźwięki wciąż jeszcze rozlegały się wśród doliny; podniosła ręce do głowy, oddychając szybko, i powiodła okiem po okolonej murami drożynie. Uspokoiła się, bo nie było nikogo. Tymczasem Charles stanął jedną nogą w suchym, zakurzonym rowie i podniósł otwartą parasolkę, która odskoczyła od nich z marsowym łoskotem potrąconego bębna. Wręczył ją spokojnie, choć z niejakim przygnębieniem.

Zaczęli wracać ku domowi. Kiedy zaś wsunęła mu rękę pod ramię, pierwsze jego słowa były:

– Jak to dobrze, że będziemy mogli osiedlić się w mieście portowym! Słyszałaś jego nazwę. To Sulaco. Cieszę się, że mój biedny ojciec kupił tam dom. Nabył go już przed laty, aby w głównym mieście tak zwanej Zachodniej Prowincji istniała zawsze Casa Gould. Będąc małym chłopcem, mieszkałem tam już raz przez cały rok z moją drogą matką; mój biedny ojciec bawił wówczas w Stanach Zjednoczonych za interesami. Będziesz nową panią Casa Gould.

Później zaś w niezamieszkanym zakątku starożytnego pałacu, hen, nad winnicami, marmurowymi wzgórzami, piniami i oliwkami Lukki, tak do niej mówił:

– Nazwisko Gouldów cieszyło się zawsze wielkim poważaniem w Sulaco. Mój stryj Harry był czas jakiś naczelnikiem państwa i pozostawił po sobie dobrą pamięć wśród najznakomitszych rodów. Są to czyści Kreolowie⁸⁴, którzy

⁸⁴ *Kreol* – urodzony w Ameryce Łacińskiej potomek europejskich kolonizatorów.

nie biorą udziału w nędznych błazeństwach rządowych. My, Gouldowie, nie jesteśmy w Costaguanie przybłędami. Pochodził z tego kraju, kochał go, ale w swych przekonaniach pozostał do rdzenia Anglikiem. Posługiwał się politycznym hasłem swej epoki. Była nim federacja. Ale nie był politykiem. Stawał w obronie porządku społecznego po prostu z czystego umiłowania rozumnie pojmowanej wolności i z nienawiści do wszelkiego ucisku. Nie gmatwał się w nedorzecznościach. Zajął się pracą na swój sposób, gdyż uważał ją za potrzebną, podobnie jak ja muszę zabrać się do tej kopalni.

Mówił do niej takimi słowami, ponieważ pamięć jego pełna była kraju lat dziecinnych, ponieważ serce śniło o pożyciu z tą dziewczyną, a myśl była zajęta kopalnią San Tomé. Zapowiedział jej, że opuści ją na kilka dni, by odszukać pewnego Amerykanina pochodzącego ze San Francisco, który wałęsał się jeszcze po Europie. Poznał go przed kilkoma miesiącami w starym, historycznym mieście niemieckim, położonym w okręgu górniczym. Amerykanin był w towarzystwie żony, lecz czuł się osamotniony, gdyż całymi dniami rysowali stare odrzwia i uwieńczone wieżyczkami narożniki średniowiecznych domostw. Charles Gould zawiązał z nim ścisłą spółkę w sprawie kopalni. Wspólnik ten znał się na przedsiębiorstwach górniczych, był nieco obeznany z Costaguaną i z nazwiskiem Gouldów. Rozmawiali z niejaka poufałością, co było możliwe dzięki różnicy wieku. Charles potrzebował wówczas kapitalisty

o przenikliwym umyśle i ludzkim charakterze. Mienie jego ojca w Costaguanie, które w mniemaniu jego miało być dość znaczne, stopniało widocznie w łotrowskim tyglu rewolucji. Prócz jakichś dziesięciu tysięcy funtów, umieszczonych w Anglii, pozostał tylko dom w Sulaco, problematycznej wartości prawo do eksploatacji lasów w odległych i dzikich stronach oraz koncesja na kopalnię San Tomé, która doprowadziła jego biednego ojca na krawędź grobu.

Wyłuszczał to wszystko. Rozstali się bardzo późno. Nigdy jeszcze nie widział jej w takiej świetności uroku. Cała tęsknota młodzieńcza do niepowszedniego życia, do wielkich oddali, do przyszłości, nęcącej obietnicą przygód i walki – wszystka subtelna myśl o współdziałaniu i podboju rozplómiętała ją mocnym podnieceniem, co w stosunku do niego przejawiało się nie tak już skrywaną i przedziwną tkliwością.

Gdy, pożegnawszy się z nim, schodziła ze wzgórza i gdy pozostał sam, odzyskał natychmiast swą trzeźwość. Zmiana, jaką nieubłagana śmierć wywołuje w toku naszych powszednich myśli, może stać się nieokreślonym i dotkliwym rozstrojem umysłu. Bolało to Charlesa Goulda, iż już nigdy, żadnym wysiłkiem woli nie będzie mógł myśleć o swym ojcu w ten sam sposób, w jaki zwykł był myśleć o nim za jego życia. Żywy jego obraz nie był już dlań uchwytny. To spostrzeżenie, bezpośrednio uderzające w własną jego osobowość, napełniało jego pierś bolesnym i przejmującym pragnieniem czynu. Pod tym względem instynkt go nie zawodził. Czyn ma moc

pocieszenia. Jest wrogiem myśli i druhem pochlebnych rojeń. Jedyne w toku naszych działań możemy doszukać się zagadki panowania nad przeznaczeniem. Dla niego jedynym polem działania była kopalnia. Chwilami nasuwało się natarczywe pytanie, jak sprzeniewierzyć się uroczystym życzeniom nieboszczyka. Postanowił sobie, iż jego nieposłuszeństwo (jako zadośćuczynienie) będzie najzupełniejsze. Kopalnia była przyczyną niedorzecznego nieszczęścia moralnego, praca w niej powinna się stać poważnym zwycięstwem moralnym. Należało się to pamięci zmarłego. Tak przedstawiały się odczucia Charlesa Goulda. Myśli jego krążyły wokół zdobycia wielkiego kapitału w San Francisco lub gdzieś indziej. Mignęła mu w głowie refleksja, iż rady nieboszczyka byłyby zawodnym przewodnikiem. Nigdy nie można z góry przewidzieć, jakie ogromne zmiany może wywołać zgon tej czy innej jednostki w najistotniejszym porządku świata.

Najnowszy okres dziejów kopalni znała pani Gould z własnego doświadczenia. Były to dzieje jej małżeńskiego pożycia. Płaszcz dziedzicznego stanowiska Gouldów w Sulaco osunął się suto na jej drobną osóbkę; nie chciała jednak dopuścić, żeby właściwości tego osobliwego stroju miały przytłoczyć żywość jej charakteru, co było oznaką nie samej tylko machinalnej ruchliwości, lecz także przenikliwej inteligencji. Nie należy przez to przypuszczać, że pani Gould miała męski umysł. Kobieta o męskim umyśle nie jest istotą wyższego rzędu, jest po prostu okazem niedoskonałego zróżnicowania

plci – zajmująco jałowym i bez znaczenia. Kobięca inteligencja dońii Emilii pomogła jej dokonać podboju Sulaco, torując drogę jej nieegoistycznej i współczującej naturze. Umiała rozmawiać z wdziękiem, ale nie była gadatliwa. Mądrość serca, niemająca nic wspólnego z budowaniem lub burzeniem teorii, a tym bardziej z obroną przesądów, nie ma czczych słów na zawołanie. Słowa, które wypowiada, mają wartość aktów rzetelności, wyrozumiałości i współczucia. Szczera tkliwość kobieca, podobnie jak szczera męskość mężczyzny, wyraża się czynami, które mają władzę podbijania. Panie z Sulaco uwielbiały panią Gould. „Wciąż jeszcze patrzą na mnie jak na jakieś dziwo” – rzekła żartem do jednego z trzech dżentelmenów z San Francisco, których wypadło jej ugaszczać w swej nowej siedzibie po roku pożycia małżeńskiego.

Byli to pierwsi goście zagraniczni, którzy przybyli obejrzeć kopalnię San Tomé. „Żartuje bardzo miło” – myśleli sobie, zaś Charles Gould, wiedząc doskonale, do czego zmierza, parł ku urzeczywistnieniu. Te okoliczności usposabiły ich przychylnie do jego żony. Niezaprzeczony entuzjazm, zabarwiony lekkim nalotem ironii, sprawił, iż jej wywody o kopalni zachwyciły po prostu gości i wywoływały u nich poważne i pełne pobjaźnienia uśmiechy, niepozbawione dużej domieszki szacunku. Być może, iż gdyby byli poznali zapamiętały idealizm jej poglądów na powodzenie przedsiębiorstwa, byłiby nie mniej zdumieni właściwościami jej umysłu od owych hiszpańsko-amerykańskich pań, które nie wychodziły z podziwu dla jej nieustrudzonej

ruchliwości. Istotnie mogła być dla nich – posługując się jej własnymi słowami – „istnym dziwem”. Ale Gouldowie byli z usposobienia skryci i ich goście wyjechali, nie przypuszczając, iż może chodzić o coś innego niż o zyski z puszczonej w ruch kopalni. Pani Gould kazała zaprząć parę białych mułów do swego powozu, by odwieźć ich do portu, skąd „Ceres” miała ich odstawić na plutokratyczny Olimp. Kapitan Mitchell skorzystał z tego pożegnania, by szeptać poufnie do pani Gould:

– To zapowiedź nowej epoki.

Pani Gould lubiła patio swego hiszpańskiego domu. Na szerokie, kamienne schody spoglądała w milczeniu z wnęki ściennej Madonny w błękitnych szatach, z ukoronowanym Dzieciątkiem na ręku. Przyciszone głosy dolatywały wczesnym rankiem z dna brukowanej kwadratowej studni, jaką z góry wydawał się dziedziniec; słychać było stąpania koni i mułów, które prowadzono parami, by je napoić. Z kolanek smukłych pni bambusowych zwieszały się wąskie, lancetowate liście nad kwadratową taflą sadzawki, a tłusty stangret siedział skulony na jej cembrowinie, trzymając leniwie końce lejcy w ręku. Wynurzywszy się spod niskiego, mrocznego sklepienia sieni, przemykały się tu i ówdzie bosa dziewczęta służebne; pojawiły się dwie praczki, niosące kosze z wypraną bielizną, przeszedł piekarz z dzieżą zarobionego ciasta i jej własna *camerista*⁸⁵, Leonarda, która w ręce wzniesionej wysoko ponad kruczą czernią włosów niosła pęk nakrochmalonych spódniczek, olśniewająco

⁸⁵ *camerista* (hiszp.) – pokojówka. [przypis edytorski]

białych w ukośnych blaskach słońca. Po czym pokuśtykał stary odźwierny, zamiatając kamienne płyty bruku, i dom był przygotowany do zwykłego życia dziennego. Wysokie pokoje po trzech stronach czworoboku były połączone między sobą i miały drzwi na *corredor*, wzdłuż którego biegła poręcz z kutego żelaza ozdobiona kwiatami. Na podobieństwo władczyni średniowiecznego zamczyska mogła widzieć z góry, kto wjeżdżał lub wyjeżdżał z *casa*, a odgłosy, rozlegające się za każdym razem ze sklepionej sieni, wzmagaly wrażenie okazałości.

Patrzyła, jak wyjeżdżał jej powozik, odwozący trzech gości z północy. Uśmiechała się. Troje rąk podniosło się równocześnie do trzech kapeluszy. Czwartym był kapitan Mitchell, który towarzyszył im z grzeczności i zaczął już pompatyczną przemowę. Ociągała się. Ociągała się, pochylając co chwila twarz nad kępami kwiatów, jak gdyby chciała pozostawić swym myślom czas, by dostosowały się do powolności jej kroków, zdążających w głąb długiego korytarza.

Obwieszony frędzlami i barwnymi piórami hamak indiański z Aroa wisiał w kącie, gdzie najwcześniej pojawiała się słońce, gdyż poranki bywają w Sulaco chłodne. Ogromne kępy kwiatów, zwanych *flor de noche buena*⁸⁶, pały przed roztwartymi, oszklonymi drzwiami salonów. Wielka, zielona papuga, połyskująca świetnością szmaragdu w błyszczącej złotej

⁸⁶ *flor de noche buena* (hiszp.) – wilczomlec nadobny, pot. gwiazda betlejemska, popularna roślina ozdobna pochodząca z Meksyku i Gwatemali. [przypis edytorski]

klatce, zaskrzeczała dziko: „*Viva Costaguana!*”⁸⁷, po czym zawołała dwukrotnie słodkim głosem: „Leonarda! Leonarda!”, naśladując panią Gould, i pogrążyła się nagle w bezruchu i milczeniu. Pani Gould doszła do końca galerii i zajrzała spoza drzwi do pokoju swego męża.

Charles Gould z nogą wspartą na niskim stołeczku przypinał już ostrogi. Spieszył się do kopalni. Pani Gould, nie wchodząc do środka, rozejrzała się po pokoju. Jedną szafę, dużą i szeroką, z oszklonymi drzwiami, wypełniały książki; natomiast druga, pozbawiona półek i wybita czerwoną bają⁸⁸, zawierała broń palną: karabiny winchesterskie, rewolwery, parę strzelb myśliwskich i nawet dwie pary pistoletów z podwójnymi lufami. Pomiędzy nimi wisiała samotnie na kawałku szkarłatnego aksamitu stara szabla kawaleryjska, niegdyś własność don Enrique Goulda, bohatera Zachodniej Prowincji, podarowana przez don Joségo Avellanosa, dziedzicznego przyjaciela rodziny.

Poza tym białe ściany były zupełnie pozbawione ozdób. Wyjątek stanowiła akwarela przedstawiająca góry San Tomé; była ona własnoręcznym dziełem doñii Emilii. Pośrodku, na posadzce ułożonej z czerwonych płytek, stały dwa długie stoły zawalone planami i papierami, obok nich kilka krzeseł i oszklona szafka, zawierająca okazy rudy z kopalni. Pani Gould, rzuciwszy śpiesznie okiem na te przedmioty, wyraziła głośno zdziwienie, dlaczego rozmowy tych bogatych i przedsiębiorczych

⁸⁷ *Viva Costaguana!* (hiszp.) – niech żyje Costaguana! [przypis edytorski]

⁸⁸ *baja* – rodzaj miękkiej bawełnianej tkaniny. [przypis edytorski]

ludzi, rozprawiających o możliwościach, o działalności i bezpieczeństwie kopalni, niecierpliwiły ją i rozstrajały, podczas gdy ze swym mężem mogła całymi godzinami gawędzić o kopalni z niesłabnącym zainteresowaniem i zadowoleniem.

I opuszczając powieki w wyrazisty sposób, dodała:

– A ty co o tym sądzisz, Charley?

Po czym, zdziwiona milczeniem męża, podniosła szeroko otwarte oczy, piękne jak blade kwiaty.

Uporał się już z ostrogami i podkreślając oburącz swe długie wąsy, przyglądał się jej z wysokości swoich długich nóg z widocznym uznaniem dla jej wyglądu. Świadomość, iż jest tak podziwiana, sprawiała przyjemność pani Gould.

– Są to wielce poważani ludzie – odezwał się.

– Wiem o tym. Ale czy przysłuchiwałeś się ich rozmowom? Nie zdaje się mi, żeby bodaj w przybliżeniu zdawali sobie sprawę z tego, co tu widzieli.

– Oglądali kopalnię. Czynili to w pewnym zamiarze – wtrącił Charles Gould, stając w obronie gości.

Na to jego żona wymieniła nazwisko najwybitniejszego z tej trójki. Wyróżniał się w dziedzinie finansowej i przemysłowej. Jego nazwisko znały miliony ludzi. Był znakomitością tej miary, iż nigdy nie podjąłby się pracy tak daleko od ośrodka swej działalności, gdyby lekarze, nie szczedząc skrywanych pogroźek, nie zniewolili go do dłuższego wypoczynku.

– Pan Holroyd – mówiła dalej pani Gould – czuł się dotknięty i urażony przepychem strojów świętych, których

posągi stoją w katedrze. Nazwał to kultem drewna i pozłotki. Ale mnie się zdaje, iż on zapatruje się na swego Boga jak na jakiegoś wpływowego współnika, który jako swój udział w zyskach otrzymuje ufundowane kościoły. To pewnego rodzaju bałwochwalstwo. Opowiadał mi, że co roku funduje kościół.

– Bez końca – przemówił pan Gould, podziwiając w duszy ruchliwość jej rysów. – Po całym kraju. Słynie z tej swojej hojności.

– Och, nie przechwalał się tym! – zaświadczyła sumiennie pani Gould. – Zdaje mi się, że to naprawdę dobry człowiek, ale taki głupi! Biedny *Cholo*⁸⁹, który ofiarowuje swemu Bogu srebrne ramię lub nogę za to, że go uleczył, jest tak samo mądry, a nierównie bardziej wzruszający.

– Stoi na czele olbrzymich przedsiębiorstw związanych ze srebrem i żelazem – napomknął Charles Gould.

– Ach, tak! Religia srebra i żelaza! To bardzo przyjemny człowiek; wprowadzie ujrzawszy po raz pierwszy w klatce schodowej Madonnę z pomalowanego drzewa, przybrał wyraz namaszczonej zgrozy, ale nic mi nie powiedział. Mój drogi Charley, słyszałam, jak ci ludzie rozmawiali ze sobą. Czy to możliwe, by ze względu na ogromne poważanie pragnęli istotnie zostać nosiwodami i drwałami dla wszystkich krajów i narodów świata?

– Człowiek winien pracować do ostatka – rzekł ogólnikowo

⁸⁹ *Cholo* (hiszp.) – potomek rodziców hiszpańskiego i indiańskiego pochodzenia, mówiący po hiszpańsku Indianin. [przypis edytorski]

Charles Gould.

Pani Gould, marszcząc brwi, oglądała go od stóp do głowy. W swych bryczesach, skórzanych kamaszach (niewidywanych przedtem w Costaguanie), norfolskiej marynarce z szarej flaneli i z tymi wielkimi, płomienistymi wąsami wyglądał na oficera kawalerii, który został ziemianinem. To porównanie odpowiadało upodobaniom pani Gould. „Jaki on, biedak, szczupły! – myślała. – Przpracowuje się”. Niepodobna jednak było zaprzeczyć, iż jego subtelna, wyrazista, czerwonawa twarz i cała jego smukła, długonoga postać wywoływała wrażenie szlachetności i wytworności. Pani Gould złągodniała.

– Zastanawiałam się tylko, jak ty to odczuwasz – szepnęła łagodnie.

W ostatnich dniach Charles Gould musiał dwa razy pomyśleć, zanim coś powiedział, i nie zwracał zbyt uwagi na swe odczucia. Ale stanowili dobraną parę, więc nietrudno mu przyszło znaleźć odpowiedź.

– Najlepsze moje uczucia są w twojej mocy – rzekł swobodnie i tyle było prawdy w tych niejasnych słowach, iż tejże samej chwili doznał względem niej wielkiego przyływu tkliwości i wdzięczności.

Nie wyglądało jednak, żeby ta odpowiedź była dla pani Gould niejasna. Pokraśniała z lekka, lecz już zmienił ton.

– No, to jest pewnikiem! Wartość kopalni jako kopalni nie ulega wątpliwości. Dzięki niej będziemy bardzo bogaci. Puszczanie jej w ruch jest zagadnieniem wiedzy technicznej,

a tę posiadam, posiada ją tysiąc innych ludzi na świecie. Ale jej bezpieczeństwo, trwałość jej istnienia jako przedsiębiorstwa zapewniającego dochody tym ludziom, tym cudzoziemcom, którzy włożyli w nią swe pieniądze, spoczywa wyłącznie w moich rękach. Wzbudziłem zaufanie w człowieku bogatym i możnym. Wydaje się ci to zupełnie naturalne, nieprawdaż? No, a ja nie wiem, nie wiem, dlaczego zdołałem je wzbudzić. Ale to pewnik. Czyni on wszystko możliwym. Bez niego nie przyszłoby mi na myśl nie oglądać się na życzenia mego ojca. Nigdy nie rozporządziłbym się tą koncesją jak spekulant, który odstępuje swe prawa spółce za gotówkę i dywidendy, by wzbogacić się przy nadarzającej się sposobności lub przynajmniej zagarnąć nieco grosza do kieszeni. Nie! Nie uczyniłbym tego, nawet gdyby to było możliwe, o czym wątpię. Biedny ojciec tego nie rozumiał. Obawiał się, że uwieszę się przy zrujnowanym przedsiębiorstwie i czekając na podobną sposobność, zmarnuję życie. Takie znaczenie miał jego zakaz, z którego świadomie się wyłamałem.

Przechadzali się po korytarzu. Sięgała mu głową do ramienia. Opuścił ramię i objął jej kibić. Ostrogi pobrzękiwały z lekka.

– Nie widział mnie od dziesięciu lat. Nie znał mnie. Rozstał się ze mną dla mojego dobra i nie chciał pozwolić, żebym wrócił. Powtarzał nieustannie w swych listach, żebym się wyrzekł Costaguany, porzucił wszystko i ratował się ucieczką. Sam był zbyt cennym łupem. Za pierwszym podejrzeniem byliby go wrzucili do więzienia.

Ostrogi odezwały się znów cichym podźwięciem. Pochylał się ku żonie, mówiąc do niej. Wielka papuga przechyliła głowę i śledziła ich ruchy krągłym, niemrużącym się okiem.

– Był samotnym człowiekiem. Kiedy miałem dziesięć lat, przemawiał do mnie, jakbym był dorosły. Podczas mojego pobytu w Europie pisywał do mnie co miesiąc. Dziesięć, dwanaście stron każdego miesiąca przez dziesięć lat. Lecz mimo to mnie nie znał. Dość wyobrazić sobie – całe dziesięć lat w okresie, kiedy stawałem się mężczyzną! Nie mógł mnie znać. Jak ci się zdaje?

Pani Gould potrząsnęła przecząco głową, gdyż przyszło jej na myśl, że nikt nie może znać jej Charlesa, znać go naprawdę, prócz niej samej. To było oczywiste. Dawało się odczuć. Nie wymagało uzasadnień. Zaś biedny pan Gould-senior, który umarł za wcześnie, by dowiedzieć się o ich narzeczeństwie, przedstawiał się jej zbyt mgliście, żeby mogła przypisywać mu znajomość czegokolwiek.

– Nie, nie zdawał sobie sprawy! W moim pojęciu ta kopalnia nie jest czymś, co można sprzedać. Nigdy! Po tym, co przecierpiał, po prostu nie mógłbym wziąć za nią pieniędzy – mówił Charles Gould dalej, a ona potakująco tuliła głowę do jego ramienia.

Tych dwoje młodych ludzi rozmyślało o życiu, które zakończyło się w niedoli właśnie wówczas, kiedy ich własne istnienia zajaśniały w blaskach ufnej miłości, co bardzo wrażliwym umysłem wydaje się niby triumfem dobra nad

wszystkimi nędzami ziemi. Niejasna idea rehabilitacji wtargnęła do zamierzeń ich życia. Była zbyt niejasna, by obyć się bez podpory uzasadnienia, lecz właśnie dlatego była tym silniejsza. Objawiła się im w tej chwili, kiedy kobiecy zmysł poświęcenia i męski zmysł działania pod wpływem najpotężniejszego ze złudzeń ulegają najsilniejszemu bodźcowi. Z surowości zakazu wynikała konieczność powodzenia, jakby byli moralnie zobowiązani do wykazania wyższości swego pełnego wigoru podejścia do życia nad błędem znużenia i rozpacz.

Myśl o bogactwie nasuwała im się tylko o tyle, o ile łączyła się z powodzeniem tamtej sprawy. Pani Gould, sierota bez majątku, wychowana w atmosferze upodobań intelektualnych, nie upajała się nadzieją wielkich bogactw. Były one zbyt dalekie, a przy tym nie nawykła ich pożądać. Z drugiej strony nie zaznała zupełnego niedostatku. Nawet wielkie ubóstwo jej ciotki *marchesy* nie było nie do zniesienia dla wysubtelnionego umysłu; pozostawało w zgodzie z wielkim cierpieniem, tchnęło surowością ofiary, złożonej szczytnemu ideałowi. Nie było zatem w charakterze pani Gould najsłuszniejszych nawet rysów materializmu. Zmarły, o którym myślała z czułością (gdyż był ojcem Charleya) i z niejaką niecierpliwością (ponieważ był słaby), nie mógł mieć ani cienia słuszności. W przeciwnym bowiem razie nic nie zdołałoby uchronić ich pomyślności od skazy, płamiącej jej jedynie realną, jej niematerialną stronę!

Natomiast Charles Gould musiał brać należycie pod rozwagę myśl o bogactwie; jednak zajmował się nim jako środkiem, nie

zaś jako celem. Gdyby kopalnia nie była korzystnym interesem, nie należałoby jej puszczać w ruch. Musiał dbać o widoki przedsiębiorstwa. Była to dźwignia, za pomocą której mógł ruszyć kapitalistów. A Charles Gould wierzył w kopalnię. Wiedział o niej wszystko, co tylko można było wiedzieć. Jego wiara w kopalnię udzielała się innym, chociaż nie miała na swe usługi wielkiej wymowy; ale ludzie interesu bywają często nie mniej zapalni i marzycielscy od kochanków. Częściej ulegają urokowi osobistemu, niżby ktoś przypuszczał, a Charles Gould ze swą niezachwianą pewnością był bezwarunkowo przekonywający. Ponadto ludzie, do których się zwracał, znali się na rzeczy i wiedzieli, że przedsiębiorstwo górnicze w Costaguanie jest grą, która może być nierównie więcej warta od świeczki. Ludzie interesu posiadali dobre informacje. Rzeczywista trudność ruszenia z miejsca znajdowała się gdzie indziej. Ale zwalczała ją spokojna i nieugięta stanowczość, zabarwiająca nawet głos Charlesa Goulda. Ludzie interesów porywają się czasem na rzeczy, które dla zdrowego rozsądku ludzkiego uchodzą za niedorzeczne, powodują się w swych postanowieniach pobudkami impulsywnymi i bardzo ludzkimi.

– No, tak – rzekła wybitna osobistość, której Charles Gould, przejeżdżając przez San Francisco, wyłuszczył jasno swe poglądy. – Przypuśćmy, że przystępujemy do przedsiębiorstwa górniczego w Sulaco. Któż w nim będzie? Po pierwsze firma Holroyd, zupełnie pewna, po drugie pan Charles Gould, obywatel costaguański, zupełnie pewny, no i wreszcie rząd republiki.

Bardzo to podobne do początków przedsiębiorstwa pól saletry w Atacemie; brała tam udział firma, która dawała pieniądze, pewien dżentelmen nazwiskiem Edwards i rząd, a raczej dwa rządy, dwa rządy południowoamerykańskie. I wie pan, co z tego wynikło? Wynikła z tego wojna, przewlekła, wyniszczająca wojna, panie Gould! Co prawda, w pańskim wypadku mamy do czynienia tylko z jednym rządem południowoamerykańskim, czyhającym łapczywie na udział w łupie. Jest to korzystne. Ale zło ma swe stopniowania, a rząd, o którym mówimy, jest rządem costaguańskim.

Tak mówiła wybitna osobistość, milionowy fundator kościołów na skalę godną wielkości jego ojczyzny, ten sam, do którego lekarze przemawiali językiem zatrważających i skrywanych pogroźek. Był to silnie zbudowany, roztropny człowiek, którego stateczna tusza obszernemu surdutowi na jedwabnej podszewce użyczała wytwornej dostojności. Włosy miał siwe jak stal, brwi jeszcze czarne, a jego potężny profil przypominał profil głowy Cezara na starożytnych monetach rzymskich. Jednak jego pochodzenie wyprowadzano od Niemców, Szkotów i Anglików, co z niejaką domieszką krwi duńskiej i francuskiej wyposażało go w temperament purytanina i nienasyconą wyobraźnię zdobywcy. Nie krępował się zupełnie w stosunku do swego gościa, ponieważ miał on gorące poparcie z Europy i ponieważ silne przekonania i determinacja budziły niewytlumaczalne upodobanie, bez względu na koniec, do jakiego prowadzą.

– Rząd costaguański wyciągnie rękę po całą jej wartość, wspomni pan moje słowa, panie Gould! Bo i czym jest Costaguana? Bezdenną otchłanią pożyczek na dziesięć procent i innych, równie szalonych inwestycji. Europejczycy przez długie lata oburącz rzucali w nią swe kapitały. Ale my nie. Znamy ten kraj już dość dobrze, by mieć się na baczności. Możemy siedzieć i czekać. Przyjdzie oczywiście czas, że tam wtargniemy. Jesteśmy gotowi. Ale nie ma pośpiechu. Sam czas jest na usługach największego kraju w całym bożym świecie. Naszym posłannictwem jest dać niejedno światu: przemysł, handel, prawo, dziennikarstwo, sztukę, politykę i religię, od Przylądka Horn po Cieśninę Smitha i dalej, choćby i do Bieguna Północnego, gdyby się okazało, że jest tam coś wartego uwagi. A z czasem zagarnie się postronne wyspy i lądy ziemskie. Weźmiemy sprawy świata w ręce bez względu na to, czy to światu się spodoba czy nie. Nic na to nie poradzi – a my od swego nie odstąpimy. Tak sędzę.

Swej wierze w posłannictwo dawał ujście w słowach dostosowanych do swej inteligencji, niewyćwiczonej w wyrażaniu idei ogólnych. Inteligencja jego karmiła się faktami. Zaś Charles Gould, którego wyobraźnia pozostawała stale pod urokiem jednego wielkiego faktu, mianowicie kopalni srebra, temu jego pogładowi na przyszłość świata nie miał nic do zarzucenia. Jeżeli chwilowo go raził, to tylko dlatego, że to nagłe stwierdzenie tak rozległych możliwości sprowadzało niemalże do nicości sprawę, która była na porządku dziennym. On i

jego zamierzenia, i wszystkie bogactwa kopalniane Zachodniej Prowincji wydały się mu nagle ogołocone ze wszystkich znamion wielkości. Wrażenie było niemiłe, ale Charles Gould nie był tępy. Czuł już, że się podoba. Świadomość tego pochlebnego faktu pozwoliła mu zdobyć się na nieokreślony uśmiech, który jego tęgi towarzysz wziął za uśmiech dyskretnego i pełnego podziwu uznania. Odwzajemnił się spokojnym uśmiechem. I w jednej chwili Charles Gould z tą lotnością umysłu, którą zwykli okazywać ludzie broniący swych umiłowanych nadziei, zdał sobie sprawę, iż nader widoczna niepozorność jego zamierzeń może mu dopomóc w powodzeniu. Jego osoba i jego kopalnia będą dobrze przyjęte, ponieważ są to rzeczy niewielkiej wagi dla człowieka, którego działalność miała na celu cały ogrom przeznaczenia. Charles Gould nie czuł się upokorzony tą myślą, gdyż dla niego sprawa kopalni nie postradała nic ze swego wielkiego znaczenia. Niczyje, najrozleglejsze nawet poglądy na przeznaczenie nie mogły umniejszyć wartości jego dążeń do odbudowania kopalni San Tomé. W porównaniu z jasnością jego zamierzeń, określonych w przestrzeni i dających się osiągnąć w oznaczonym czasie, wielki finansista wydał mu się idealistą, marzycielskim i niemogącym zaważyć na szali.

Otyły, dobrotliwy potentat spoglądał na niego w zamyśleniu. Wkrótce jednak przerwał milczenie, by rzucić uwagę, iż w Costaguanie aż roi się od koncesji. Każdy poczciwina, który zapragnie tamtejszej koncesji, może ją uzyskać od razu.

– Nasi konsulowie przejadają się nimi – ciągnął dalej z

błyskiem jowialnej wzgardy w oczach. – Sumiennemu, prawemu człowiekowi, który niczego nie traktuje byle jak i umie się połapać w ich intrygach, sprzysiężeniach i klikach, natychmiast wręczają paszport. Cóż pan na to, panie Gould? *Persona non grata*⁹⁰. I to jest przyczyną, dla której nasz rząd nigdy nie jest należycie poinformowany. Trzeba jednak trzymać Europę z dala od tego ładu, a na nasze wmieszanie się jeszcze czas nie przyszedł; przynajmniej tak pozwalam sobie twierdzić. Ale my nie jesteśmy ani rządem tego kraju, ani pierwszymi lepszymi poczciwinami. Pańska sprawa przedstawia się korzystnie. *All right*. Głównym zagadnieniem naszym jest, czy drugi uczestnik, to znaczy pan, zdoła poradzić sobie z trzecim i niepożądanym uczestnikiem, mianowicie z tą lub ową rozpanoszoną i potężną szajką łupieską, która będzie miała w rękach rządu Costaguany. Jak panu się zdaje, panie, he?

Pochylił się, patrząc uparcie w spokojne oczy Charlesa Goulda, który wspomniawszy wielką szkatułę listów ojcowskich, nagromadzoną od wielu lat gorycz i wzgardę zawarł w tonie swej odpowiedzi:

– O ile chodzi o znajomość tych ludzi, ich metod i ich polityki, to mogę ręczyć za siebie. Karmiono mnie tą znajomością od lat chłopięcych. Nie jestem skłonny popadać w błędy z nadmiaru optymizmu.

– Nie jest pan skłonny, he? To bardzo dobrze. Takt i stanowczość – oto, czego pan potrzebuje! I może pan nieco

⁹⁰ *persona non grata* (łac.) – osoba niepożądana. [przypis edytorski]

mydlić oczy potęgą swego przedsiębiorstwa. Ale nie zanadto. Nie opuścimy pana, dopóki wszystko będzie szło dobrze. Ale nie chcemy narażać się na większe kłopoty. Podejmę się tego eksperymentu. Jest w nim pewne ryzyko, ale godzimy się na nie. Z chwilą jednak, gdy nie będzie pan mógł dać sobie rady, weźmiemy straty na siebie – i damy wszystkiemu spokój. Ta kopalnia może czekać... Pan wie, iż raz już była zasypana. Zapewne pan rozumie, iż żadną miarą nie będziemy marnowali dobrych pieniędzy na kiepskie interesy.

Tak mówił ów znakomity mąż w swym prywatnym biurze, w wielkim mieście, gdzie inny człowiek (nader wybitny w pojęciu gawiedzi) oczekiwał z upragnieniem skinienia jego ręki. A kiedy w jakiś rok później pojawił się nieoczekiwanie w Sulaco, dał jeszcze silniejszy wyraz swej nieustępliwości ze szczerością i swobodą, na jaką mu pozwalały jego wpływy i bogactwa. Być może, że przyszło mu to tym łatwiej, iż odbyta kontrola, zaś przede wszystkim sposób, w jaki posuwała się stopniowo rozbudowa przedsiębiorstwa, obudziły w nim przeświadczenie, iż Charles Gould zdoła sprostać zadaniu.

„Ten młodzieniec – pomyślał – może z czasem stać się potęgą w tym kraju”.

Ta myśl pochlebiała mu, gdyż to, co dotychczas powiadał swym przyjaciołom o tym młodzieńcu, brzmiało następująco:

– Mój szwagier poznał go w pewnym starym mieście niemieckim położonym w okręgu górniczym i przysłał go do mnie z listem. Pochodzi on z Gouldów costaguańskich,

czystej krwi Anglików, ale urodzonych już w tym kraju. Stryj jego wmieszał się w sprawy polityczne, był ostatnim prezydentem prowincjonalnym Sulaco i został rozstrzelany po przegranej bitwie. Ojciec jego był wybitnym przemysłowcem w Santa Marta, chciał wyzwolić się z matactw politycznych i umarł, zrujnowany zmiennymi kolejami rewolucji. Cała historia Costaguany w miniaturze!

Oczywiście był nazbyt wielkim człowiekiem, by o jego pobudki mieli pytać nawet najbliżsi. Światu wolno było pokornie podziwiać ukryte znaczenie jego posunięć. Był tak wielkim człowiekiem, iż jego szczodry patronat nad „czystszyimi formami chrześcijaństwa” (które przejawiało się naiwnym fundowaniem kościołów, co bawiło panią Gould) uchodził wśród swoich współobywatelki za objaw pokory i pobożności. Natomiast w jego własnych sferach świata finansowego na jego przystąpienie do takiego przedsięwzięcia jak kopalnia San Tomé zapatrywano się wprawdzie z uznaniem, ale nie bez tajonej wesołości. Był to kaprys wielkiego człowieka. W gmachu Holroyda (olbrzymim stosie żelaza, szkła i kamiennych bloków, położonym na zbiegu dwu ulic i zasnutym u szczytu promienistą pajęczyną drutów telegraficznych) naczelnicy głównych departamentów wymieniali między sobą żartobliwe spojrzenia, które miały oznaczać, iż nie są dopuszczeni do tajemnicy przedsięwzięcia San Tomé. Przesyłki pocztowe z Costaguany (niezbyt obfite, ograniczające się do jednej, średnio ciężkiej koperty) odsyłano nieotwarte wprost do pokoju

wielkiego człowieka, skąd nigdy nie otrzymano polecenia, żeby je załatwić. Urzędnicy szeptali sobie na ucho, iż odpowiadał osobiście, nie dyktując nikomu, lecz pisząc własnoręcznie piórem i atramentem. Przypuszczano nawet, iż sam kopiował swe listy we własnym zeszycie, niedostępnym dla oczu zwykłych śmiertelników. Niektórzy złośliwi młodzieńcy, spełniający podrzędne czynności w jedenastopiętrowym warsztacie wielkich interesów, wypowiadali otwarcie swe osobiste zdanie, iż ich znakomity szef palnął wreszcie głupstwo i czuł się zawstydzony swym nierozumem. Inni, starsi i mało znaczeni, lecz pełni romantycznego podziwu dla interesów, które pochłonęły najlepsze ich lata, przebąkiwali niejasno i przenikliwie, że jest to zapowiedź wielkiej wagi, że spółka Holroyda zamierza zagarnąć niezwłocznie całą Republiką Costaguańską ze wszystkimi dobrodziejstwami inwentarza. Wszelako przypuszczenie, iż była to tylko chimeryczna zachcianka, okazało się najśluszniesze. Wielki człowiek zapragnął zaznajomić się osobiście z kopalnią San Tomé, zapragnął tym goręcej, iż zachcianka ta zmierzała do pierwszej wakacyjnej podróży, na jaką zamierzał sobie pozwolić od bardzo wielu lat. Nie chodziło mu o wielkie przedsiębiorstwo, o jakąś budowę kolei czy spółkę przemysłową. Chodziło mu o człowieka! Dogadzałoby mu wielce powodzenie wynikające z nowego, orzeźwiającego źródła, ale z drugiej strony poczuwał się do obowiązku umycia rąk od wszystkiego przy pierwszej niepomysłnej oznace. Człowieka można się pozbyć. Na nieszczęście dzienniki roztrąbiły po całym kraju

wiadomość o jego podróży do Costaguany. Wyrażając uznanie dla sposobu prowadzenia przedsięwzięcia, jaki obrał Charles Gould, przyrzekał pomoc, ale nie szczędził cierpkich ostrzeżeń. Na jakieś pół godziny przed swym wyjazdem, kiedy trzymając kapelusz w ręce, miał już zejść na patio, by wsiąść do powozu zaprzęgniętego w białe muły, tak jeszcze się odezwał w pokoju Charlesa:

– Niech pan działa dalej po swojemu i tak długo liczy na moją pomoc, jak długo będzie umiał pan sobie radzić. Ale niech pan będzie pewny, że w razie potrzeby będziemy wiedzieli, jak pana w porę opuścić.

Na to jedyną odpowiedzią Charlesa Goulda były słowa:

– Proszę możliwie najrychlej przysyłać maszyny!

Wielkiemu człowiekowi podobała się ta niewzruszona pewność siebie. Tajemnica jej polegała na tym, iż Charles Gould lubował się w takich bezwzględnych określeniach. Były nie mniej stanowcze od przeświadczenia, jakie wyrobił sobie o kopalni w swych chłopięcych latach. Wszystko zależało tylko od niego. Rzecz była wielkiej wagi, toteż przystępował do niej z zaciętością.

Przechadzając się z żoną po korytarzu pod gniewnym okiem papugi, opowiadał jej o swej rozmowie z swym niedawnym gościem i zauważył:

– Oczywiście taki człowiek może podźwignąć sprawę lub jej zaniechać wedle swego widzimisień. Nie pogodziłby się z myślą o porażce. Może dać za wygraną lub jutro umrzeć, ale wielkie

przedsiębiorstwa związane ze srebrem i żelazem go przeżyją i przyjdzie dzień, że opanują Costaguanę i resztę świata.

Przystanęli w pobliżu klatki. Papuga, podchwyciwszy dźwięk słowa należącego do jej słownika, uważała za potrzebne się wtrącić. Papugi są bardzo towarzyskie.

– *Viva Costaguana!* – wrzasnęła z ogromną stanowczością i nastroszywszy pióra, przybrała wygląd napuszonego kłębka ospałości za lśniącymi drutami klatki.

– A czy ty w to wierzysz, Charley? – spytała pani Gould – Dla mnie jest to krańcowy materializm i...

– To mnie nie obchodzi – przerwał jej mąż przekonywającym tonem. – Posługuję się wszystkim, co mi się pod rękę nawinie. Nie moją jest rzeczą orzekać, czy jego gadanina jest głosem przeznaczenia, czy tylko przejawem tuzinkowej wymowności. W obu Amerykach słyszy się często jedno i drugie. Widocznie atmosfera Nowego Świata sprzyja sztuce krasomówczej. Czy nie pamiętasz, jak nasz kochany Avellanos potrafi tu gadać całymi godzinami? ...

– Och, to co innego! – zaprzeczyła pani Gould, niemal urażona. Przymówka nie była na miejscu. Don José był kochanym, zacnym człowiekiem, który mówił bardzo dobrze i rozprawiał z zapalem o kopalni San Tomé. – Jak możesz ich porównywać? – zawołała z wyrzutem. – On cierpiał, a jednak nie traci nadziei.

Kompetencja w działaniu mężczyzn, w którą zresztą nie powątpiewała, bywała zawsze dla pani Gould wielką

niespodzianką, zauważyła bowiem, iż niejednokrotnie, kiedy chodziło o najoczywistsze wnioski, okazywali oni osobliwą tępotę.

Charles Gould z zatroskanym spokojem, który zapewnił mu znów serdeczną tkliwość żony, zaręczył, iż nie miał zamiaru porównywać. Bądź co bądź sam był Amerykaninem i w niejakej mierze mógł zdawać sobie sprawę z obu rodzajów wymowy, „gdyby nie szkoda było na to czasu” – dodał z goryczą. On jednak oddychał powietrzem angielskim dłużej niż ktokolwiek z jego rodziny od trzech pokoleń, więc zasługuje może na usprawiedliwienie. Jego biedny ojciec mógł również być wymowny. I zapytał żony, czy przypomina sobie ustęp z pewnego ojcowskiego listu, w którym pan Gould wyrażał przeświadczenie, „iż widocznie Bóg pogniewał się na tę ziemię, gdyż inaczej zesłałby przez jakąś szczelinę bodaj promyk nadziei w te potworne mroki intryg, krwiożerczości i zbrodni, które zaległy nad królową łądów”.

Pani Gould nie zapomniała.

– Czytałeś mi to, Charley – szepnęła. – Wstrząsnęło mną to zdanie. Jak głęboko musiał twój ojciec odczuwać jego okropny smutek.

– Nie chciał być ofiarą rozboju. Doprowadzało go to do rozpaczki – rzekł Charles Gould. – Ale jego obrazowe powiedzenie da się wcale nieźle zastosować. Trzeba nam tu prawa, rzetelności, porządku, bezpieczeństwa. Niech inni deklamują sobie o tych sprawach, ja pokładam ufność

w interesach materialnych. Gdy staną mocno na nogach, będą musiały wytworzyć warunki, od których jedynie zależy ich dalsze istnienie. Oto dlaczego groszorbstwo znajduje usprawiedliwienie wobec tutejszego nierządu i bezprawia. Usprawiedliwia je to, iż bezpieczeństwo, którego wymaga, staje się udziałem uciemiezonego ludu. Lepszy rodzaj sprawiedliwości nastąpi później. Na tym polega ów promyk nadziei. – Ramię jego zacisnęło się na chwilę silniej dokoła jej smukłych kształtów. – I kto wie, czy kopalnia San Tomé nie stanie się w tym znaczeniu ową szczeliną w ciemnościach, o której mój biedny ojciec powątpiewał, czy kiedyś ją zobaczy.

Spojrzała na niego z podziwem. Był powołany do dzieła. Nadał imponujący kształt jej nieokreślonym, niesamolubnym ambicjom.

– Charley – rzekła – jesteś wspaniale nieposłuszny.

Nagle pozostawił ją samą na korytarzu i poszedł po swój kapelusz, miękkie, szare sombrero, które chociaż stanowiło część stroju narodowego, mimo to nadspodziewanie dobrze licowało z jego angielskim wyglądem. Po chwili ukazał się znowu, trzymając szpicrutę pod pachą i dopinając rękawiczki. Jego twarz odzwierciedlała stanowczość jego myśli. Żona oczekiwała go przy zejściu ze schodów. Zanim ucałował ją na pożegnanie, dokończył rozmowę:

– To jedno jest całkiem pewne, że nie ma dla nas odwrotu. Czy podobna zaczynać życie na nowo? Postawiliśmy na tę kartę całe swe istnienie.

Pochylił się nad jej odwróconą twarzą z wielką słodyczą i jakby ze skruchą. Charles Gould był powołany do dzieła, gdyż nie poddawał się złudzeniom. O koncesję Gouldów trzeba było walczyć na śmierć i życie taką bronią, jaką można było znaleźć w kałuży zepsucia, tak powszechnego, iż niemal straciło swe znaczenie. Był gotów sięgnąć po tę broń. Przez chwilę doznawał wrażenia, jak gdyby ta kopalnia srebra, która zabiła jego ojca, wabiła go dalej, niż zamierzał pójść, i poddając się zawilej logice wrażeń, czuł, że wartość jego życia zależy od powodzenia. Nie było już drogi odwrotu.

Rozdział VII

Pani Gould posiadała zbyt inteligentną zdolność odczuwania, żeby nie podzielać tego uczucia. Stanowiło ono podniecie życiową, a nazbyt była kobietą, żeby miała nie lubić podniet. Ale bała się nieco, a kiedy don José Avellanos, kołyszając się w amerykańskim fotelu, zapędzał się tak daleko, iż powiadał: „A gdyby nawet, mój drogi Carlosie, ci się nie powiodło, gdyby jakiś złowrogi wypadek zniszczył twe dzieło, to jednak zasłużyłbyś się ojczyźnie”, pani Gould podnosiła oczy od zastawy stołowej i wpatrywała się przenikliwie w swego męża, obracając łyżeczką w filiżance, jak gdyby po to, żeby tych słów nie dosłyszał.

Zresztą don José nie miał podobnych przypuszczeń na myśli. Nie mógł się nachwalić taktu i odwagi drogiego Carlosa. Jego angielskie, twarde jak skała właściwości charakteru były najlepszą rękojmnią. Tak utrzymywał don José, po czym zwracając się do pani Gould z poufałością, na jaką mu pozwalał podeszły wiek i dawna zażyłość, dodawał: „Jeżeli zaś chodzi o ciebie, Emilio, moja duszyczko, to jesteś taką szczerą patriotką, jak gdybyś się urodziła wśród nas”.

Mogło to być mniej lub więcej prawdą. Pani Gould, jeżdżąc z mężem po całej prowincji w poszukiwaniu robotników, przyglądała się uważniej temu krajowi, niżby to uczyniła urodzona Costaguanera. W podniszczonej amazonce⁹¹, z twarzą

⁹¹ *amazonka* – tu: długa suknia używana przez kobiety jako strój do jazdy konnej.

okrytą białym kurzem niby warstwą gipsu i przysłoniętą małą, jedwabną maską przed upalnym słońcem, podróżowała na kształtnym, lekkonogim kłusaku w otoczeniu nielicznego grona. Dwu *mozos de campo*⁹² w malowanych wielkich kapeluszach, z ostrogami u bosych pięt, w białych, wyszywanych *calzoneras*⁹³, skórzanych kurtkach i pasiastych ponchach, przewiesiwszy karabiny przez plecy, gnało na złamanie karku, kołyszając się miarowo na swych koniach. *Tropilla*⁹⁴ mułów jucznych tworzyła straż tylną, pozostającą pod nadzorem szczupłego, śniadego mulnika, który siedział na swym kłapouchym człapaku blisko zadu, wyciągnąwszy daleko nogi ku przodowi, a szeroka kresa jego kapelusza, tworzyła jakby otok dokoła jego głowy. Na komendanta i organizatora tej wyprawy polecił don José starego oficera costaguańskiego, wysłużonego majora, który wprawdzie nie mógł poszczycić się szlachetnym pochodzeniem, lecz mimo to był w łaskach u najznakomitszych rodów, gdyż należał do *blancos*. Końce siwych wąsów zwisały mu znacznie poniżej brody. Jadąc obok pani Gould, rozglądał się dokoła dobrotliwymi oczyma, zwracał uwagę na cechy okolicy, wyszczególniając po nazwie *pueblos*⁹⁵, *estates*⁹⁶ i

[przypis edytorski]

⁹² *mozos de campo* (hiszp.) – młodzi ludzie ze wsi. [przypis edytorski]

⁹³ *calzoneras* (hiszp.) – spodnie do konnej jazdy. [przypis edytorski]

⁹⁴ *tropilla* (hiszp.) – stado. [przypis edytorski]

⁹⁵ *pueblo* (hiszp.) – osiedle. [przypis edytorski]

⁹⁶ *estate* (hiszp.) – majątek, posiadłość. [przypis edytorski]

*haciendas*⁹⁷, które na podobieństwo wydłużonych warowni wieńczyły wzgórze, wznosząc się nad doliną Sulaco. Pełna zieleni łąnow, równin i zagajników, błyskająca zwierciadłami wód, roztaczała się ona na podobieństwo parku od błękitnych oparów dalekiej Sierry aż po niezmierzoną, rozedrganą linię trawy i nieba na widnokręgu, gdzie wielkie, białe obłoki zdawały się z wolna zapadać w ciemność swych własnych cieni.

Ludzie orali drewnianymi pługami ciągniętymi przez woły, które gubiły się wśród ogromu przestrzeni, jak gdyby pochłaniane przez nieskończoność. Konne postacie *vaqueros* przemykały w oddali. Rogate łby wielkich stad pasącego się bydła zlewały się w jedną rozfalowaną linię przecinającą rozległe *portreros*⁹⁸. Rosochate drzewo bawełniane ocieniało słomianą strzechę przydrożnej chaty. Wlekli się długim uznojonym szeregiem obarczeni ciężarami Indianie, którzy zdejmowali kapelusze i wznosili swe smutne oczy ku podróznym wzbijającym kurz na rozsypującej się Camino Real, zbudowanej kiedyś rękami ich ujarzmionych praocjów. I z każdym dniem podróży zdawało się pani Gould, że wnika coraz głębiej w duszę tego kraju, że dokonuje straszliwego odkrycia jego wnętrza, niedotkniętego lekką, europejską powłoką miast przybrzeżnych, że ten wielki przestwór równin i gór pełen jest ludu cierpiącego i milczącego, zakrzepłego w bolesnym i cierpliwym oczekiwaniu przyszłości.

⁹⁷ *hacienda* (hiszp.) – dwór. [przypis edytorski]

⁹⁸ *potrero* (hiszp.) – duże, otwarte pastwisko. [przypis edytorski]

Poznała krajobrazy tej ziemi i jej gościnność, udzielaną z ospałą jakby godnością w wielkich dworach o długich, ślepych ścianach i potężnych portykach, otwierających się na wietrzne pastwiska. Zajmowała pierwsze miejsce przy stołach, do których państwo i czeladź zwykli zasiadać razem z patriarchalną prostotą. Zdarzało się jej rozmawiać z paniami tych domów na podwórzach, gdzie drzewa pomarańczowe pławiły się w księżycowej poświacie. Czarowała ją słodycz ich głosów i jakby jakaś tajemniczość ich spokojnego bytowania. Rankiem panowie, w plecionych sombreroch i suto haftowanych strojach, wsiadali na swe rumaki, połyskujące od srebrnych świecideł, i odprowadzali odjeżdżających gości aż do słupów granicznych swych majątków, gdzie żegnali ich z powagą i polecali boskiej opiece. We wszystkich tych dworach żyły wspomnienia ucisku politycznego: opowiadano jej o krewnych i znajomych, zrujnowanych, uwięzionych, poległych w niedorzecznych wojnach domowych lub wyjętych spod prawa i okrutnie straconych, jak gdyby rządy w państwie były igraszką głupkowatych diabłów, których wypuszczono na kraj, odziewszy w mundury, uzbroiwszy w szable i górne frazesy. I ze wszystkich ust przemawiało umęczone pragnienie pokoju oraz lęk przed światem urzędniczym wraz z jego upiorną parodią administracji bez prawa, bezpieczeństwa publicznego i sprawiedliwości.

Podróżowała całe dwa miesiące i zniosła tę podróż bardzo dobrze; okazywała wielką odporność na trudy, którą ze zdziwieniem dostrzega się niekiedy u pozornie wątłych kobiet,

jak gdyby wyposażonych w szczególną moc ducha. Don Pépé, stary oficer costaguański, niepokoił się zrazu wielce o to chuchro, lecz później zaczął ją nazywać „niestrudzoną señorą”. Pani Gould rzeczywiście stawała się Costaguarierą. Zapoznawszy się w południowej Europie z prawdziwym chłopstwem, mogła docenić wielką wartość ludu. Pod powłoką milczącego zwierzęcia roboczego o smutnych oczach dostrzegła człowieka. Widywała ich, jak na drogach uginali się pod ciężarami lub samotnie pracowali wśród równin w wielkich słomianych kapeluszach i trzepoczących na wietrze połach białej odzieży. Zapamiętywała sobie wsie według gromadek kobiet indiańskich stojących u studni lub według melancholijnych i zmysłowych rysów dziewcząt indiańskich, które niosły gliniane naczynia napełnione zimną wodą do drzwi ciemnych chat z drewnianymi okapami, pod którymi stały wielkie, brunatne dzbany.

Potężne, drewniane koła wozów, których dyszle nurzały się w kurzu, były dziełem siekiery. Nosiciele węgla, z których każdy umieszczał swe brzemię tuż nad swą głową na niskim, glinianym murze, układali się rzędem do snu w smudze cienia.

Ogromne kamienne mosty i kościoły, które pozostały po zdobywcach, świadczyły o nieposzanowaniu ludzkiego znoju, o niewolniczej pracy wytępionych narodów. Wszechwładza królów i Kościoła wprawdzie minęła, ale na wzgórzach, które górowały nad niskimi, glinianymi lepiankami wiejskimi, wciąż jeszcze widniały potężne zwały ruin. Na ich widok don

Pépé przestawał opowiadać o swych wyprawach wojennych i wzdychał:

– Biedna Costaguano! Dawniej byłaś wszystkim dla *padres*⁹⁹, a niczym dla ludu, teraz jesteś wszystkim dla tych polityków ze Santa Marta, dla Murzynów i złodziei!

Charles rozmawiał z *alcadami*¹⁰⁰, z urzędnikami skarbowymi, z radcami miejskimi i ze szlachtą wiejską. Komendanci okręgów ofiarowywali mu eskorty, gdyż mógł się wykazać upoważnieniem ówczesnego wielkorządcy z Sulaco. Ile złotych dwudziestopięciodolarówek kosztował go ten dokument, to miało pozostać tajemnicą między nim a wielkim człowiekiem ze Stanów Zjednoczonych (który raczył odpisywać własnoręcznie na listy z Sulaco) i jeszcze innym wielkim człowiekiem, o ciemnej, oliwkowej cerze i chytrych oczach, który rezydował wtedy w pałacu Intendencji w Sulaco i chełpił się swą kulturą i europejskością we francuskim stylu, gdyż spędził kilka lat w Europie – na wygnaniu, jak powiadał. Było jednak powszechnie wiadomo, iż przed owym wygnaniem zdarzyło się mu nieopatrznie przegrać całą gotówkę Urzędu Celnego w pewnym niewielkim porcie, gdzie dzięki poparciu wpływowego przyjaciela piastował godność poborcy. Ta młodzieńcza nieopatrzność naraziła go na niejakię nieprzyjemności i uczyniła zeń na czas jakiś kelnera w kawiarni madryckiej;

⁹⁹ *padre* (hiszp.) – ojciec; tu: ksiądz. [przypis edytorski]

¹⁰⁰ *alcade* (hiszp.) – alkad, burmistrz, urzędnik zarządzający miastem. [przypis edytorski]

ale widocznie odznaczał się wielkimi zdolnościami, skoro z taką chwałą powrócił na widownię polityczną. Charles Gould, wyłuszczając swą sprawę z niewzruszonym spokojem, tytułował go ekscelencją.

Dostojnik prowincjonalny przybrał wyraz znudzonej wyższości, kołysząc się w swym fotelu koło otwartego okna na sposób یشcie costaguański. Orkiestra wojskowa rzępoliła właśnie na placu urywki z oper, więc podniesioną ręką dwukrotnie nakazywał milczenie, by wysłuchać ulubionej melodii.

– Znakomicie, rozkosznie! – bełkotał, nie zważając, iż Charles Gould stoi i czeka z niepojętą cierpliwością. – *Lucia, Lucia di Lammermoor!*¹⁰¹ Namiętnie lubię muzykę. Zachwyca mnie! Ach, to boskie! Ach, Mozart! *Si!*¹⁰², boskie!... O czym to pan mówił?

Rzecz prosta, iż pogłoski o zamiarach przybysza dotarły już do jego uszu. Ponadto otrzymał ostrzeżenie urzędowe ze Santa Marta. Chodziło mu po prostu o to, by nie zdradzić się ze swą ciekawością i wywrzeć wrażenie na gościu. Skoro jednak w otwartej szufladzie stojącego opodal wielkiego biurka dostrzegł coś, czego przedtem tam nie było, stał się niezmiernie uprzejmy i powrócił spiesznie na swój fotel.

– Jeżeli pan zamierza budować wioski i osadzać ludność

¹⁰¹ *Lucia di Lammermoor* (wł.) – *Łucja z Lammermooru* (1835), opera tragiczna z muzyką Gaetana Donizettiego i librettem Salvatora Cammarano, opartym na powieści Waltera Scotta. [przypis edytorski]

¹⁰² *si* (wł., hiszp.) – tak. [przypis edytorski]

dokoła kopalni, to trzeba będzie się postarać o pozwolenie ministra spraw wewnętrznych – doradzał w formie urzędowej.

– Podanie już wysłałem – rzekł niezachwiany Charles Gould – i liczę obecnie z całą ufnością na przychylną odpowiedź ekscelencji.

Ekscelencja był człowiekiem o zmiennych nastrojach. Kiedy otrzymał łapówkę, wielka łagodność spłynęła na jego nieskomplikowaną duszę. Nadspodziewanie wydał głębokie westchnienie.

– Ach, don Carlosie! Czego tu trzeba, w tej prowincji, to takich postępowych ludzi jak pan! Zastój, zastój u tych arystokratów! Nie mają zmysłu społecznego! Nie mają przedsiębiorczości! Poczyńwszy głębokie studia w Europie, chciałbym... rozumie mnie pan?

Z ręką na wypiętej piersi podnosił się i opadał na palcach i przez jakieś dziesięć minut z zapartym tchem starał się namiętą wymową przedrzeć przez grzeczne milczenie Charlesa Goulda. Kiedy zaś ustał nagle i osunął się znowu w swój fotel, wyglądał, jak gdyby go odparto od jakiejś warowni. By zachować godność, odprawił spieszenie milczącego gościa dostojnym skinieniem głowy i słowami pełnymi opryskliwej, znużonej wyniosłości:

– Może pan polegać na mej światłej przychylności, o ile nie będzie pan się rozmijał z obowiązkami dobrego obywatela.

Wziął do ręki papierowy wachlarz i zaczął się nim chłodzić z wielce urzędową miną. Kiedy jednak Charles Gould skłonił się i wyszedł, opuścił natychmiast wachlarz. Miał na twarzy wyraz

zdziwienia i zakłopotania, patrząc przez czas jakiś na zamknięte drzwi. W końcu wzruszył ramionami, jakby chciał się utwierdzić w lekceważeniu. Chłodny, nieruchawy. Bez inteligencji. Rude włosy. Prawdziwy Anglik. Uczuł do niego odrazę.

Twarz mu pociemniała. Co oznaczało to obojętne i chłodne zachowanie? Był pierwszym z polityków wysłanych ze stolicy do zarządzania Zachodnią Prowincją, którego postępowanie Charlesa Goulda w stosunkach urzędowych dotknęło obraźliwą niezależnością.

Charles Gould był zdania, iż o ile pozory, jakoby przysłuchiwał się idiotycznym bzdurom, mogły jeszcze wchodzić w skład łapówki, za którą miano mu oszczędzić niemiłych nagabywań, o tyle obowiązek popisywania się samemu podobną gadaniną już do niej nie należał. Przyjął pewien sposób postępowania. Dla satrapów¹⁰³ prowincjonalnych, przed którymi zwykły truchleć wszystkie warstwy spokojnej ludności, powściągliwość tego angielskiego inżyniera była wielce nie na rękę, więc wahali się między uniżonością a gburowatością. W końcu przekonali się wszyscy, iż bez względu na stronnictwo, które stało u władzy, pozostawał on zawsze w najściślejszych stosunkach ze sferami rządzącymi w Santa Marta.

Było to pewnikiem z niemałą korzyścią dla Gouldów, którzy bynajmniej nie byli tak bogaci, jak inżynier naczelny nowej kolei mógł słusznie przypuszczać. Idąc za radą don

¹⁰³ *satrapa* – namiestnik prowincji (satrapii) w starożytnej Persji; synonim tyrana. [przypis edytorski]

Joségo Avellanosa, który był człowiekiem rozumnym (choć okropne przejścia w czasach Guzmána Bento uczyniły go zależnym), Charles Gould nie gromadził kapitałów. Mimo to w plotkach rezydentów cudzoziemskich (po części poważnie, a po części ironicznie) był zwany „królem Sulaco”. O pewnym adwokacie trybunału costaguańskiego, człowieku znanym ze zdolności i prawości, a przy tym należącym do znakomitej rodziny Moraga, posiadającej rozległe włości w dolinie Sulaco, powiadano z domieszką poszanowania i tajemniczości, iż jest agentem kopalni San Tomé – rozumie się, „politycznym”. Był rostry, miał czarne bokobrody i słynął ze swej skrytości. Wiedzano powszechnie, iż ma łatwy dostęp do ministrów i że wielu generałów costaguańskich bywa chętnie u niego na obiadach. Prezydenci bez trudu udzielali mu posłuchania. Pozostawał w ożywionej korespondencji ze swym wujem, don José Avellanosem, ale swe listy, o ile nie były zdawkowym przejawem należnego uszanowania, rzadko powierzał poczcie costaguańskiej. Otwierano je bowiem na ogół z nieskrępowanym i beczelnym bezwstydem, charakterystycznym dla niektórych rządów południowoamerykańskich. Trzeba jednakże nadmienić, iż mulnik, którego zatrudniał Charles Gould w swych pierwszych wycieczkach po równinach, mniej więcej w tym czasie, kiedy nastąpiło ponowne otwarcie kopalni San Tomé, przyłączył swe niewielkie stadko zwierząt jucznych do nikłego strumyka ruchu handlowego, który przełęczami górskimi przenikał z płaskowyżu Santa Marta do doliny Sulaco. Tym stromym i niebezpiecznym

szlakiem rzadko kto podróżował, o ile nie zachodziły wyjątkowe okoliczności, zaś stan handlu wewnątrz kraju nie wymagał widocznie dodatkowych ułatwień przewozowych. Mimo to ów mulnik zdawał się nieźle wychodzić na swym zajęciu. Trochę pakunków zawsze jakoś się znalazło, gdy miał wyruszać w drogę. Bardzo suchy i śniady, w portkach z koziej skóry wywróconej włosem na zewnątrz, sadowił się na swym rączym mule blisko jego zadu, zasłaniał się swym wielkim kapeluszem od słońca i z wyrazem błógiego próżniactwa na wydłużonej twarzy podśpiewywał sobie całymi dniami żałośnie jakieś piosnki miłosne lub nie zmieniając w niczym swego wyglądu, przynaglał wrzaskiem swą małą *tropille*, idącą przodem. Niewielka, okrągła gitara zwieszała się mu z pleców, zaś w jednym z jego drewnianych siodła znajdował się artystycznie wydrążony otwór, w który można było włożyć mocno zwinięty papier, po czym zatkać ten otwór drewnianym kołkiem i zgrzebne płótno, które stanowiło powłokę siodła, przybić gwoździkami na nowo. Kiedy był w Sulaco, całymi dniami (jakby nie miał nic lepszego do roboty) palił papierosy lub wylegiwał się na ławie kamiennej stojącej przed bramą Casa Gould, na wprost okien domu Avellanosa. Przed laty matka jego była pierwszą praczką w tym domu, nadzwyczaj biegłą w krochmaleniu. On sam przyszedł na świat w jednej z *haciendas* Avellanosów. Miał na imię Bonifacio. Don José, idąc do doñii Emilii na zwykłą, popołudniową wizytę, zawsze odpowiadał na jego pokorny ukłon skinieniem ręki lub głowy. Odźwierni obu domostw gawędzili z nim leniwie

tonem wielkiej zażyłości. Wieczory spędzał na grze lub zabawiał się po pańsku i wesoło z dziewczętami *peyne d'oro*¹⁰⁴ w najodleglejszych zaułkach miasta. Ale był również człowiekiem bardzo dyskretnym.

¹⁰⁴ *peyne d'oro* (daw. hiszp., dziś: *peine d'oro*) – złote grzebienie. [przypis edytorski]

Rozdział VIII

Kto dla ciekawości lub interesu bywał w Sulaco przed wypuszczeniem pierwszego pociągu, ten zapewne pamięta, jaki zbawienny wpływ wywarła kopalnia San Tomé na życie tej zabitej deskami prowincji. Wygląd zewnętrzny jeszcze wówczas się nie zmienił, jak to nastąpiło później, kiedy tramwaje zaczęły krążyć po ulicy Konstytucji, kiedy w głąb kraju rozbiegły się gościńce, hen, ku Rincon i do innych wsi, gdzie kupcy cudzoziemscy i *ricos*¹⁰⁵ posiadają nowoczesne wille, i kiedy zbudowano ogromne magazyny kolejowe w pobliżu portu, który otrzymał przybrzeżną ulicę, długi rząd składów towarowych i najzupełniej swoiste, nie byle jak zorganizowane zaburzenia robotnicze.

Nikt przedtem nie słyszał o zaburzeniach robotniczych. Robotnicy portowi tworzyli krnąbrne bractwo wszelkiej hołoty. Bractwo to miało swego świętego patrona. Zwykli byli strajkować każdego dnia, kiedy odbywały się walki byków, zaś tego rodzaju zaburzeń nawet wielka powaga Nostroma nie była zdolna powściągnąć dość skutecznie. Ale nazajutrz po takiej fiescie¹⁰⁶, kiedy śniegi Higueroty jarzyły się blade nad miastem na czarnym jeszcze niebie, a przekupki indiańskie nie zdążyły jeszcze pootwierać na plaży swych uplecionych

¹⁰⁵ *rico* (hiszp.) – bogacz. [przypis edytorski]

¹⁰⁶ *fiesta* (hiszp.) – święto. [przypis edytorski]

z tyka parasoli, pojawienie się widmowego jeźdźca na siwej klaczy rozstrzygało niezawodnie o problemie pracy. Jego klacz człapała po błotnistych uliczkach i porośniętych chwastami podwórkach czarnych, nieoświetlonych chat, które okolone murami starej warowni wyglądały jak stajnie lub jak psie budy. Jeździec łomotał kolbą ciężkiego rewolweru do drzwi niskich *pulperias*¹⁰⁷, ohydnych lepianek, przypartych do zwalisk wyniosłych ścian, lub kołatał do drewnianych ścian chałupek tak wątych, iż w przerwach między potężnymi hukami jego uderzeń dolatywały z wewnątrz odgłosy chrapania i sennego mamrotania. Nie opuszczając siodła, jeździec wołał groźnie po imieniu i powtarzał wołanie. Zaspiane głosy – opryskliwe, pojednawcze, dzikie, żartobliwe lub błagalne – odzywały się z wnętrza i rozlegały się wśród głuchoj ciemności spowijającej jeźdźca, a po chwili ciemna postać ukazywała się, zakłócając kaszlem ciszę powietrza. Niekiedy niski głos kobiecy odezwał się z otworu okiennego: „Zaraz idzie, señor!”, a jeździec czekał w milczeniu na nieruchomym koniu.

Ale jeżeli zdarzyło się mu zejść z siodła, wówczas po chwili z drzwi takiej chałupki czy *pulperii* wśród dzikich podrygów i zdławionych klątw wylatywał głową naprzód *cargador* i toczył się pod przednie kopyta siwej klaczy, która tylko strzygła bystro swymi drobnymi uszami. Była przyzwyczajona do podobnych widowisk, zaś potracony stawał na nogi i usuwał się śpiesznie sprzed rewolweru Nostroma, zataczając się z

¹⁰⁷ *pulperia* (hiszp.) – karczma. [przypis edytorski]

lekka po drodze i klnąc pod nosem. Kapitan Mitchell, który o wschodzie słońca miał zwyczaj pojawiać się w nocnym stroju na drewnianym balkonie przebiegającym wzdłuż całego budynku T.O.Ż.P., widział, że lichtugi już są w drodze i że robotnicy krzątają się pilnie koło żurawi ciężarowych. Zdarzało mu się nawet słyszeć nieocenionego Nostroma, który zsiadłszy z konia, w kraciatej koszuli i czerwonym pasie żeglarzy śródziemnomorskich, grmiącym głosem wydawał z końca pomostu rozkazy. Co za człowiek!

Materialne przejawy udoskonalonej cywilizacji, zacierającej indywidualności starych miast stereotypowymi urządzeniami nowoczesnego życia, wówczas jeszcze nie wtargnęły do miasta. Jednak nader nowoczesna w swej istocie działalność kopalni San Tomé zaczęła już wywierać swój subtelny wpływ na zgrzybiałą starodawność Sulaco, gdzie domy, ozdobione sztukateriami, mają zakratowane okna i gdzie spoza posępnej zieleni cyprysów wyzierają ogromne, żółtawobiałe ściany opustoszałych klasztorów. Zmienił się również zewnętrzny wygląd tłumu, który w uroczyste dni tłoczył się na plaży przed otwartymi drzwiami katedry, gdyż pojawiło się mnóstwo białych *ponchos* z zielonym obszyciem, stanowiących odświętny strój górników ze San Tomé. Zaczęli oni również nosić białe kapelusze z zielonymi wstążkami i także naramienniki. Te części stroju, w przednim zresztą gatunku, nabywali za bezcen w magazynach administracji. Spokojny *Cholo*¹⁰⁸ noszący te barwy

¹⁰⁸ *Cholo* (hiszp.) – potomek rodziców hiszpańskiego i indiańskiego pochodzenia.

(niezwyczajne w Costaguanie) nader rzadko bywał teraz pobity do nieprzytomności z powodu nieposzanowania okazanego policji miejskiej. Nie narażał się również na niebezpieczeństwo, iż po drodze zostanie pojmany na łąso przez *lanceros*¹⁰⁹ poławiających rekruta. Ta metoda zaciągania ochotników do wojska uchodziła za najzupełniej legalną w republice. Wiadomo było powszechnie, iż całe wsie werbowano w ten sposób do armii, na co don Pópé, wzruszając beznadziejnie ramionami, powiadał do pani Gould:

– Cóż pani chce? Biedni ludzie! *Pobrecitos! Pobrecitos!*¹¹⁰ Ale państwo musi mieć żołnierzy.

Tak ze swego stanowiska zawodowego zapatrywał się na to don Pópé, były bojownik o obwisłych wążach, orzechowej, szczupłej twarzy i twardo zarysowanych szczękach. Z wyglądu przypominał konnego pastucha, który strzeże bydła na wielkich *llanos*¹¹¹ południa.

– Jeżeli señores zechcą posłuchać starego oficera Paeza¹¹² – tak zwykł był zaczynać swe przemowy w Klubie

[przypis edytorski]

¹⁰⁹ *lanceros* (hiszp.) – lansjerzy, lekka kawaleria uzbrojona w lance. [przypis edytorski]

¹¹⁰ *pobrecito* (hiszp.) – biedak. [przypis edytorski]

¹¹¹ *llano* (hiszp.) – równina. [przypis edytorski]

¹¹² *Páez, José Antonio* (1790–1873) – wenezuelski generał i polityk; uczestnik walk o niepodległość Ameryki Łacińskiej: od 1816 jako przywódca *llaneros*, od 1819 w armii Simona Bolívara; od 1822 rządził Wenezuelą jako częścią składową Wielkiej Kolumbii, w 1830 proklamował niezależność tego kraju i objął władzę jako prezydent; obalony w 1863. [przypis edytorski]

Arystokratycznym w Sulaco, do którego go dopuszczono w uznaniu zasług, jakie położył niegdyś w sprawie federacji. Klub ten, założony w epoce ogłoszenia niepodległości Costaguany, szczycił się, że wielu bojowników o wyzwolenie należało do grona jego założycieli. Znęcała się nad nim bez końca samowola różnych rządów. Jego członkowie bywali wyjmowani spod prawa, a w końcu padli nawet ofiarą gromadnej rzezi, zebrawszy się nieopatrznie na ucztę z polecenia gorliwego komendanta miejscowej załogi. Najnikczemniejszy motłoch odarł następnie ich zwłoki do naga i powyrzucił przez okna na *plaza*¹¹³. Z nastaniem lepszych czasów klub rozkwitł na nowo. Szczodrze używał cudzoziemcom gościnności w chłodnych, obszernych komnatach, położonych we frontowej części budynku, który był niegdyś siedzibą wysokiego dostojnika Świętego Oficjum¹¹⁴. Dwa inne skrzydła stały opuszczone, a za ich zabitymi na głucho drzwiami dokonywała się zupełna ruina odwróconej ku bramie części tylnej. Przysłaniał ją zagajnik drzew pomarańczowych, które wybijały na niebrukowanym podwórzu. Wchodziło się tam z ulicy, jak do jakiegoś zaklętego sadu. Podnóża rozklekotanej klatki schodowej strzegł omszały posąg jakiegoś świętego biskupa w mitrze i z pastorałem. Pokornie znosił on ohydę utraconego nosa, skrzyżowawszy na piersiach swe kształtne,

¹¹³ *plaza* (hiszp.) – plac miejski. [przypis edytorski]

¹¹⁴ *Święte Oficjum* – tu: *Tribunal del Santo Oficio de la Inquisición*, hiszpańska inkwizycja, instytucja kościelna powołana do strzeżenia katolickiej prawowierności mieszkańców Hiszpanii i jej kolonii. [przypis edytorski]

kamienne ramiona. Czekoladowe twarze służby z czubami czarnych włosów spoglądały z góry na wchodzących. Łoskot kul bilardowych dolatywał do uszu, a kiedy weszło się po schodach, zaraz w pierwszej sali spostrzegano się zazwyczaj don Pépégo, który w pełnym świetle sadowił się sztywno na krześle z prostopadłym oparciem, poruszał swymi długimi wąsami i sylabizował jakąś starą gazetę z Santa Marta, trzymaną na odległość ramienia od twarzy. Jego koń, nieczuła, lecz wytrzymała kara szkapa z łbem kształtu młota, drzemała nieruchomo na ulicy pod olbrzymim siodłem, dotykając niemal nozdrzami skraju chodnika.

Don Pépé, o ile „wypełzył z gór”, jak brzmiało powiedzenie, używane często w Sulaco, bywał także w salonie Casa Gould. Ze skromnym poczuciem swej godności i niejaką powściągliwością zasiadał do stołu, przy którym podawano herbatę. Trzymając kolana blisko siebie i z dobroduszną jowialnością łypiąc głęboko osadzonymi oczyma, wtrącał swe zwięzłe, ironiczne żarty do toku rozmowy. Była w tym człowieku jakaś zdrowa, ucieszna przebiegłość oraz żyłka szczerego człowieczeństwa, spotykana tak często u prostych, starych żołnierzy, którzy niejednokrotnie dowiedli swej odwagi w rozpaczliwych okolicznościach. Nie miał oczywiście pojęcia o górnictwie, ale jego zajęcie było specjalnego rodzaju. Miał nadzór nad ludnością na całym terytorium kopalni od wylotu gardzieli aż do miejsca, gdzie droga jezdna opuszcza podnóże gór i skręca w równinę, podążając przez strumień po drewnianym mostku pomalowanym

na zielono. Zieleni ta, oznaka nadziei, była zarazem barwą kopalni.

Opowiadano w Sulaco, iż „hen, w górach” don Pépé przyodziewał podniszczony mundur z wyblakłymi epoletami majora i chodził po stromych ścieżynach z wielkim mieczem u boku. Górnicy składali się przeważnie z Indian o dużych, dzikich oczach. Mówili do niego: *taita* (ojcze), jak zwykł przemawiać bosi lud costaguański do ludzi, którzy mają na nogach obuwie. Niczym to jednak było w porównaniu z tym, co uczynił Basilio, osobisty *mozo* pana Goulda i najstarszy służący w domu. Oto z najzupełniej dobrą wiarą i nie bez poczucia tego, co wypada, dał raz znać o jego przybyciu uroczystymi słowy:

– Przyszedł *el señor gobernador*.

Don José Avellanos, który był wtedy w salonie, ubawił się niezmiernie trafnością tego tytułu i prześladował nim odtąd starego majora, ilekroć jego żołnierska postać ukazywała się we drzwiach. Na to don Pépé tylko się uśmiechał pod swymi długimi wąsami, jakby chciał powiedzieć: „Można by znaleźć gorsze przezwisko dla starego żołnierza”.

I *el señor gobernador* pozostawał w salonie, podżartowując z lekka ze swej funkcji i zasięgu władzy, gdzie, jak zapewniał z zabawną przesadą panią Gould:

– Nawet dwa kamienie nie potracą o siebie, żeby *gobernador* nie dosłyszał ich łoskotu.

I zmyślnie przykładał koniec palca do ucha. Nawet gdy ilość górników powiększyła się do przeszło sześciu tysięcy,

znał on tych wszystkich niezliczonych José'ów, Manuelów, Ignaciów z wioski *primero*, *secundo* lub *tercero*¹¹⁵ (bo aż trzy wsie górnicze pozostawały pod jego zarządem). Rozpoznawał ich nie tylko po ich płaskich, bezbarwnych twarzach, które dla pani Gould były tak do siebie podobne, jak gdyby je wszystkie odlano w tej samej dziedzicznej formie niedoli i cierpliwości, ale także po niezliczonych odcieniach czerwonawobrunatnych, czarnobrunatnych lub miedzianobrunatnych grzbietów, kiedy dwie ich zmiany, odziane tylko w płócienne portki i skórzane czapki, tłoczyły się na wzniesieniu przed wejściem do głównego szybu, tworząc zamęt nagich członków, zarzuconych na ramiona oskardów, rozkołysanych lamp i stóp ozutych w sandały. Była to chwila odpoczynku. Chłopcy indiańscy stali, oparci leniwie o długi rząd małych, pustych, wywrotnych wagoników; górnicy od łupania i przesiewania rudy przykucnęli na ziemi, paląc długie cygara. Wielkie drewniane rynny, pochylone nad skrajem wzniesienia, z którego wchodziło się do szybu, teraz ucichły, słyszało się tylko mocny, nieprzerwany szum wody szemrzającej w sztucznych łożyskach, łoskot rozpedzonych kół turbiny i dudnienie stęporów¹¹⁶, które rozcierały opodal na proch drogocenny kamień. Starsi górnicy, wyróżniający się mosiężnymi odznakami zawieszonymi na nagich piersiach, odbywali przegląd swych podwładnych. W końcu góra

¹¹⁵ *primero*, *secundo*, *tercero* (hiszp.) – pierwszy, drugi, trzeci. [przypis edytorski]

¹¹⁶ *stępor* – drewniany tłuczek lub kłoc do ubijania albo miażdżenia czegoś. [przypis edytorski]

pochłonęła jedną połowę milczącej ciszy, zaś druga jej połowa zaczęła długimi szeregami schodzić po zakosach ścieżek w głąb wąwozu. Wąwóz był głęboki. Smuga roślinności, wijąca się hen, w dole wśród jaskrawo oświetlonych zwałów skał, podobna była do nikłej, zielonawej wstęgi, na której trzy zwarte kępy bananowców, palm i cienistych drzew oznaczały wieś pierwszą, wieś drugą i wieś trzecią, siedziby górników z kopalni Gouldów.

Całe rodziny ruszyły od razu ku podnóżom Higueroty, gdy na pasterskim Campo gruchnęła wieść, że można tam znaleźć pracę i bezpieczeństwo. Omijając wezbrane wody, przedzierały się przez rozpadliny i wąwozy dalekich, błękitnych krzesanic Sierry. Przodem szedł ojciec w stożkowatym słomianym kapeluszu, za nim matka ze starszymi dziećmi, a zazwyczaj także karłowaty osiołek. Wszyscy dźwigali ciężary, prócz przewodnika, niekiedy też dorosłej dziewczyny, chluby swych rodziców, która szła boso, prosta jak trzcina, z oplotami kruczych włosów okalających jej wyrazistą, dumną twarz, nie niosąc nic prócz małej gitary i miękkich, skórzanych sandałów przewieszonych przez plecy. Na widok tych wędrowców, snujących się po rozstajnych drogach między pastwiskami lub wypoczywających na poboczu królewskiego gościńca, konni podróżni powiadali do siebie:

– Znów napływają ludzie do kopalni San Tomé. Jutro przyjdą inni.

I przynaglając konie do biegu wśród obłoków kurzu, rozprawiali o nowinach głośnych w całej prowincji, o kopalni San Tomé. Jakiś bogaty Anglik przystępował w niej do pracy

– a może to nie Anglik? *Quien sabe?*¹¹⁷ Słowem, cudzoziemiec, co ma pieniądze. Tak, to już się zaczęło. Ludzie, którzy byli w Sulaco ze stadem czarnych byków przeznaczonych na najbliższą *corridę*¹¹⁸, opowiadali, iż z przedsiönka *posady*¹¹⁹ w Rincon, o niespełna milę od miasta, widać, jak światła w górach migocą nad drzewami. Podobno ma być tam kobieta, która jeździ na koniu bokiem, nie w kolebce do siedzenia, lecz jakby na jakimś siodle i nosi męski kapelusz. Chodzi też pieszo ścieżkami górskimi. Pewno jest inżynierem.

– Co za głupstwo! To niemożliwe, señor!

– *Si, si. Una Americana del norte.*¹²⁰

– No, to co innego, jeśli szanowny pan wie na pewno. *Una Americana!* Pewno to coś takiego.

I podśmiechiwali się z lekka nie bez zdumienia i pogardy, rozglądając się czujnie wśród zapadających zmierzchów, gdyż nie należy do rzeczy przyjemnych spotkać na Campo złoczyńców o późnej porze.

Don Pópé znał nie tylko mężczyzn; baczny, zadumanym spojrzeniem ogarniał także każdą kobietę, każdą dziewczynę i każdego wyrostka przebywającego na jego terenie. Jedyne dzieciarnia wprawiała go niekiedy w kłopot. Widywano go

¹¹⁷ *Quien sabe?* (hiszp.) – Kto wie? [przypis edytorski]

¹¹⁸ *corrida* (hiszp.) – walka byków. [przypis edytorski]

¹¹⁹ *posada* (hiszp.) – zajazd. [przypis edytorski]

¹²⁰ *Si, si. Una Americana del norte* (hiszp.) – Tak, tak. Amerykanka z północy. [przypis edytorski]

często z księdzem, jak stawali obaj zamyśleni na ulicy i przyglądali się gromadkom spokojnych, śniadych dzieci lub naradzali się półgłosem nad pochodzeniem małego, statecznego berbecia, który nagi i poważny, dreptał drogą z cygarem w dziecięcych ustach i z różańcem na szyi, wypożyczonym dla ozdoby od matki i zwisającym sznurem pereł na drobny, krągły brzusek. Pasterz duchowny i pasterz doczesny ludności górniczej żyli ze sobą w wielkiej przyjaźni. Natomiast z doktorem Monyghamem, pasterzem lekarskim, który podjął się tych obowiązków na życzenie pani Gould i mieszkał w zabudowaniach szpitalnych, zażyłość ich nie była zbyt bliska. Ale też trudno było utrzymywać bliższe stosunki z doktorem, który ze swym przygarbionym grzbietem, zwieszoną głową, szyderczymi ustami i kosym, gorzkim spojrzeniem był niemiły i tajemniczy. Dwaj inni zwierzchnicy pracowali zgodnie. Ojciec Roman, mały, suchy, ruchliwy, pomarszczony, z wielkimi, krągłymi oczyma, ostrą brodą i wielkim, zatabaczonym nosem, był również weteranem; spowiadał niejednego biedaka na pobożowiskach republiki, klękał nieraz przy konających na stokach wzgórz, w bujnych trawach lub w mrokach lasów, by wysłuchać ostatniej spowiedzi, mając nozdrza pełne wyziewów prochu, a uszy rozkołatanę od szczęku karabinów, od syków i pogwizdów kul. Wczesnymi wieczorami mieli zwyczaj grywać na probostwie w zatłuszczone karty i rozstawali się z przykrością, gdy don Pépé wychodził, by zobaczyć, czy wszyscy strażnicy kopalni, których sam przygotował do tej służby, są na swych

posterunkach. Spełniając ten ostatni obowiązek przed udaniem się na spoczynek, don Pépé przypasywał swą starą szablę na werandzie białego domu, zbudowanego w stylu rdzennie amerykańskim i zwanego przez ojca Romana probostwem. Stojący opodal długi, niski, mroczny budynek, podobny do dużej szopy, lecz z dzwonnica na dachu i drewnianym krzyżem na szczycie, był kaplicą górników. Ojciec Roman odprawiał tam codziennie mszę przed mrocznym obrazem w ołtarzu, przedstawiającym Zmartwychwstanie: szary złom kamienia grobowego stał odchylony po jednej stronie obrazu, nad nim ulatywała wzwyż długa, sina postać w otoku bladego światła, a na brunatnym tle pierwszego planu leżał powalony śniady legionista z hełmem na głowie.

– To malowidło, moje dzieci, jest *muy lindo e maravilloso*¹²¹ – mawiał ojciec Roman do swych owieczek. – Oglądacie je tutaj dzięki szczodroblewości małżonki *señora administradora*. Namalowano je w Europie, kraju cudów i świętych, dużo większym od naszej Costaguany.

Po czym zażywał z namaszczeniem szczyptę tabaki. Kiedy jednak jakiś badawczy umysł zapragnął dowiedzieć się, w jakim kierunku leży ta Europa, czy znajduje się w górę czy w dół wybrzeża, ojciec Roman, chcąc ukryć swe zakłopotanie, stawał się bardzo powściągliwy i surowy.

– To pewne, że leży bardzo daleko. Ale tacy ciemni grzesznicy, jak wy, powinni raczej wzdragać się przed

¹²¹ *muy lindo e maravilloso* (hiszp.) – bardzo piękne i cudowne. [przypis edytorski]

wiekuistym potępieniem niż dopytywać się o wspaniałości tej ziemi z jej krajami i narodami, co zresztą nie pomieściłoby się w waszych głowach.

Po słowach: „dobranoc, *padre*”, „dobranoc don Pépé”, *gobernador* odchodził wielkim, posuwistym krokiem, pochylając się naprzód i tuląc do boku swe szablisko. Jowialność, z jaką zabawiał się niewinną grą w karty o kilka cygar lub garść *yerby*¹²², ustępowała miejsca surowemu poczuciu obowiązku u oficera, który idzie nadzorować placówki obozującej armii. Na donośny gwizd świstawki, zawieszanej na jego szyi, odpowiadały niezwłocznie przeraźliwe gwizdania innych świstawek, pomieszane ze szczekaniem psów, które odzywały się z doliny, pragnąc widocznie, by w górskim wąwozie wreszcie nastał spokój. Bez szmeru podbiegało ku niemu dwóch *serenos*¹²³, którzy strzegli mostu. Po jednej stronie drogi wznosiły się długie zabudowania magazynów, pozamykanych na głucho od końca do końca; po drugiej jej stronie jeszcze dłuższe, białe baraki z werandą mieściły szpital. Jarzyło się tam światło w dwu oknach mieszkania zajmowanego przez doktora Monyghama. Nie drżało nawet wiotkie listowie kępy drzew pieprzowych, tak ciche były mroki nocne, ogrzane promieniowaniem rozpalonych skał. Don Pépé zatrzymywał się na chwilę, mając przed sobą

¹²² *yerba* – wysuszone, zmielone liście ostrokrzewu paragwajskiego, z których w Ameryce Płd. przygotowuje się popularny napar, podobny do herbaty. [przypis edytorski]

¹²³ *sereno* (hiszp.) – stróż nocny. [przypis edytorski]

nieruchome postacie *serenos*, gdy wtem daleko w górze, na litych zboczach skał, upstrzonych migającymi pochodniami niby kroplami płomieni, które spadły z gorejących powyżej dwóch wielkich ognisk, zaczynała dudnić ruda w rynnach. Lawina łoskotu i łomotu toczyła się coraz szybciej, zyskując moc i rozpęd, podchwytywana przez krzesanice wężowu i odrzucana na równiny hukiem gromu. *Posadero*¹²⁴ z Rincon zaklinał się, iż nieraz cichą nocą, kiedy stał we drzwiach swego domu i nadśluchiwał uważnie, huk ów dolatywał do niego niby burza, która sroży się w górach.

Charlesowi Gouldowi roiiło się, że łoskot ten musi docierać do najdalszych krańców prowincji. Jadąc konno nocą do kopalni, odróżniał go na skraju lasku, tuż za Rincon. Nie ulegało wątpliwości, iż był to głuchy pomruk gór, osuwających się pod stępory lawiną swych skarbów. Rozlegał się w jego sercu z potęgą proklamacji, wstrząsającej całym krajem jak grom, cudownością ziszczenia śmiałych zamierzeń. Słyszał go już w swej wyobraźni owego dawno minionego wieczora, kiedy wraz z żoną przedarł się konno przez ostępy leśne i przystanął nad strumieniem, by spojrzeć po raz pierwszy w zarośniętą chaszczami czeluść wężowu. Tu i ówdzie widniały wierzchołki palm. W wyżynnej rozpadlinie, która okalała skraj góry San Tomé (wystrzelającej na kształt graniastej turni), wąska wstęga wodospadu migotała szkliście i świetliście pośród ciemnej zieleni rosochatych drzewiastych paproci. Don Pépé, który im

¹²⁴ *posadero* (hiszp.) – właściciel gospody. [przypis edytorski]

towarzyszył, podjechał bliżej i wyciągając ramię w kierunku wąwozu, zawołał z ironicznym namaszczeniem:

– Oto istny raj węży, señora!

Po czym skręcili końmi i pojechali z powrotem, by przespać się w Rincon. Alkad, stary, chudy Moreno, sierżant z czasów Guzmána Bento, usunął się czołobitnie z domu wraz ze swymi trzema ładnymi córkami, by zrobić miejsce dla zagranicznej señory i wielmożnych *caballeros*. W zamian za tę przysługę prosił Charlesa Goulda (którego wziął za jakąś zagadkową i urzędową figurę), by zechciał przypomnieć władzom naczelnym – *el gobierno supremo* – o pensyjce (wynoszącej coś około dolara na miesiąc), która rzekomo mu się należała. Przyrzeczono ją, jak zapewniał, prostując marsowo swą pochyłą postać, „przed wielu laty za moją waleczność w wojnach z dzikimi Indianami, kiedy byłem jeszcze młodym człowiekiem”.

Wodospad już nie istniał. Drzewiaste paprocie, które bujnie rosły dzięki jego rozpryskom, pousychały nad osuszonym bagnem, a wyżynna rozpadlina zamieniła się w duże zagłębienie wypełnione do połowy rumowiskiem odpadów kopalnianych. Strumień, obecnie omurowany u góry, rozprowadzał swe rwące wody za pomocą koryt, wydrążonych z pni drzewnych i rozpartych na kozłach, do turbin, poruszających stęporę na niższym płaskowyżu – *mesa grande*¹²⁵ – góry San Tomé. Wspomnienie wodospadu z jego niesamowitymi paprociami, zawieszzonego niby jakiś ogród nad krzesanicami wąwozu,

¹²⁵ *mesa grande* (hiszp.) – wielki stół. [przypis edytorski]

przechowało się jedynie na akwaforcie pani Gould. Namalowała ją naprędce z polanki wśród chaszczy, siedząc w cieniu słomianego daszku wspartego na nieokorowanych palach, a obmyślanego dla niej przez don Pépégo.

Pani Gould widziała wszystko od początku: trzebienie puszczy, budowanie drogi, rąbanie nowych ścieżek na turni San Tomé. Przebywała tam tygodniami w towarzystwie męża i przez cały rok widywano ją tak rzadko w Sulaco, iż pojawienie się powozu Gouldów na *alamedzie* wywoływało powszechne poruszenie. Z ciężkich familijnych pojazdów, zatłoczonych statecznymi señorami i czarnookimi señoritami, pozdrawiała ją białe dłonie i dolatywał zgiełk powitalny. „Doña Emilia powróciła z gór”.

Ale nie na długo. Po jednym lub dwu dniach doña Emilia znów wyjeżdżała „w góry”, a dla mułów z jej skromnego zaprzęgu zaczynały się nowe wywczasy. Przypatrywała się budowie pierwszego baraku, postawionego na niższej *mesie*, przeznaczonego na pomieszczenia biura i kwaterę don Pépégo. Przeniknęło ją dziękczynne drżenie radości, gdy usłyszała, jak ruda, wysypana z pierwszego wagonu, załomotała po jedynej podówczas rynnie. Nie poddając się wzruszeniu, stała milcząca obok swego męża, gdy po raz pierwszy puszczano w ruch pierwszą baterię piętnastu stęporów. Gdy pod pierwszym rzędem retort zapłonęły w hucie ognie, rozwidniając swą łuną mroki nocne, nie poszła spocząć na twardym tapczanie, który ustawiono dla niej w pustym jeszcze baraku, lecz czekała, by

ujrzeć pierwszą gąbczastą bryłę srebra, którą ciemne otchłanie kopalni Gouldów wyrzuciły na igraszkę świata. Z podnieceniem, od którego drżały jej dłonie, dłonie pozbawione chciwości, dotykała pierwszej sztaby srebra, kiedy jeszcze ciepła wyszła z formy. Ważąc w wyobraźni jej potęgę, nadawała tej bryle kruszcu usprawiedliwiającą wartość, jak gdyby nie była ona samym tylko realnym przedmiotem, lecz czymś o daleko sięgającym i nieuchwytnym znaczeniu, niby najistotniejszym wyrazem jakiegoś odczucia lub wyłonieniem się jakiejś zasady.

Don Pópé, który okazywał również ogromne zaciekawienie, spoglądał przez jej ramię z uśmiechem, który żłobił podłużne bruzdy w jego twarzy, czyniąc ją podobną do skórzanej maski z dobrodusznie diabelskim wyrazem.

– Byleby *muchachos*¹²⁶ Hernandeza nie pokusili się o tę bagatelkę, która, *por Dios*¹²⁷, wygląda jak kawałek cyny – odezwał się jowialnie.

Rozbójnik Hernandez był niegdyś nieszkodliwym, drobnym *ranchero*, którego podczas jednej z wojen domowych wydarto ze szczególnym okrucieństwem z pieleszy rodzinnych i zmuszono do służby w wojsku. Jako żołnierz sprawował się wzorowo aż do chwili, kiedy udało mu się zabić swego pułkownika i odzyskać wolność. Z szajką zbiegów, którzy uczynili go swym przywódcą, schronił się w dzikich i bezwodnych pustkowiach Bolson de Tonoro. *Haciendas* opłacały mu haracz bydlęm

¹²⁶ *muchacho* (hiszp.) – chłopak, młodzieniec. [przypis edytorski]

¹²⁷ *por Dios* (hiszp.) – na Boga. [przypis edytorski]

i końmi. Opowiadano istne cuda o jego zdolnościach i nieprawdopodobnych ucieczkach z więzień. Do wsi i miasteczek Campo miał zwyczaj przyjeżdżać konno, sam jeden, z dwoma rewolwerami u pasa, pędząc przed sobą jucznego muła. Przyjechawszy, wchodził do sklepu lub magazynu, zabierał, co mu było potrzebne, i odjeżdżał nienapastowany, gdyż słynął ze swej nieustraszoneści i z okropieństwa swych rozbojów. Biedotę wiejską pozostawiał zwykle w spokoju, zamożniejszych często zatrzymywał po drogach i grabił, natomiast wszystkich urzędników, którzy mieli nieszczęście wpaść mu w ręce, poddawał surowej chłości. Oficerowie nie lubili, gdy wymieniano jego imię w ich obecności. Jego towarzysze, jeżdżąc na skradzionych koniach, kpili sobie z pościgów kawalerii, którą wysyłano na ich połów, i zabawiali się, wciągając ją nader umiejętnie w zasadzki w załamaniach terenu niedaleko swych kryjówek. Urządzano obławy i wyznaczono nagrodę za jego głowę, próbowano nawet wdawać się z nim podstępnie w jawne układy, ale nie zdołano wymóc najlżejszej bodaj zmiany w jego postępowaniu. W końcu dyrektor urzędu skarbowego w Tonoro, pałając chęcią poskromienia osławionego Hernandezza, postąpił iście po costaguańsku i zaofiarował mu wynagrodzenie pieniężne oraz list żelazny na wyjazd z kraju, jeśli zgodzi się wydać swych towarzyszy. Jednak Hernandez nie był widocznie z tej samej gliny, z której ulepiono znakomitych polityków i wojskowych warchołów costaguańskich. Ten przebiegły, choć niewyszukany pomysł

(który jest zakłębieniem powściągniętym często rewolucje) zawiódł w zupełności w stosunku do herszta pospolitych *salteadores*¹²⁸. Zapowiadało się zrazu nader pomyślnie dla dyrektora urzędu skarbowego, lecz skrupiło się bardzo dotkliwie na szwadronie *lanceros* zaczajonych w kotlinie, do której Hernandez obiecał przyprowadzić swych towarzyszy, niepodejrzewających rzekomo niczego. Przyszli też istotnie o oznaczonej porze, lecz pełznąć przez chaszczę na czworakach, i o swej obecności dali znać tylko salwą ognia karabinowego, który wielu *lanceros* zmiótł ze siodła. Pierzchający żołnierze, pędząc co koń wyskoczy, wpadli do Tonoro. Utrzymywano potem, iż ich komendant (który wyprzedził wszystkich, mając lepszego konia) upił się do nieprzytomności z rozpaczy i za to zniesławienie armii narodowej obił mocno płazem swej szabli ambitnego dyrektora urzędu skarbowego w obecności jego małżonki i jego córek. Podobno najwyższy dostojnik cywilny z Tonoro miał zemdleć i paść się na ziemię, zaś jego kolega wojskowy w przystępie przeczulenia pastwił się nad nim dalej, kopiąc go i kierując mu twarz i szyję ostrogami. Pani Gould znała do najdrobniejszych szczegółów tę plotkę z głębi Campo, tak znamiennej dla rządców kraju, którego dzieje są jednym pasmem ucisku, niemocy, tępoty, zdrady i dzikiego zezwierzęcenia. Jedną z oznak upadku, który ją doprowadzał niemal na skraj rozpaczy, było to, iż ludzie inteligentni, wytworni, niepozbawieni charakteru dowiadywali się o takich zdarzeniach bez oburzenia,

¹²⁸ *salteador* (hiszp.) – rozbójnik. [przypis edytorski]

godząc się z nimi niby z czymś wynikającym z natury rzeczy. Nie podnosząc jeszcze oczu znad sztaby srebra, potrząsnęła głową i odrzekła na słowa don Pépégo:

– Gdyby nie bezprawie waszych rządów, wielu z tych wyjętych spod prawa, którzy teraz łączą się z Hernandezem, żyłoby spokojnie i szczęśliwie z uczciwej pracy swych rąk.

– To prawda, señora! – zawołał don Pépé z zapałem. – To jakby Bóg dał pani władzę przenikania do głębi dusz ludzkich! Widziała ich pani przy pracy, doño Emilio: łagodni jak baranki, cierpliwi jak ich osły, waleczni jak lwy! Prowadziłem ich w paszcze dział, jak tu stoję, señora, za czasów Paeza, który był wspaniałomyślny i któremu nikt nie dorównywał odwagą, prócz może stryja don Carlosa. Nic dziwnego, że Campo wydaje bandytów, skoro w Santa Marta rządzą złodzieje, oszuści i krwiożercze małpy. Lecz niech będzie, jak chce, bandyta jest bandytą i powinniśmy mieć z tuzin dobrych winchesterów, jeśli zechcemy odwieźć to srebro do Sulaco.

Przejażdżka konna z eskortą, która odstawiła pierwszy transport srebra do Sulaco, była dla pani Gould zakończeniem tego, co nazywała swym „życiem polowym”; odtąd osiedliła się już na stałe w swym miejskim domu, jak wypadało i co nawet było konieczne dla małżonki administratora takiego potężnego przedsiębiorstwa, jak kopalnia San Tomé. Stało się bowiem ono instytucją, punktem węzłowym dla wszystkich tych żywiołów, które nie mogły wyżyć bez porządku i spokoju. Bezpieczeństwo zdawało się sphywać na kraj z rozpadliny górskiej. Władze w

Sulaco pojęły, iż kopalnia San Tomé może być warta zachodu, o ile jej sprawy i ludzi pozostawi się w spokoju. Było to pierwsze zbliżenie się do prawideł sprawiedliwości i zdrowego rozsądku, które Charles Gould uważał na razie za możliwe do osiągnięcia. Toteż ze swą organizacją, ze swą szybko wzrastającą ludnością, przywiązaną gorąco do przywileju bezpieczeństwa, ze swą zbrojownią, ze swym don Pépém i zbrojnym zastępem *serenos* (między którymi znajdowało się podobno wielu zbiegów i wygnańców, a nawet rozbójników z szajki Hernandeza) kopalnia była potęgą w kraju. Pewnego razu, kiedy w Santa Marta zastanawiano się nad kierunkiem działań, jaki władze z Sulaco przyjęły w okresie przesilenia politycznego, któryś z wybitnych mężów stanu zawołał, parszkając czczym śmiechem:

– Panowie sędzicie, że oni są urzędnikami rządowymi? Oni? Bynajmniej! To urzędnicy kopalni, urzędnicy koncesji Gouldów! Wierzcie mi!

Znakomity ten mąż (który dzierżył podówczas ster władzy, a miał twarz koloru cytryny oraz nader krótką i kędzierzawą, by nie rzec, wełnistą czuprynę) zapamiętał się w swym niezadowoleniu tak dalece, iż potrząsnął swą żółtą pięścią pod nosem przeciwnika i wrzasnął:

– Tak jest! Wszyscy! Milczeć tu! Wszyscy! Powiadam wam! Polityczny *jefe*¹²⁹, dyrektor policji, dyrektor Urzędu Celnego, generał, wszyscy, wszyscy są urzędnikami Goulda.

Po czym w gabinecie ministerialnym wszczął się

¹²⁹ *jefe* (hiszp.) – szef, przywódca. [przypis edytorski]

nieulekniony, lecz przyciszony i przekonywający poszmer głośów i gniew znakomitego męża zakończył się cynicznym wzruszeniem ramion. „O cóż zresztą chodzi? – chciał nim powiedzieć – skoro nie zapomina się i o ministrze podczas jego krótkiego urzędowania?” Mimo to nieoficjalny przedstawiciel kopalni San Tomé, pracujący dla dobra sprawy, miewał chwile troski, której dawał ujście w listach do swego wuja, don Joségo Avellanosa.

– Żadna krwiożercza małpa ze Santa Marta nie postanie nigdy w tej części Costaguany, która leży za mostem San Tomé – zapewniał don Pépé w rozmowach z panią Gould – chyba że będzie naszym gościem, bo nasz *señor administrador* jest wytrawnym politykiem. – Ale kiedy był sam na sam z Charlesem Gouldem, stary major mawiał z żołnierską niedbałością: – Stawką w tej grze są nasze głowy.

Zaś don José Avellanos pomrukiwał: – To *imperium in imperio*¹³⁰, Emilio, moja duszo – a mówił to z wyrazem głębokiego zadowolenia, które jednakże jakimś szczególniejszym trafem zdawało się zawierać domieszkę fizycznej przykrości. Było to jednak widoczne tylko dla wtajemniczonych.

I dziwnym, zaiste, dla wtajemniczonych miejscem był salon Casa Gould, gdzie tylko od czasu do czasu pojawiał się pan domu, *el señor administrador*, starszy, bardziej krzepki i zagadkowo milczący. Pogłębiły się rysy jego angielskiej,

¹³⁰ *imperium in imperio* (łac.) – państwo w państwie. [przypis edytorski]

czerwonawej, ogorzałej twarzy. Jego cienkie nogi kawalerzysty przekraczały ten próg bądź to kiedy wracał „z gór”, bądź też kiedy wybierał się „w góry”. Pobrzękiwał wówczas ostrogami i miewał szpicrutę pod pachą. Z żołnierską skromnością przesiadywał tam don Pépé, szczery *llanero*, który zdawał się odzyskiwać niekiedy swą rycerską jowialność, swą znajomość świata i poczucie swego stanowiska, zatracone wśród dzikich zbrojnych zmagania z podobnymi sobie. Bywał Avellanos, poufały i wytworny, pokrywany wielomównością wielką roztropność i wiedzę, zawartą w subtelnych wskazaniach rękopisu dzieła historycznego o Costaguanie. Nosiło ono tytuł *Pięćdziesiąt lat nierzędu*. Przeważność nie pozwalała mu na razie (nawet gdyby to było rzeczą możliwą) „dać tę książkę światu”. Wśród nich nad błyszczącą zastawą stołową zajmowała miejsce doña Emilia, wdzięczna i drobna niby czarodziejka. Łączyła ją z tymi trzema ludźmi wspólna myśl przewodnia, wspólne poczucie trudnych warunków i niewygasająca nigdy troska o zachowanie nietykalności kopalni za każdą cenę. Widywano tam również kapitana Mitchella, który siadywał nieco na uboczu, w pobliżu wielkiego okna. Wyglądał na staroświeckiego, przyzwoitego kawalera w swej białej kamizelce i z napuszoną po trosze miną. Nie zwracano zbyt na niego uwagi, ale nie czuł tego. Będąc jak tabaka w rogu, wyobrażał sobie, iż przenika do rdzenia rzeczy. Spędził trzydzieści lat na pełnym morzu, zanim otrzymał to, co nazywał „biletem na brzeg”, i był wielce zdziwiony ogromem przedsięwzięć (niemających nic wspólnego

z żeglugą), które dokonywały się na stałym lądzie. Niemal każdy wypadek rozmijający się z codzienną powszedniością miał dla niego „znaczenie epokowe” lub był „historyczny”. Zdarzało się jednak, iż wrodzona chępliwość przedzierzała się w stropioną niepewność na jego czerwonej, niebrzydkiej twarzy, okolonej gęstą, śnieżnobiałą czupryną i krótkimi bokobrodami; zmieszany bełkotał:

– Ach, to! To była pomyłka, panie!

Kapitan Mitchell był przekonany, iż ma do czynienia z „wypadkiem epokowym”, kiedy jednemu z parowców T.O.Ż.P. polecono odstawić do San Francisco pierwszy transport srebra z kopalni San Tomé. Sztaby tego kruszcu mieściły się w skrzynkach ze sztywnej skóry wołowej, opatrzonych uchwytem z plecionego rzemienia. Każdą taką skrzynkę dwu ludzi mogło unieść z łatwością. Powierzono tę pracę *serenos*, którzy krocząc dwójkami po stromych zakosach ścieżek, znieśli starannie drogocenny ciężar do podnóża góry. Tu wkładano te skrzynki do ustawionych długim rzędem dwukołowych wozów, podobnych do dużych skrzyń z drzwiczkami z tyłu. Zaprzęg każdego takiego wozu pancernego składał się z pary mułów. Nad całym taborem czuwali zbrojni *serenos* na koniach. Don Pépé pozamykał w końcu wszystkie drzwiczki, po czym na znak dany przez niego gwizdkiem rząd wozów ruszył z miejsca wśród szczęku ostróg i karabinów, wśród świstu i trzaskania batów. Z wielkim zgiełkiem tabor przetoczył się przez graniczny most („w głąb kraju złodziei i krwiożerczych małp”, jak wyraził się później don

Pépé). Zakołysały się w pierwszych brzaskach dnia kapelusze na głowach postaci otulonych w opończe. Spoczęły winchestery na biodrach. Dzierząc lejce, wysuwały się spod fałdzistych *ponchos* szczupłe, brunatne ręce. Tabor minął niewielki lasek, po czym podążając traktem kopalni, wjechał między lepianki i niskie mury wsi Rincon. Na Camino Real przyśpieszono kroku; poczęto popędzać muły, eskorta ruszyła cwałem. Don Carlos jechał konno sam na czele ogromnej kurzawy, w której majaczyły niewyraźnie długie uszy mułów, trzepotały zielono-białe chorągiewki, pozatykane na wozach, podnosiły się ramiona wśród ciżby *sombreros* i błyskały białka podkrążonych oczu. Don Pépé, ledwie widoczny w obłokach kurzu, cwałował na samym końcu tego roztrajkotanego taboru. Jego wyprostowana postać podnosiła się i opadała rytmicznie na grzbiecie karej szkapy o owczej szyi łbie kształtu młota.

Rozespani mieszkańcy chat z gospodarstw przydrożnych, słysząc ogromną wrzawę, domyślili się, iż z kopalni San Tomé wiozą srebro ku zrujnowanym murom miejskim od strony Campo. Wybiegli na zewnątrz, by zobaczyć tabor, który podążał kamienistą drogą wśród świstu i trzaskania batów z regularnością i niewstrzymanym pędem baterii rzucającej się w odmet walki. Daleko na samym przodzie widniała samotnie angielska postać *señora administradora*.

W przydrożnych ogrodzeniach bryknęły dziko puszczone luzem konie. Bydło brodziło po piersi w trawach, odpowiadając głuchym porykiem na przelatującą wrzawę. Pokorne chłopstwo

indiańskie spoglądało poza siebie i pośpiesznie usuwało się pod mury, wlokąc za sobą objuczone osiołki, by nie zastępować drogi transportowi srebra, który z kopalni San Tomé zdązał ku morzu. Gromadka *leperos*, którzy marzli pod Kamiennym Koniem na *alamedzie*, zabełkotała: *Caramba!*¹³¹, widząc, jak tabor, zatoczywszy wielkie koło, zagłębił się cwałem w pustą ulicę Konstytucji. Bowiem mulnicy z kopalni San Tomé uważali, iż wypada pędzić przez budzące się miasto co koń wyskoczy, jak gdyby diabeł siedział im na karku.

Wczesne świty jarzyły się bladą różanością i bladym błękitem na ścianach wielkich domów. Bramy były jeszcze pozamykane i za żelaznymi kratami okien nie ukazywały się twarze. Puste były balkony, zalane światłem słonecznym, i tylko na jednym z nich, zawieszonym wysoko nad połyskliwym brukiem, pojawiła się biała postać. Była to żona *señora administradora*. Wychyliła się, by zobaczyć, jak tabor będzie przejeżdżał ku portowi. Szczodre oploty jasnych warkoczy okalały niedbale jej główkę. Miała na sobie muślinową suknię zamkniętą pod szyją smugą koronki. Uśmiechnęła się, gdy mąż podniósł ku niej przelotnie oczy, po czym przyglądała się tłumowi, który przepływał z wrzawą poniżej jej stóp, a w końcu odpowiedziała przyjacielskim skinieniem głowy na sztywny, czołobitny ukłon don Pépégo, który w pędzie uchylił kapelusza aż poniżej swych kolan.

Z każdym rokiem wydłużał się sznur zamykanych na kłódkę wozów i pomnażała się eskorta. Potężniejący nieustannie

¹³¹ *Caramba!* (hiszp.) – Do licha! [przypis edytorski]

strumień skarbów przelewał się co trzy miesiące przez ulice Sulaco, by zatrzymać się w skarbcu w budynku portowym T.O.Ż.P. i odpłynąć następnie ku północy. Ze zwiększoną objętością zwiększała się również ogromna jego wartość. Charles Gould, promieniejąc radością, powiedział pewnego razu do żony, że nie ma na świecie niczego, co by dorównywało bogactwom kopalni San Tomé. Każdy transport przesuwający się pod balkonami Casa Gould był dla nich obojga nowym zwycięstwem w walce o pokój Sulaco.

Niepodobna zaprzeczyć, iż początkowej działalności Charlesa Goulda sprzyjał zrazu okres względnego pokoju, który właśnie wówczas nastąpił, sprzyjało również powszechne złagodzenie obyczajów, zwłaszcza w porównaniu z epoką wojen domowych, z których wyłoniła się żelazna tyrania straszliwego Guzmána Bento. W zamieszkach, które wybuchły pod koniec jego rządów (dzięki którym przez całych piętnaście lat panował w kraju spokój), więcej było tępej głupoty, rozpetanego okrucieństwa i udręki, lecz nierównie mniej ślepej zaciekłości i dzikiego fanatyzmu politycznego, który znamionował dawniejsze czasy. Wszystko stało się ohydniejsze, niktzemniejsze, godniejsze pogardy i nieskończenie pobłażliwsze dla nieskrywanego cynizmu pobudek. Uwidoczniała się jaskrawiej bezczelna łapczywość, czyhająca na zmniejszającą się nieustannie ilość łupów. Wszelką przedsiębiorczość w najgłupszy sposób wytępiono w kraju. I oto doszło do tego, że prowincja Sulaco, która była niegdyś ogniskiem

mściwych walk partyjnych, stała się jedną z najcenniejszych zdobyczy karierowiczów politycznych. Moźni z Santa Marta rezerwowali stanowiska w dawniejszej Zachodniej Prowincji dla swych najbliższych i najmilszych: dla braci, bratanków, mężów ukochanych siostr, serdecznych przyjaciół, wiernych popleczników lub wybitnych popleczników osobistości, których się obawiano. Była to błogosławiona ziemia wszelkich możliwości i szczodrych łapówek; bowiem kopalnia San Tomé miała swą nieoficjalną listę płac, której szczegóły i kwoty, ustalone przez Charlesa Goulda i señora Avellanosa, znane były znakomitemu przedsiębiorcy ze Stanów Zjednoczonych, który każdego miesiąca poświęcał jakichś dwadzieścia minut wyłącznie sprawom Sulaco. Równocześnie przedsięwzięcia zawiązywane przy poparciu kopalni San Tomé spokojnie porastały w pierze w tej części republiki. O ile, na przykład, w politycznych sferach stolicy powszechnie było wiadomo, że stanowisko w Urzędzie Skarbowym w Sulaco otwiera drogę do Ministerstwa Finansów i że to samo dotyczy wszystkich innych tamtejszych urzędów, o tyle zrozpaczone sfery przemysłowa i handlowe republiki zaczęły uważać Zachodnią Prowincję za obiecaną krainę bezpieczeństwa, zwłaszcza jeżeli komuś powiodło się wejść w porozumienie z administracją kopalni. „Charles Gould to wspaniały człowiek! Bezwarunkowo trzeba upewnić się co do niego, zanim cokolwiek się przedsięwzięmie. Niech pan postara się o list polecający od Moragi, wie pan, tego agenta króla z Sulaco”.

Nic też nie było w tym dziwnego, iż sir John, przyjechawszy z Europy, by utorować drogę dla swej kolei, spotykał się na każdym kroku z nazwiskiem (a nawet z przezwiskiem) Charlesa Goulda. Agent kopalni San Tomé w Santa Marta (który okazał się przyzwoitym i znakomicie obeznanym ze stosunkami dżentelmenem), przyczynił się w takiej mierze do zorganizowania objazdu kraju przez prezydenta, iż sir John zaczął się zastanawiać, czy też jakieś źdźbło prawdy nie kryje się w głuchych pogłoskach o niezmiernych, choć tajonych, wpływach przedsiębiorstwa Gouldów. Mianowicie szeptano sobie na ucho, iż administracja kopalni San Tomé zasilila, przynajmniej w części, zasobami pieniężnymi ostatnią rewolucję. Jej wynikiem była pięcioletnia dyktatura don Vincente Ribieri, człowieka światłego i nieskazitelnego, któremu najuczciwsze sfery społeczeństwa poruciły zadanie naprawy republiki. Poważny, dobrze obeznany ze stosunkami dżentelmen zdawał się w to wierzyć i wyrażał nadzieję, że nastaną lepsze czasy, że praworządność, rzetelność i ład zapanują wreszcie w życiu publicznym. „Tym lepiej” – pomyślał sobie sir John. Przyzwyczajony był do działalności na wielką skalę. Zamierzano udzielić pożyczki państwu, przystąpić do systematycznej kolonizacji Zachodniej Prowincji i z tymi rozległymi planami połączyć budowę Centralnej Kolei Państwowej. Do rozwoju tych wielkich przedsięwzięć konieczna była dobra wola, ład, rzetelność i spokój. Każdy, kogo obchodziły te rzeczy i kto mógł w nich dopomóc, miał

wielkie znaczenie dla sir Johna. Nie zawiódł się na „królu z Sulaco”. Przeszkody miejscowe, jak przepowiedział naczelny inżynier, dały się usunąć przy pomocy Charlesa Goulda. Sir John był wspaniale podejmowany w Sulaco, niemal tak samo jak prezydent-dyktator, co stało się przyczyną złego humoru generała Montero podczas lunchu wydanego na pokładzie „Junony”, która wkrótce potem odpłynęła, zabierając z Sulaco prezydenta-dyktatora oraz dostojnych gości cudzoziemskich.

Excellentissimo („nadzieja uczciwych ludzi”, jak wyraził się don José, przemawiając publicznie w imieniu Zgromadzenia Prowincjonalnego z Sulaco) zajął pierwsze miejsce przy długim stole. Kapitan Mitchell, osłupiały i purpurowy na twarzy od przejęcia się tym „wypadkiem historycznym”, zasiadł na ostatnim, jako przedstawiciel T.O.Ż.P. na Sulaco. Obok niego usiedli goście podrzędniejsi oraz kapitan okrętu i niżsi urzędnicy lądowi. Ci pogodni, śniadzi panowie rzucali jowialne spojrzenia na butelki z szampanem, które zaczęły już strzelać w rękach stewardów okrętowych. Bursztynowe wino perliło się w kieliszkach.

Charlesowi Gouldowi dostało się miejsce obok przedstawiciela obcego państwa, który obojętnym, przyciszonym głosem gawędził o myślistwie i polowaniach. Przy tej nalanej, bladej twarzy z monoklem i obwisłymi, żółtawymi wąsami *señor administrador* wydawał się jeszcze bardziej opalony, jeszcze płomieniej czerwony, stokroć żywszy w swoim milczeniu. Don José Avellanos sąsiadował z innym

cudzoziemskim dyplomata, o śniadej cerze i spokojnym, baczym, powściągliwym usposobieniu. Nie przestrzegano zbyt wiele prawideł etykiety; jedynie generał Montero pojawił się w galowym mundurze, tak suto haftowanym od przodu, iż wyglądał on na jego szerokich piersiach jak złoty pancerz. Sir John zaraz z początku opuścił honorowe miejsce, które mu wyznaczono, by usiąść obok pani Gould.

Wielki finansista ujmował właśnie w słowa swą wdzięczność za jej gościnność i zapewniał o swym uznaniu dla jej męża, który „posiada ogromne stosunki w tej połaci kraju”, kiedy mu przerwała przyciszonym: „Pst!”. Prezydent miał wygłosić okolicznościowe przemówienie.

Excellentissimo podniósł się już z miejsca. Powiedział zaledwie kilka słów, widocznie głęboko odczuty i zwróconych, jak się zdaje, głównie do starego druha, Avellanosa. Zwracał uwagę na konieczność niestabnących wysiłków dla zabezpieczenia trwałego dobrobytu krajowi, dla którego po okresie przewlekłych walk miał obecnie nastać okres wytchnienia i pomyślności.

Pani Gould, słuchając mdłego i nieco przygnębionego głosu, patrzyła na jego krągłą, śniadą, przytłoczoną okularami twarz i krępy tułów, otyły aż do chorobliwości. Przyszło jej na myśl, że ten człowiek o subtelny i melancholijny umyśle, ten połowiczny kaleka, który na wezwanie przyjaciół rzucił się z domowego zacisza w odmet niebezpiecznych wyzwań, miał prawo zaznaczyć z naciskiem swe poświęcenie. A jednak było

jej jakoś nieswojo. Wydał jej się raczej patetyczny niż obiecujący ten pierwszy prezydent cywilny Republiki Costaguańskiej, który z kieliszkiem w ręce nawoływał prostymi hasłami do uczciwości, pokoju, poszanowania prawa, dobrej wiary w stosunkach politycznych wewnętrznych i zewnętrznych – tych rękojmi honoru narodowego.

Usiadł. Podczas pochwalnego szmeru, który rozległ się po przemówieniu, generał Montero podniósł swe ciężkie, ospałe powieki i z wyrazem jak gdyby urażonej tępoty wodził oczyma po twarzach. Nieokrzesany bohater wojskowy stronnictwa poddawał się wprawdzie w głębi duszy potędze wrażeń, jaką mu przyniosła nagła nowość i dostojność jego stanowiska (nie był przedtem nigdy na pokładzie okrętu, a morze widywał tylko z daleka), ale instynktownie wyczuwał korzyści, jakie mu zapewniała prostacka, pewna siebie postawa dzikiego wojownika wśród tych wytwornych arystokratów. Ale dlaczego nikt na niego nie patrzył? Zastawiał się gniewnie. Potrafił przecież czytać drukowane litery i wiedział z gazet, że dokonał „największego czynu wojennego nowożytnych czasów”.

– Mój mąż potrzebuje kolei – rzekła pani Gould do sir Johna wśród gwaru rozmów, które zaczęły się zawiązywać na nowo. – Wszystko to przybliży lepszą przyszłość, tak pożądaną dla kraju, który jej oczekiwał w smutku od Bóg wie kiedy. Ale wyznaję, iż doznałam pewnego wstrząsu, ujrawszy pewnego dnia podczas popołudniowej przejażdżki indiańskiego chłopaka, który wypadł nagle konno z lasu, trzymając w ręce czerwoną

chorągiewkę używaną przy robotach mierniczych. Przyszłość wymaga zmiany, zupełnej zmiany. A jednak nawet tutaj istnieją rzeczy proste i malownicze, które pragnęłoby się zachować.

Sir John słuchał z uśmiechem. Ale teraz na niego przyszła kolej uciszenia pani Gould.

– Generał Montero zabiera głos – szepnął i niemal niezwłocznie dodał z komicznym przerażeniem: – O, nieba, zdaje się, iż zamierza wznieść toast na moją cześć!

Generał Montero podniósł się, szcękając stalową pochwą szabli i błyskając po złotą swą wygalonowaną pierś. Spod stołu wyrzała rękojeść potężnej szabli, którą nosił u boku. W swym wspaniałym mundurze, z byczym karkiem, z haczykowatym, spłaszczonym na końcu nosem i obwisłymi wąsami wyglądał jak przebrany, złowrogi *vaquero*. Jego gromki głos miał dziwnie szorstkie i bezduszne brzmienie. Wybąkał ponuro kilka zdawkowych frazesów, po czym podźwignął nagle swój wielki łeb i huknął opryskliwie na cały głos:

– Honor ojczyzny spoczywa w rękach armii. Zapewniam panów, iż dochowam mu wiary. – Zatrzymał się i zaczął wodzić oczyma, aż wreszcie utkwiał swe ponure, gnuśne spojrzenie w twarz sir Johna. Przypomniały mu się niedawne rokowania o pożyczkę. Podniósł kieliszek w górę.

– Piję za zdrowie człowieka, który przywozi nam półtora miliona funtów.

Przełknął szampana i zwałił się znów ciężko na krzesło, wodząc na poły zdumionym, na poły zaczepnym wzrokiem

po otaczających go twarzach wśród głębokiego, jak gdyby stropionego milczenia, które zaległo po tak fortunnym toaście. Sir John nie poruszył się.

– Nie wydaje mi się, żeby wypadało mi wstać – szepnął do pani Gould. – Tego rodzaju rzeczy mówią same za siebie.

Jednak don José Avellanos przyszedł z pomocą krótkim przemówieniem, w którym położył nacisk na dobrą wolę, jaką Anglia okazuje Costaguanie.

– O tej dobrej woli – mówił dalej znacząco – wiem coś z doświadczenia, gdyż w swoim czasie byłem ministrem pełnomocnym przy Dworze Świętego Jakuba¹³².

Dopiero wówczas sir John uznał za właściwe zabrać głos. Odpowiadał z wdziękiem, lecz lichą francuszczyzną, a przemówienie jego przerywała wrzawa oklasków i nawoływania: „Słuchajcie, słuchajcie!” kapitana Mitchella, który rozumiał niektóre słowa. Ukończywszy mowę, finansista kolejowy zwrócił się do pani Gould.

– Miała pani zamiar prosić mnie o coś – przypomniał uprzejmie. – O co to chodzi? Proszę mi wierzyć, iż każdą prośbę pani będę uważał dla siebie za łaskę.

Podziękowała mu wdzięcznym uśmiechem. Wszyscy podnieśli się od stołu.

– Chodźmy na pokład – rzekła. – Tam będę mogła

¹³² *Dwór Św. Jakuba* – tradycyjna nazwa brytyjskiego dworu królewskiego, używana w dyplomacji; od pałacu Św. Jakuba, oficjalnej rezydencji władców. [przypis edytorski]

powiedzieć, o co chciałabym prosić.

Olbrzymia flaga narodowa Costaguany, na której skośnie łączyły się barwy żółta i czerwona, a pośrodku widniały dwie zielone palmy, kołysała się gnuśnie u szczytu głównego masztu „Junony”. Mnóstwo ogni sztucznych, które puszczano na wybrzeżu ku czci prezydenta, zapalało się z tajemniczym trzaskiem. Od czasu do czasu jakaś rakietą, wzbijająca się w górę niedostrzegalnie, pękała nad głowami, pozostawiając na świetlistym niebie wyprysk dymu. Tłumy ludzi zgromadziły się między bramami miejskimi a portem, pod pękami różnobarwnych chorągwi trzepoczących na wysokich masztach. Niekiedy dolatywały zniecka stłumione dźwięki muzyki wojskowej, a z oddali rozlegały się odgłosy wystrzałów. U skraju pomostu garstka obdartych Murzynów strzelała raz za razem z małej żelaznej armatki. Cienka smuga kurzu szarzała nieruchomo w blaskach słońca.

Pod płóciennym daszkiem rozpostartym nad pokładem don Vincente Ribiera postąpił kilka kroków, wspierając się na ramieniu señora Avellanosa. Dokoła niego utworzyło się wielkie koło, w którym zwracał się w tę i ową stronę przygaśły uśmiech jego ciemnych warg i ślepnący połysk jego okularów. Nieoficjalne zebranie, które urządzono na pokładzie „Junony”, żeby dać prezydentowi-dyktatorowi sposobność do poufnego porozumienia się ze swymi najwybitniejszymi stronnikami w Sulaco, dobiegało do końca. Generał Montero, przykrywszy swą łysą głowę kapeluszem z kogucimi piórami, siedział nieruchomo,

oparłszy potężne dłonie w ogromnych rękawicach na rękojeści szabli sterczącej prostopadle między jego kolanami. Biały pióropusz, miedziane zabarwienie szerokiej twarzy, błękitnawa czerń wąsów pod zakrzywionym dziobem, mnóstwo pozłoty na piersi i rękawach, wysokie, połyskliwe buty z olbrzymimi ostrogami, rozdęte nozdrza, idiotyczny, a zarazem władczy wyraz oczu u tego przesławnego zwycięzcy znad Rio Seco – wszystko to raziło czymś złowieszczym i niewiarygodnym. Była w nim przesada jakiejś okrutnej karykatury, nedorzecznosc uroczystej maskarady, krwiożercza groteskowość wojennego bożyszczka Azteków¹³³, które przystrojone po europejsku oczekuje czołobitności swych czcicieli. Don José podszedł dyplomatycznie do tego złowrogiego i nieodgadnionego zwiastuna, zaś pani Gould odwróciła od niego swe zapatrzone oczy.

Charles Gould, który zbliżył się, by pożegnać się z sir Johnem, słyszał, jak ten powiedział, pochylając się ku ręce jego żony:

– Na pewno. Przecież chodzi o pani protegowanego! Nie ma najmniejszej trudności. Będzie załatwione!

Don José Avellanos, powracając z Gouldami do brzegu w tej samej łodzi, był bardzo milczący. Dość długo również nie otwierał ust, siedząc w powozie Gouldów. Muły dreptały powoli wśród wyciągniętych rąk żebraków, którzy tego dnia opuścili gromadnie przedsionki kościołów. Charles Gould zajął miejsce

¹³³ *Aztekowie* – indiański lud ze środkowego Meksyku, który w XV w. utworzył potężne imperium, podbite w l. 1519–1521 przez Hiszpanów. [przypis edytorski]

na tylnym siedzeniu i rozglądał się po równinie. Z zielonych gałęzi, z trzciny, z obrzyneków drzewnych, pokrytych płachtami zgrzebnego płótna, pobudowano mnóstwo bud, w których sprzedawano *dulces*¹³⁴, owoce i cygara. Kobiety indiańskie, przykucnąwszy na matach, warzyły nad żarem strawę w czarnych glinianych garnkach lub gotowały wodę na *mate*¹³⁵, którą polecały wieśniakom miękkimi, pieściwymi głosami. Wytyczono teren wyścigowy dla *vaqueros*. Gęsty tłum ludzi tłoczył się dokoła ogromnego, skleconego naprędce budynku, który wyglądał jak namiot cyrkowy przykryty stożkową, słomianą strzechą. Dolatywały z niego przenikliwe dźwięki strun harfy i ostre brzęczenie gitar pomieszane z posepnym dudnieniem indiańskiego *gombo*, tętniącego rytmicznie wśród przeraźliwych pokrzykiwań tancerzy.

Charles Gould odezwał się:

– Cała ta połać ziemi należy obecnie do Towarzystwa Kolejowego. Nie będzie tu już zabaw ludowych.

Pani Gould myślała o tym z przykrością. Opowiedziała przy tej sposobności, jak dopiero co udało się jej otrzymać przyrzeczenie od sir Johna, że dom zajmowany przez Giorgia Violę pozostanie nienaruszony. Nie mogła nigdy pojąć, dlaczego inżynier mierniczy wciąż napomykał o potrzebie zburzenia tego starego domostwa. Przecież nie stało ono na drodze planowanego

¹³⁴ *dulces* (hiszp.) – słodycze. [przypis edytorski]

¹³⁵ *mate* – naczynie z tykwy do picia yerba mate, naparu z ostrokrzewu paragwajskiego. [przypis edytorski]

odgałęzienia linii kolejowej.

Kazała zatrzymać powóz przed drzwiami, by uspokoić od razu starego genueńczyka, który wyszedł z domu, nie nakrywszy głowy, i stanął u stopnia powozu. Mówiła do niego po włosku, on zaś dziękował ze spokojną godnością. Stary Garibaldino był jej serdecznie wdzięczny za ocalenie dachu nad głową jego żony i dzieci. Był już za stary, by znów zaczynać tułaczkę.

– A czy to na zawsze, *signora*? – zapytał.

– Na tak długo, jak panu się podoba.

– *Bene*¹³⁶. Trzeba zatem będzie pomyśleć o nazwaniu tego miejsca. Dotychczas nie było warto.

Zaśmiał się szorstko, a zmarszczki zbiegły się mu dokoła oczu.

– Zabiorę się jutro do namalowania napisu.

– A jakże będzie on brzmiał, Giorgio?

– *Albergo d'Italia Una*¹³⁷ – odparł stary Garibaldino, odwracając na chwilę oczy. – Raczej na pamiątkę tych, którzy już nie żyją – dodał – niż kraju, ukradzionego podstępnie nam, żołnierzom wolności, przez przeklęty piemoncki pomiot królów i ministrów.

Pani Gould uśmiechnęła się z lekka i wychyliwszy się nieco, zaczęła go wypytywać o żonę i dzieci. Wysłał je tego dnia do miasta. *Padrona* była zdrowsza; dziękuje bardzo *signorze* za pamięć.

Mijali ich ludzie dwójkami, trójkami i całymi gromadami,

¹³⁶ *bene* (wł.) – dobrze. [przypis edytorski]

¹³⁷ *Albergo d'Italia Una* (wł.) – Hotel Zjednoczona Italia. [przypis edytorski]

szli mężczyźni i kobiety w otoczeniu hasających dzieci. Jeździec na siwej klaczy, uchyliwszy kapelusza w stronę powozu, skąd odpowiedziano mu uśmiechami i przyjaznymi skinieniami, przystanął spokojnie w cieniu domu. Stary Viola, widocznie bardzo zadowolony z zasłyszanych przed chwilą nowin, przerwał rozmowę z gośćmi, by powiedzieć mu pośpiesznie, iż dzięki łaskowości angielskiej *signory* dom jego jest ocalony na tak długo, jak mu to będzie dogadzało. Jeździec słuchał go uważnie, ale nie rzekł ani słowa.

Gdy powóz ruszał z miejsca, zdjął znowu kapelusz, szare sombrero, ozdobione srebrnym sznurem i chwostami. Ogromne srebrne guzy przy suto wyszywanym, skórzanym kaftanie, rzędy drobnych, srebrnych guziczków wzdłuż szwów spodni, śnieżna bielizna, jedwabny pas z haftowanymi końcami, srebrne blaszki na siodle i uprząży – wszystko to świadczyło o nieskazitelnym stylu słynnego *capataza de cargadores*, marynarza z Morza Śródziemnego, który przyćmiewał swym przepychem wszystkich dziarskich, młodych *rancheros* z Campo, wystrojonych od wielkiego święta.

– To dla mnie wielka rzecz – mruknął stary Giorgio, wciąż jeszcze myśląc o domu, bowiem uprzykrzyła się mu już wólczega. – *Signora* mówiła o mnie z Anglikiem.

– Z tym starym, co ma tyle pieniędzy, że może zapłacić za kolej? Za godzinę już go tu nie będzie – wtrącił Nostromo niedbale. – No, *buon viaggio*¹³⁸. Pilnowałem jego kości od

¹³⁸ *buon viaggio* (wł.) – szczęśliwej podróży. [przypis edytorski]

przełęczą Entrada poprzez równinę aż do Sulaco, jak gdyby był moim ojcem.

Stary Giorgio tylko potrząsnął głową z roztargnieniem. Nostromo wskazał palcem na powóz Gouldów, który zbliżał się już do zarośniętej chwastami bramy w starym murze miejskim, wyglądającej, jakby ją obwieszono barwnymi matami.

– A nocami siadywałem z rewolwerem w magazynie Towarzystwa, strzegąc stosów srebra tego drugiego Anglika, jak gdyby było moje.

Viola nie wychodził z zadumy.

– To dla mnie wielka rzecz – zamamrotał znów jakby do siebie.

– Na pewno – potwierdził wspaniały *capataz de cargadores*. – Słuchaj no, *vecchio*, idź do domu i przynieś mi cygaro. Ale nie szukaj go w mojej izbie, bo tam nic nie znajdziesz.

Viola poszedł do kawiarni, skąd powrócił natychmiast, wciąż jeszcze pogrążony w myślach. Podał mu cygaro i mruknął pod wąsem:

– Dzieci rosną, a dziewczęta też! Dziewczęta! – Westchnął i umilkł.

– Co, tylko jedno? – odezwał się Nostromo, spoglądając na niedomyślnego starca z wyrazem komicznej wymówki. – Niech będzie – dodał niedbale – trzeba poprzestać na jednym, gdy nie ma drugiego.

Zapalił cygaro i upuścił bezwiednie zapałkę z palców. Giorgio Viola podniósł oczy i powiedział nagle:

– Gdyby mój syn żył, byłby już takim przystojnym młodzieńcem, jak ty, Gian' Battista.

– Co? Twój syn? Masz rację, ojczu. Byłby mężczyzną, co się zowie, gdyby był podobny do mnie.

Zawrócił z wolna konia i począłpał między budy, zatrzymując co chwila swą klacz bądź to wśród dzieci, bądź też wśród gromadek ludzi z dalekiego Campo, którzy spoglądali za nim z uwielbieniem. Robotnicy portowi Towarzystwa pozdrawiali go z daleka. Wśród pochwalnych szmerów i niskich ukłonów, ścigany zazdrosnymi spojrzeniami, *capataz de cargadores* podążał ku wielkiemu budynkowi przypominającemu cyrk. Ścisk zwiększał się, donośniej brząkały gitary. Inni mężczyźni siedzieli nieruchomo na koniach, paląc spokojnie cygara nad głowami tłumu, który wirował i tłoczył się przed budynkiem o stożkowatym dachu. Dolatywały stamtąd szurgania i przytupywania nóg w takt muzyki tanecznej, która skwierczała i tętniła jakimś udreńczonym rytmem, przytłaczanym przeciągłym, strasliwym, głuchym pomrukiem *gomba*. Barbarzyński, gromki dźwięk tego wielkiego bębna, który przyprawia tłumy o szaleństwo i którego nawet Europejczyk nie może słuchać bez jakiegoś dziwnego wrażenia, zdawał się wabić Nostroma ku swemu źródłu. Tymczasem jakiś człowiek, odziany w wyszarzałe i podarte poncho, zeskokczył ze strzemion i rozpychając tłum łokciami na prawo i na lewo, zaczął usilnie prosić „jego wielmożność” o zatrudnienie w porcie. Skomlał, ofiarując *señorowi capatazowi* połowę swej dziennej płacy

za dopuszczenie go do buńczucznego bractwa *cargadores*. Zapewniał, że gotów jest poprzestać na drugiej połowie. Ale prawa ręka kapitana Mitchella – „nieoceniony w naszej pracy i bezwarunkowo nieprzekupny człowiek” – spojrział krytycznie na obszarpanego *mozo* i potrząsnął przecząco głową, nie wyrzekłszy ani słowa wśród wzmagającego się zgiewku.

Mozo zeszedł mu z drogi, lecz oddaliwszy się nieco od Nostroma, zaczął go przedrzeźniać. Z drzwi sali tanecznej wychodzili mężczyźni i kobiety, zataczając się, ociekając potem, drżąc na całym ciele. Zdyszani, z osłupiałymi oczyma i rozchylonymi ustami, opierali się o ściany budynku, w którym wśród nieustannych grzmotów bębna rzępoliły z szaleńczym uniesieniem harfy i gitary. Klaskały setki rąk, słychać było piski, które naraz przycichały, po czym rozlegał się śpiewany zgodnym chórem refren pieśni miłosnej o tęsknej nucie. Czerwony kwiat, rzucony celnie przez kogoś z tłumu, musnął policzek świętego *capataza*.

Zręcznym ruchem uchwycił go w locie, lecz przez jakiś czas nie odwracał głowy. Kiedy wreszcie raczył się obejrzeć, zobaczył, iż tłum rozstępuje się przed śliczną *morenitą*¹³⁹, z włosami spiętymi małym, złotym grzebykiem. Szła ku niemu wolnym przejściem.

Jej szyja i ramiona wynurzały się, nagie i pulchne, ze śnieżnobiałej bluzki. Niebieska wełniana spódnica, obfita z przodu, wąska na biodrach i obcisła od tyłu, uwydatniała jej

¹³⁹ *morenita* (hiszp.) – brunetka. [przypis edytorski]

wyzywający chód. Podeszła i położyła rękę na karku klaczy, rzucając z ukosa lekliwe i zalotne spojrzenie.

– *Querido*¹⁴⁰ – zaszczębiotała pieszczotliwie – dlaczego udajesz, że mnie nie widzisz, kiedy cię spotykam na ulicy?

– Bo cię już nie kocham – odparł Nostromo spokojnie po chwili namysłu.

Dłoń spoczywająca na karku klaczy drgnęła nagle. *Morenita* pochyliła głowę pod spojrzeniami tłumu, który otaczał wielkim kołem wielkodusznego, straszliwego i niestałego *capataza de cargadores* i jego dziewczynę.

Nostromo zerknął w dół i zobaczył, że łzy zaczynają ściekać po jej twarzy.

– A więc to tak, mój najmilszy! – szepnęła. – Czy to prawda?

– Nie – rzekł Nostromo, rozglądając się niedbale. – To kłamstwo. Kocham cię tak samo jak dawniej.

– A czy to prawda? – zaszczębiotała radośnie, mając jeszcze policzki wilgotne od łez.

– Prawda!

– Prawda, jak ci życie miłe?

– Tak jest. Ale nie zmuszaj mnie, abym przysięgał przed Madonną, która stoi w twoim pokoju. – I *capataz* uśmiechnął się lekko, odpowiadając na wyszczerzone w uśmiechach zęby tłumu.

Zaczęła się przymilać, śliczna, nieco niespokojna.

– Nie, nie będę cię zmuszała. Poznam po twoich oczach, czy mnie kochasz. – Położyła mu rękę na kolanie. – Dlaczego tak

¹⁴⁰ *querido* (hiszp.) – ukochany. [przypis edytorski]

drzysz? Czy z miłości? – mówiła dalej wśród rozlegających się nieustannie grzmotów *gombo*. – Ale jeżeli tak ją kochasz, to powinieneś dać swojej Paquicie oprawny w złoto różaniec, żeby go zawiesiła na szyi swej Madonny.

– Nie – odparł Nostromo, spoglądając w jej podniesione, proszące oczy, które nagle osłupiały ze zdumienia.

– Nie? Cóż więc raczy mi dać wielmożny pan przy dzisiejszej *fieście*, żebym nie potrzebowała wstydić się przed ludźmi? – zapytała gniewnie.

– Nie potrzebujesz się wstydić, że raz nie dostałaś nic od swego kochanka.

– Prawda! To wstyd dla wielmożnego pana, mojego biednego kochanka – rzuciła szyderczo.

Śmiano się z jej gniewu, z jej przycinka. Co za zuchwała żmijka! Świadkowie tego widowiska przywoływali śpiesznie innych. Krąg dokoła siwej klaczy powoli zacieśniał się.

Dziewczyna odstaąpiła na krok, urągając szyderczym spojrzeniom, po czym przypadła znów do strzemienia i wspięła się na palcach, zwracając do Nostroma wzburzoną twarz i pałające oczy.

– Juanie – syknęła – mogłabym cię pchnąć nożem w serce!

Straszliwy *capataz de cargadores*, któremu wielkoduszna niedbałość nie pozwalała ukrywać się ze swymi miłostkami, objął ją ramieniem za szyję i ucałował jej rozedrgane usta. Dokoła rozległ się szmer.

– Noża! – huknął w tłum, trzymając ją mocno za ramię.

Dokoła niego błysnęło naraz ze dwadzieścia ostrzy. Jakiś młodzieniec w odświętnym stroju podbiegł ku niemu, podał mu nóż i odskoczył znowu w tłum, wielce zadowolony ze siebie. Nostromo nawet nie spojrział na niego.

– Stań na mojej nodze! – rozkazał dziewczynie, która nagle poskromiona, wskoczyła lekko. Kiedy zaś miał ją już przy sobie, objął ją w pół i przybliżywszy jej twarz do swojej, wcisnął nóż w jej drobną rękę.

– Nie, *morenita*, nie zawstydzisz mnie! – przemówił. – Dostaniesz podarek ode mnie! I żeby wszyscy wiedzieli, kto jest dziś twoim kochankiem, pozwalam ci poodcinać wszystkie srebrne guziki od mojego kaftana.

Dowcipny ten pomysł przyjęto burzą śmiechów i oklasków. Ostrze noża migąło w rękach dziewczyny, a jeździec podzwaniał niedbale srebrnymi guzami, które spadały do jego dłoni. Z pełnymi garściami ześlizgnęła się wreszcie przy jego pomocy na ziemię. Poszeptała z nim jeszcze namiętnie, po czym znikła wśród ciżby.

Tłum się rozpierchł, zaś dostojny *capataz de cargadores*, nieoceniony człowiek, wypróbowany i wierny Nostromo, marynarz z Morza Śródziemnego, który zabłąkał się na ląd, by szukać szczęścia w Costaguanie, poczłapał z wolna ku przystani. „Junona” zataczała właśnie krąg. Kiedy zaś Nostromo osadzał konia, by się jej przyjrzeć, podciągnięto chorągiew na zaimprovizowanym maszcie, który ustawiono na szczycie starego, na w pół zburzonego fortu u wejścia do portu. Wysłano

tam pośpiesznie z koszar pół baterii dział polowych, żeby przepisową salwą pożegnały prezydenta-dyktatora i ministra spraw wojskowych. Gdy parowiec mijał cieśninę, spóźniona salwa dała znać, iż pierwsze oficjalna wizyta don Vincenta Ribieri w Sulaco dobiegła końca. Dla kapitana Mitchella był to koniec kolejnego „dziejowego zdarzenia”. Ponowne odwiedziny, które „nadzieję uczciwych ludzi” sprowadziły w półtora roku później znów do Sulaco, nie miały już charakteru urzędowego. Tułając się po wertepach górskich, prezydent uciekał po przegranej bitwie na kulawym mule i byłby zginął haniebną śmiercią z rąk motłochu, gdyby go nie ocalił Nostromo. Było to zupełnie odmienne zdarzenie, o którym kapitan Mitchell powiadał:

– Ależ to historia, panie! Co to za historia! A mój Nostromo, wie pan, brał w tym udział. Ten człowiek tworzy historię, panie!

Ale po tym wypadku, tak chlubnym dla Nostroma, nastąpił natychmiast inny, którego kapitan Mitchell nie mógł zaliczyć ani do „historii”, ani też do „pomyłek”. Toteż znalazł na jego określenie inne słowo:

– Panie – mawiał później – to nie był błąd. To było fatalne zrządzenie losu. Po prostu nieszczęście! A mój biedny chłopak był w samym środku, w samym środku! Fatalne zrządzenie losu... i moim zdaniem od tej pory już nigdy nie był tym samym człowiekiem.

Część druga. Izabele

Rozdział I

Wśród dobrych i złych kolei zmiennego losu walk, które don José określił zwrotem: „Los uczciwości narodowej waży się na szali”, koncesja Gouldów, to *imperium in imperio*, nie ustawała w swej pracy. Z grani górskich nadal skarby staczały się po drewnianych rynnach do niestrudzonych baterii stęporów, noc po nocy migotania świateł kopalni San Tomé rozwidniały głębokie, bezbrzeżne mroki Campo, a co trzy miesiące eskorta odstawiała transport srebra do portu, jak gdyby ani wojna, ani jej następstwa nie wywierały wpływu na starodawną Zachodnią Prowincję, ukrytą za wysoką zaporą Kordylierów. Walki toczyły się po drugiej stronie potężnego muru, utworzonego ze szczybatych szczytów, wśród których królował biały tum Higueroty. Muru tego nie przebiła dotychczas kolej, z której wykonano tylko pierwszą, łatwiejszą część, przebiegającą przez równinne Campo od Sulaco do doliny Ivia u podnóża przełęczy. Również linia telegraficzna jeszcze nie przekroczyła gór; jej wysmukłe słupy, sterczące niby tyki miernicze na równinie, wnikały w leśne obrzeża na zboczach gór przeciętych głębokim wąwozem drogi jezdnej, zaś druty telegraficzne kończyły się nagle w obozowisku konstruktorów, na białej powierzchni stołu dźwigającego aparat

Morse'a i umieszczonego w podłużnej chacie, skleconej z bali i przykrytej dachem z blachy falistej. Olbrzymie cedry ocieniały tę chatę, która była zarazem mieszkaniem inżyniera kierującego dalszymi robotami.

Port również był czynny, gdyż dowożono materiały kolejowe i odbywały się ruchy wojsk wzdłuż wybrzeża. Flota T.O.Ż.P. pracowała bez wytchnienia. Costaguana nie miała marynarki i prócz kilku kutrów, które pełniły służbę strażniczą wzdłuż wybrzeża, państwo to posiadało zaledwie parę starych parowców handlowych używanych do przewozu towarów.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.